TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 12 – 18 sierpnia 2026 | nr 33 (4023)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Dlaczego wracamy do małych miast

Ceuta – ciąg dalszy nastąpi

Lebda: Maryja zmienia mi pisanie

Jak nauka rozumie magię

Taco Hemingway, nowy Wokulski

Po co nam sztuka?

BURZA WOKÓŁ ZAWODU ARTYSTY DOTYCZY NAS WSZYSTKICH

STR. 10-15

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik” na rok + 4 wydania specjalne

„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie.

Treści „Tygodnika Powszechnego” są wyjątkowe na polskim rynku prasy.

- Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
- Kultura jako klucz do rozumienia świata
- Otwarte podejście do wiary i duchowości
- Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście

OFERTA CENOWA

Tygodnik na rok + 4 wydania specjalne	InPost	cena 786 zł
	Poczta	cena 787 zł
4 wydania specjalne	InPost	cena 100 zł
	Poczta	cena 100 zł

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Razem tworzymy „Tygodnik”

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Polska bez schronów
MAREK KĘSKRAWIEC

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 W strony, które znam
MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA: *Wyjechać do metropolii, zdobyć tam wykształcenie i zrobić karierę – tak przez lata definiowano awans społeczny*

19 Prorocy zdrowego rozsądku
MARCIN KĘDZIERSKI: *Jesteśmy świadkami nowego otwarcia w polityce. Nie ma to jednak nic wspólnego z żadnymi ideami*

22 Menopauza dla panów
ROZMOWA Z MARZENĄ DĘBSKĄ, GINEKOLOŻKĄ: *Nie ma powodu, żeby kobiety cierpiały i żeby cierpieli ich partnerzy*

■ ■ OPINIE

26 Taco Wokulski
DOMINIKA BUCZAK: *Zapełniający stadiony raper próbuje wychwycić, co dla chłopców i mężczyzn szkodliwe. To kolejny głos w dyskusji o współczesnej męskości*

■ ■ ŚWIAT

30 Struktura chaosu
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Kryzys w Ceucie obnażył oportunizm unijnych liderów i pokazał, że presja migracyjna to skuteczne narzędzie politycznego szantażu*

34 Kraj bez szczelin
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ ROMASZEWSKĄ: *Reżim Łukaszenki jest uzależniony od służb – Golema, którego sam stworzył*

37 Nie chodzi o to, że się ociepla
JAKUB WIECH: *Tegoroczne fale upałów – od Francji po Polskę – pokazały, że Europa nie jest gotowa na tempo, w jakim zmienia się klimat*

■ ■ ESEJ

40 Magia to nasz żywioł
ŁUKASZ LAMŻA: *Za pojęciem many, pojawiającym się nawet w grach komputerowych, stoi wprawdzie antropologiczne nieporozumienie – ale jakże piękne!*

■ ■ WIARA

44 Towarzysząca
MAŁGORZATA LEBDA: *Wychowałam się w środowisku maryjnym. Dlatego moje pisanie nie potrafi obejść się bez melodii litanii i maryjnych odwołań*

TEMAT TYGODNIKA

10

Po co nam sztuka?
MONIKA OCHĘDOWSKA, TADEUSZ MAREK

Artyści, nazwani w debacie publicznej „darmozjadami", zwiększają PKB, pomagają budować więzi społeczne i przeciwdziałają samotności.

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ: *Gdzie się podziały rzeki*
25 OLGA DRENDA: *Jak odejść u szczytu*
53 ZUZANNA RADZIK: *Czy można namalować starą Maryję*
63 ELIZA KĄCKA: *Ile książek można kupić za wiśnie*
76 PAWEŁ BRAVO: *O darmowej wodzie w restauracjach*
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI: *Co Woydyłło wie o Świątek*

GRAFIKA NA OKŁADCE: PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY: MICHAŁ OKOŃSKI

48 Camino z Jakubowa
STANISŁAW ZASADA: *W małej wsi pod Głogowem zaczyna się polska Droga św. Jakuba do Compostelli*

50 Pamięć kardynała
MONIKA BIAŁKOWSKA: *Kard. Stanisław Dziwisz ma doskonałą pamięć, gdy trzeba wspominać świętość Jana Pawła II. I najgorszą, kiedy tłumaczyć się musi z własnych decyzji*

52 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Konopnicką w Bismarcka
WALDEMAR ŁAZUGA: *Żaden Niemiec nie ma więcej upamiętnień niż Otto von Bismarck. Po 1945 r. wiele z nich znalazło się w granicach pojałtańskiej Polski. Ich losy były różne. Czasem nawet zabawne*

■ ■ NAUKA

58 Między nami kanibalami
KASPER KALINOWSKI: *Dlaczego zachowanie rozpowszechnione w przyrodzie i wielokrotnie pojawiające się w historii człowieka zostało objęte tak silnym tabu?*

■ ■ KULTURA

64 Chcecie coś od Polski?
WOJCIECH ŚMIEJA: *Trzeci sezon „1670" jest smutny i aktualny. I nie jest to zarzut*

68 Wszystkie nasze strachy
MICHAŁ WALKIEWICZ: *Kino gatunków odzyskuje moc. Zwłaszcza horrory wyrastające z pasji i szacunku dla pragnień widowni*

70 Pojugosłowianin
JULIUSZ PIELICHOWSKI: *Powieści Darka Cvijeticia uważane są za niebezpieczne. Nawet dla rodzinnego Prijedoru po prostu nie istnieje*

73 Polecamy

74 Kino w przekładzie
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Historie równoległe" Asghara Farhadiego*

75 Nowy Bonowicz
LEKTOR *o tomie wierszy „Bardzo"*

■ ■ PSYCHE

78 Miasto cyników
ROZMOWA Z NICOLĄ LAGIOIĄ, PISARZEM: *Zakochałem się w Rzymie bez reszty, czule i tragicznie. W mieście, które nazywa siebie wiecznym, istnieje głęboka świadomość tego, że nic wieczne nie jest*

KS. ADAM

Boniecki: *Po co mi sztuka*

GRAŻYNA MAKARA

To dawne czasy, powstanie warszawskie. Dwie ciotki, siostry mojej matki, mieszkają w mieście. Ja jestem mały, nie mówi się takim dzieciom wszystkiego, ale i tak wiem, że są zaangażowane w jakieś konspiracyjne działania. Obie trafiają do niemieckich obozów koncentracyjnych, obie potem wracają, ale ani jedna, ani druga nie lubią wspomnień z tych czasów.

Jedna z nich, Imola, była malarką. Miała (wtedy jak na kobietę rzadkie) studia malarskie za sobą, doskonaliła swoją wiedzę we Włoszech, mieliśmy w domu na ścianach jej obrazki i drzeworyty. Pamiętam, jak wróciła z wojennej zawieruchy i na jakiś czas się u nas zatrzymała. Dość szybko po powrocie (pieszo, stopem...) z niewoli, znów zaczęła rysować. I były to sceny z obozowego życia. Zapamiętałem obrazek, na którym przedstawiła tłumy wynędzniałych ludzi z taczkami. Zapamiętałem też opowieść, bardzo zresztą zwięzłą, o tym, jak w obozie, w koszmarnych warunkach, rysowała portreciki ludzi. To była praca „zarobkowa": ktoś prosił o portrecik i za niego „płacił": chyba kawałkiem chleba, może porcją zupy... Ciocia mówiła, że był spory popyt na te dzieła.

Trudno o lepszy dowód na to, że sztuka działa na człowieka, i to nawet w skrajnych warunkach. Stąd pewnie

MICHAŁ

Okoński: *Poeci w czasie marnym*

GRAŻYNA MAKARA

Momentami przypominało to – wybaczcie metaforę futbolową, choć może w moich ustach wyda się naturalna – strzelanie goli do pustej bramki. Aniśmy się obejrzeli, jak debata nad projektem ustawy o zawodzie artysty, mającej zabezpieczyć socjalnie osoby o najniższych i nieregularnych dochodach, zmieniła się w sąd nad ludźmi rzekomo uprzywilejowanymi, których pracę ma weryfikować rynek, i którzy, choć zarabiali krocie, nie zadbali o swoją przyszłość, *ergo:* sami są sobie winni.

W mediach społecznościowych, zdominowanych przez narrację spod znaku Konfederacji i PiS, powtarzano slogany o „milionach z kieszeni podatników dla celebrytów", o „twórcach przez duże tfu", a nawet o „lex Kapela" (od nazwiska zaproszonego do Kanału Zero, parającego się niekiedy pisaniem freak-fightera, który w rzeczywistości nie uzyskałby dzięki ustawie żadnego wsparcia).

Z debaty wynikało, że artysta w oczach niemałej części społeczeństwa to – jak podsumował Łukasz Najder – arogancki, nadęty moralizator, irytujący ekscentryk-prowokator, względnie „zachłanny i bogaty kotleciarz estradowy, który załapał się na setki tysięcy złotych z tarcz antycovidowych". „Tych ludzi trzeba odpiłować od pieniędzy, a nie dawać

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 2

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

zakusy wszelkich totalitaryzmów, by obok innych sfer życia, także i ona była na usługach władzy. Rządzący mogą wspierać, finansować, wręcz programować jakieś formy twórczości. Sami mogliśmy się o tym przekonać w dobie socrealizmu. Nawet autentyczni artyści szukali sposobu na powiązanie ich indywidualnej wizji z państwowym programem. Im może wychodziło to na dobre, ale sztuce na pewno nie.

Sztuka to oczywiście nie tylko malarstwo – to architektura, rzemiosło artystyczne, teatr, muzyka, film, literatura itd. Wokół każdej z tych dziedzin wyrosły całe gałęzie handlu i przemysłu. To jest normalne, byle dało się odróżnić, gdzie kończy się twórczość artysty, a zaczyna masowa produkcja. Jest też sztuka profesjonalna: aktorzy czy muzycy grają po raz setny tę samą rolę czy utwór, a i tak słuchacze lub widzowie przeżywają je tak, jakby to był ten jeden jedyny raz, i pamiętają występ latami. Czasami wielki talent łączy się z ogromną pracą, a czasami dzieło rodzi się bez wysiłku. A raz na jakiś czas rodzą się geniusze, których nie można ani zastąpić, ani podrobić. Oni przecierają drogi rozwoju sztuki.

O sztuce, jej historii, rozwoju i klęskach mnóstwo napisano. Zaskakuje nas nieustannie – i to jest piękne. W tym właśnie można się dopatrywać tajemnicy ludzkiej natury, która przekracza materialne granice tego, kim jest człowiek. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

im więcej! Oni wydają pieniądze na jakieś bzdury, na jakieś pogięte blachy, które nazywają rzeźbą" – grzmiał, zupełnie serio, Krzysztof Bosak.

Po upływie kilku miesięcy od tamtej nagonki bierzemy byka za rogi. Na pytanie „po co nam sztuka" **MONIKA OCHĘDOWSKA** i **TADEUSZ MAREK** dostarczają odpowiedzi zrozumiałych również dla tych, którzy każdą ludzką aktywność potrzebują jeśli nie wprost przeliczyć na pieniądze, to przynajmniej potraktować utylitarnie.

Owszem, nasi autorzy nie używają takich słów, jak piękno, zachwyt, wzruszenie, katharsis i dusza. Nie muszą tego robić. Odkąd mam do czynienia z „Tygodnikiem", przesiąkam programowym dla pisma poczuciem, że bez sztuki – książek, filmów, spektakli, obrazów; pozwolę sobie zakończyć tę niepełną wyliczankę meczami – zwyczajnie trudno żyć. Że trudno rozumieć i samego siebie, i świat.

Najnowszy przykład to recenzja trzeciego sezonu „1670". „Czy nie jesteśmy, my, obywatele, trochę tymi chłopami? – pyta **WOJCIECH ŚMIEJA**. – Obserwujemy przepychanki na scenie politycznej, walki frakcyjne, sztucznie rozdmuchiwane afery i konflikty odwracające uwagę od spraw egzystencjalnie ważnych, zarówno tych dotykających przeciętnego obywatela, jak i tych, które dotyczą trwania naszego państwa na historycznym zakręcie. Ja jestem wściekły i bezradny. A jak Państwo?".

Czasami sztuka zadaje dobre pytania. Czasami pozwala też znaleźć odpowiedź. ©℗

Michał Okoński, zastępca redaktora naczelnego „TP", autor książek o futbolu

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

JAKUB DYMEK
Nowa polska wieś z dala od stereotypów: nasza prowincja nie jest już ani biedna, ani etnicznie jednorodna, a życie toczy się w niej częściej wokół Żabki niż wokół kościoła.

MAGDALENA BIGAJ
Od nowego roku wchodzi w życie ogólnopolski zakaz używania telefonów na terenie szkół. Czy to pomoże nam rozwiązać problem ryzykownego korzystania z urządzeń ekranowych?

JAN BLUZ
Referendum w Islandii. Mieszkańcy wyspy – dumni ze swej niezależności, ale też coraz bardziej świadomi geopolitycznych zagrożeń – zdecydują o przynależności do Unii Europejskiej.

PIOTR POPIOŁEK
Co o religijności Stanów Zjednoczonych mówi nam biografia wiceprezydenta J. D. Vance'a?

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

3–9 SIERPNIA 2026

OGRANICZONY ATAK na jedno z państw NATO może nastąpić w ciągu najbliższych kilku lat – ocenia wywiad USA. Według „Wall Street Journal", najbardziej skrajny scenariusz to ograniczone wtargnięcie lądowe. ▪▪▪ **DONALD TRUMP** zaprzecza, że zapasy zaawansowanego uzbrojenia amerykańskiego zostały poważnie osłabione w wojnie z Iranem i ostrzegł, że osoby przekazujące takie informacje zostaną surowo ukarane. ▪▪▪ **DRONA Z ŁADUNKIEM WYBUCHOWYM** wykryto na lotnisku w Lipsku, gdzie startują samoloty z pomocą wojskową dla Ukrainy. ▪▪▪ **WOŁODYMYR ZEŁENSKI** skrytykował zachodnich partnerów Ukrainy za opóźnienia i niechęć w dostawach środków obrony przeciwrakietowej. ▪▪▪ **PODCZAS EKSHUMACJI** w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej na Wołyniu odnaleziono szczątki 55 osób. 30 sierpnia zostaną pochowane w kwaterze ofiar UPA na cmentarzu w Ostrówkach. ▪▪▪ **POLSKI WOLONTARIUSZ** Marek Rusek-Wolski zginął w Charkowie. Uroczystości pożegnalne odbyły się w kijowskiej katedrze rzymskokatolickiej. ▪▪▪ **KAROL NAWROCKI** zapowiada złożenie „prezydenckiej strategii rozwoju". W Warszawie przed Pałacem Prezydenckim hucznie obchodzono pierwszy rok jego kadencji. ▪▪▪ **MATEUSZ SZPYTMA** nie będzie prezesem IPN: na jego kandydaturę nie zgodził się Senat, proces wyboru nowego szefa Instytutu rusza od nowa. ▪▪▪ **RAFAŁ TRZASKOWSKI** przedstawił audyt funkcjonowania wszystkich warszawskich szpitali. Kontrola w Szpitalu Południowym potwierdziła zarzuty mediów. ▪▪▪ **POLSKA SZÓSTĄ GOSPODARKĄ UE.** Wg Eurostatu, wartość naszego PKB w cenach bieżących wyniosła 922,9 mld euro, co odpowiadało 4,9 proc. łącznego PKB całej Unii. ▪▪▪ **STOPA BEZROBOCIA** nieznacznie w górę, do ok. 5,9 proc. Obecnie w Polsce zarejestrowanych jest ok. 907 tysięcy bezrobotnych. ▪▪▪ **ZMARŁ ANDRZEJ MOROZOWSKI,** wieloletni pracownik TVN i TVN24, który w 2006 r. z Tomaszem Sekielskim otrzymał tytuł Dziennikarza Roku. ▪▪▪ **PONAD 1,5 TYS. LUDZI** zmarło na skutek wirusa eboli w Demokratycznej Republice Konga. To największa i najgroźniejsza epidemia eboli w historii tego kraju. ▪▪▪ **WŁADZE MJANMY** zezwoliły Aung San Suu Kyi na spotkanie z przedstawicielem Czerwonego Krzyża. Pokojowa noblistka przebywała w izolacji ponad 5 lat. ▪▪▪ **ARABIA SAUDYJSKA, PAKISTAN I TURCJA** podpisały wspólną umowę obronną. Pakt przewiduje, że atak na jedno z nich jest atakiem na wszystkie. ▪▪▪ **NOWYM PREZYDENTEM WĘGIER** ma zostać były prezes Sądu Najwyższego András Baka. Jego kandydaturę zgłosiła partia premiera Magyara. ▪▪▪ **PREZYDENT FIFA** Gianni Infantino odrzuca oskarżenia, że w czasie, gdy pełnił funkcję sekretarza generalnego UEFA, federacja zapłaciła znaczną kwotę pieniędzy kobiecie, która miała być jego kochanką. ▪▪▪ **AMERYKANIE SĄ ŹLI** na Republikanów, ale nie na mnie – uważa Donald Trump, oceniając możliwość porażki jego partii w listopadowych wyborach do Kongresu.

MARYSIA ZAWADA / REPORTER

POWYŻEJ: Warszawskiego metra nie konstruowano jako budowli ochronnej. Jest o wiele płytsze (maks. 24 metry głębokości) niż to kijowskie (maks. 105 m) i nie posiada zaawansowanego, awaryjnego systemu zasilania oraz filtrowanej wentylacji. Warszawa, 23 czerwca 2026 r.

POLSKA BEZ SCHRONÓW

Reakcje państwa i samorządów na upadek rosyjskiej rakiety Ch-101 mówią jedno. Polacy, w razie zagrożenia róbcie to co zawsze. Liczcie na siebie.

MAREK KĘSKRAWIEC

W 10 na 17 powiatów województwa lubelskiego nie włączono syren, mimo wydania takiego polecenia. W jednym miejscu ktoś nie usłyszał telefonu, więc się nie obudził, ktoś inny miał za daleko do biura, więc nie zdążył, ktoś próbował się upewnić u przełożonego, aż było po sprawie. Jednym zdaniem, urzędnicy samorządowi, na których spoczywa obowiązek

Co robić w razie alarmu:

– Jeśli nie wiesz, dokąd się udać, zostań w domu i nie podchodź do okien. Wybuch może zamienić szyby w dziesiątki sztyletów. Wybierz do ukrycia zamykane pomieszczenie bez okien, ze ścianami nośnymi; najczęściej jest to łazienka.

– Nie ewakuuj się na własną rękę. Nie pakuj chaotycznie rodziny do auta. Wyposażone mieszkanie jest zawsze lepszym miejscem do ochrony niż ulica z okolicznymi budynkami i spanikowaną ludnością.

– Kup zawczasu radio analogowe na baterie, latarkę, zapalarkę, pamiętaj o kablach i powerbanku. Miej przy sobie scyzoryk i apteczkę, a także śpiwór, karimatę i środki higieniczne. Najważniejsze telefony przepisz na kartkę, najważniejsze dokumenty dobrze ukryj, a ich kopie zabierz z sobą.

– Najpotrzebniejsze rzeczy zgromadź w plecaku ewakuacyjnym. Pamiętaj o wodzie i jedzeniu, w tym żywności wysokoenergetycznej. Miej przy sobie gotówkę w różnych nominałach.

ostrzegania nas przed masowymi zagrożeniami, zawiedli.

Ale gdyby nawet zareagowali wzorowo, cóż by to zmieniło? Dokąd mielibyśmy się udać, gdyby syreny zawyły wszędzie, a wiadomość o zagrożeniu rakietowym pojawiła się na telefonach oraz w radiu i telewizji? Każdy, kto dysponuje rządową wyszukiwarką schronów wie, że nie ma się co łudzić – zapewne w jego okolicy znajduje się jakieś miejsce ochrony ludności, ale z przytłaczającym prawdopodobieństwem jest to doraźne schronienie, czyli parking podziemny pod blokiem (z dziesiątkami aut pełnych paliwa, za to bez zapasów wody), a nie prawdziwy schron, odporny na eksplozje i skażenie powietrza, z własnym agregatem.

NIE ISTNIEJĄ też w Polsce wyspecjalizowane służby, którym moglibyśmy powierzyć nasz los. Co prawda od stycznia 2025 r. obowiązuje ustawa, która ma przywrócić skuteczny system ochrony ludności, ale na razie to głównie słowa. Tymczasem jeszcze w połowie lat 90. istniała w Polsce trochę wyśmiewana, ale pożyteczna Obrona Cywilna, utworzona w 1973 r. Miała chronić zakłady pracy, urzędy i dobra kultury, oraz nieść pomoc w czasie wojny i klęsk żywiołowych, także organizując ewakuacje. OC wyglądała lepiej w teorii niż w praktyce, ale faktem jest, że posiadała ekipy do naprawy wodociągów czy gazociągów, a nawet zespoły zdolne do pracy w gruzach.

Co ciekawe, służba ta powstawała w czasach, w których nie zanosiło się już na konflikt nuklearny. Dziś żyjemy od 4,5 roku w cieniu realnej wojny za wschodnią granicą i pora, byśmy wreszcie się obudzili. W przypadku ataku rakietowego czy dronowego nie możemy dziś liczyć na państwo. Miejsc, które mogą nas dobrze ochronić w razie zagrożenia, starczy dla ok. 3,8 proc. społeczeństwa (dane NIK).

NAWET WARSZAWIACY, jako jedyni żyjący w mieście z metrem, nie mogą czuć się lepiej. Mieszkańcy stolicy muszą się liczyć z większym zagrożeniem atakiem, a poza tym – kolej podziemna w Warszawie i np. w Kijowie to dwie różne sprawy. Naszego metra nie konstruowano jako budowli ochronnej: jest o wiele płytsze (maksymalnie 24 m głębokości) niż to ukraińskie (105 m) i nie posiada zaawansowanego, awaryjnego systemu zasilania oraz filtrowanej wentylacji, zaś wejścia na stacje nie są ze wzmocnionej, żelbetonowej konstrukcji. To najczęściej zwykłe, przeszklone wiaty, zupełnie nieprzydatne w razie ataku, a biorąc pod uwagę tony pociętego szkła po wybuchu – również niebezpieczne.

Postęp jest w jednym. Kiedy w grudniu 2022 r. do Polski wleciała rakieta Ch-55, jej szczątki odnaleziono dopiero po czterech miesiącach, w lesie aż pod Bydgoszczą. 30 lipca było inaczej. Wojsko nie ukrywało prawdy, rakiety nie zgubiliśmy, za to zebraliśmy cenne, choć przykre doświadczenia. Pewne jest jedno: na styku wojska i służb cywilnych niewiele działa sprawnie, procedury są skomplikowane i zurzędniczałe, a powinny być intuicyjne i w dużej mierze zautomatyzowane.

DO PRZEMYŚLENIA jest na pewno system alertów Rządowego Centrum Bezpieczeństwa, informującego w taki sam sposób o zagrożeniu upałami i czadem, burzami (często w niewłaściwym rejonie) i powodziami, jak o możliwym wybuchu konfliktu zbrojnego. On zaś powinien na ekranie „krzyczeć na czerwono" i uruchamiać w nas cały zestaw poczynań, których nikt nas dziś nie uczy. Zdecydowana większość Polek i Polaków nie tylko nie wie, dokąd miałaby się udać, ale nie ma też przygotowanego plecaka przetrwania (patrz ramka obok).

Alerty RCB to symbol prowizorki, w jakiej tkwi nasze państwo. Oparte są na telefonii komórkowej i mogą ulec atakowi hakerskiemu, a sieć przeciążeniu. Powinny być więc wzmacniane alternatywnymi systemami natychmiastowego powiadamiania, np. przez internet czy maile, ale też dzięki stacjom telewizyjnym i radiowym, oraz komunikatom z ulicznych megafonów. To ostatnie nie wszędzie jest możliwe, gdyż niektóre samorządy zakupiły tanie urządzenia, niedające takich możliwości.

NAJWAŻNIEJSZE jest jednak to, by system miał jak najmniej pośredników. Alarmy powinny się uruchamiać automatycznie, człowiek zaś powinien tylko je nadzorować. No i – wszystko musi być przećwiczone. Dziś wiemy tyle, że każda z 2477 gmin miała do końca ub. roku przekazać plany ewakuacyjne urzędom wojewódzkim – żadna się nie spóźniła. Każda zadeklarowała, że cały proces decyzyjny w razie kryzysu zmieści się w 15 minutach. Po 30 lipca wiemy, że papier przyjmie wszystko. ©℗

Czy Rosja się sypie

JACEK STAWISKI

Załamanie gospodarcze Rosji ogłaszano już wielokrotnie od czasu, gdy Zachód zaczął nakładać na nią sankcje gospodarcze i finansowe po pełnoskalowej agresji Moskwy na Ukrainę w lutym 2022 r.

Jak na razie te zapowiedzi się nie sprawdziły, m.in. dlatego, że sankcje nie były nakładane od razu, ale „na raty", na ich skutki trzeba było czekać, a i sama Rosja zdołała zastąpić w relacjach gospodarczych Zachód innymi zasobnymi krajami, głównie Chinami. Jeszcze przed atakiem na Ukrainę władze rosyjskie tak skonstruowały budżet, że na prowadzenie działań wojennych zarezerwowano solidną poduszkę finansową.

Czy czas odporności Rosji się kończy? Wiele na to wskazuje – oceniają analitycy ośrodka Atlantic Council – Charles Lichfield i Brendon Chen. Co ciekawe, w opublikowanym właśnie raporcie sami przyznają, że kilka lat temu pospieszyli się z prognozą załamania gospodarczego w Rosji. Jednak dzisiaj są zdania, że „przybywa dowodów na to, że działania Banku Centralnego Rosji nie zdołają w nieskończoność chronić rosyjskiej gospodarki przed nasileniem ukraińskich ataków dronowych, zaostrzonymi sankcjami międzynarodowymi czy też słabościami wynikającymi z działań samej Rosji".

Eksperci piszą, że rosyjski system bankowy stoi w obliczu kryzysu finansowego z powodu tzw. złych kredytów w bilansach banków.

Moskwa jest więc w tarapatach. Skuteczne ukraińskie ataki na rosyjskie rafinerie, nawet te położone w głębi Rosji, doprowadziły do niedoborów paliwa i ograniczeń eksportu. Sankcje europejskie na flotę cieni, transportującą nielegalnie rosyjską ropę, zostały zaostrzone, a do tego UE uderzyła w Kreml wprowadzeniem niższego limitu cenowego na ropę naftową. Rosja w niewielkim stopniu skorzystała na skoku cen surowców w rezultacie konfliktu w Zatoce Perskiej.

Senat USA właśnie uchwalił ustawę o kompleksowych sankcjach na Federację Rosyjską, teraz o dalszym jej losie zadecyduje Izba Reprezentantów. Jeśli ją uchwali, a prezydent Trump dokument podpisze, Kreml znajdzie się pod ogromną presją finansową.

Atlantic Council zwraca też uwagę na rosnące braki w zaopatrzeniu, także w produkty codziennego użytku. Przypomina to trochę sytuację w Związku Sowieckim końca lat 80. XX w. Ogromne zniechęcenie społeczne do systemu sowieckiego na skutek prozaicznych trudności w zaopatrzeniu było wówczas jedną z głównych przyczyn upadku państwa. Dzisiaj może być podobnie.

Nic tak nie kompromituje dyktatury i dyktatora, jak bieda i siermiężność. Oby przewidywania analityków z Atlantic Council tym razem się sprawdziły. ©℗

AFP / EAST NEWS

Atak dronów na rafinerię rosyjskiego producenta ropy Gazprom Nieft na południowo-wschodnich obrzeżach Moskwy, 18 czerwca 2026 r.

Sposób na Metę

SYLWIA CZUBKOWSKA

942 mln dolarów nałożone przez sąd w Nowym Meksyku za to, że Facebook i Instagram niewystarczająco dbają o bezpieczeństwo dzieci, to nawet dla giganta typu Mety dotkliwa kara. I taka ma być, bo pieniądze zostaną wykorzystane na pomoc tym, których zdrowie psychiczne jest osłabiane przez celowo uzależniające platformy.

Nie chodzi jednak o sam koszt finansowy – w końcu Meta zanotowała w drugim kwartale 2026 r. zysk netto w wysokości 15,85 mld. Zaboleć ma co innego: sąd użył prawnego wytrychu, a mianowicie przepisów o „uciążliwości publicznej". To *public nuisance*, czyli konstrukcja z prawa deliktów, która mówi o działaniu zakłócającym prawa lub bezpieczeństwo znacznej części społeczeństwa albo korzystanie z przestrzeni czy dóbr publicznych. Tradycyjnie za taką uciążliwość np. uznawano zanieczyszczanie rzek czy blokowanie drogi, a teraz – platformy cyfrowe. Sędzia Bryan Biedscheid porównał je wręcz do fabryki emitującej zanieczyszczenia, które „przenikają" do szkół, systemu opieki zdrowotnej i organów ścigania.

Brzmi jak szukanie dziury w prawnym pancerzu, którym od ponad 30 lat jest słynna Sekcja 230, czyli przepis dodany w 1996 r. do ustawy o przyzwoitości w komunikacji *(Communications Decency Act)*. W skrócie: zdjęto wówczas z platform internetowych odpowiedzialność za treści publikowane przez użytkowników, o ile te platformy spełniają określone warunki. W praktyce uznano, że nie są one wydawcami i co do zasady nie odpowiadają za to, co publikują ich użytkownicy.

Przepisy te są od lat tarczą w kolejnych procesach wytaczanych mediom społecznościowym. Tym razem jednak sąd uznał, że owszem, Sekcja 230 stanowi argument za odrzuceniem zarzutów prokuratury, że Instagram i Facebook celowo zmieniły algorytmy tak, by prowadzić do scrollowania bez końca. To jednak otworzyło drogę do nowego, precedensowego podejścia: firmę Zuckerberga można ukarać za niewystarczającą ochronę nieletnich.

Innowacyjne prawne podejście przeciera szlak do kolejnych roszczeń i zwiększa presję regulacyjną. I choć nie jest to wiążący precedens federalny, to jednak stanowi silny argument prawny i polityczny. W końcu przecież już ponad 40 stanów i ponad 1300 okręgów szkolnych wytoczyło pozwy, także opierając się na zasadzie „uciążliwości publicznej", przeciwko Mecie, TikTokowi, Snapowi, YouTube'owi.

Jak widać, prawnicy zaczęli uczyć się od ludzi technologii, że trzeba działać szybko i bez oglądania się na stare zasady. ©

Kobieta nie jest niczyją połową

DIECEZJA SOSNOWIECKA

Bp Artur Ważny i uczestniczki Diecezjalnej Pielgrzymki Kobiet do Sanktuarium Matki Bożej Anielskiej w Dąbrowie Górniczej, 2 sierpnia 2026 r.

PIELGRZYMKI ▪ „Geniusz kobiety" Jana Pawła II od dekad kształtuje język mówienia o kobietach w Kościele. W „Liście do kobiet" (1995) papież dziękował im – matkom, żonom, córkom, siostrom, pracującym zawodowo, zaangażowanym społecznie lub konsekrowanym – za to, że „zdolnością postrzegania cechującą ich kobiecość wzbogacają zrozumienie świata". A jeśli kobiety od lat próbują mówić, że zachwyt Jana Pawła II ich nie zachwyca, spotykają się z niezrozumieniem i niechęcią. I wciąż postrzegane są w Kościele przez pryzmat swoich ról i odniesienia – najczęściej do mężczyzny.

Na Diecezjalnej Pielgrzymce Kobiet do sanktuarium Matki Bożej Anielskiej w Dąbrowie Górniczej (2 sierpnia) z ust bp. Artura Ważnego padły słowa w Kościele bez precedensu. Kobiety usłyszały: dziękuję, że jesteś. Bez dodatkowych przymiotników, warunków, bez konieczności spełnienia jakichkolwiek wymagań. „Zanim będziesz kimkolwiek dla innych, masz być kimś dla Boga i dla samej siebie" – mówił biskup, demontując uproszczoną teologię komplementarności, w której kobieta sama w sobie pozostaje niepełna i czytana jest zawsze wobec czegoś lub kogoś. „Nie jesteś częścią ani połową. Jesteś całością w Chrystusie" – podkreślał.

Sosnowiecki biskup mówił o tym, o czym kobiety same z ambon powiedzieć nie mogą. Zamiast sprowadzać nas do słabej płci i skarbu, który należy chronić, zamiast odnosić każdy detal naszego życia do macierzyństwa – mówił o poczuciu, że rozdałyśmy siebie innym i nie czujemy, by cokolwiek jeszcze z nas pozostało. O presji bycia wszechstronną i perfekcyjną w domu, pracy i na Instagramie. O poczuciu zawstydzenia, że nie jesteśmy wystarczające. O kobiecej rywalizacji i o tym, jak same dla siebie jesteśmy nawzajem zawstydzającymi sędziami. O lęku przed zdradą w małżeństwie i o wypalonych uczuciach. O dzieciach, które odchodzą od Kościoła i chorują na depresję. O kobiecym poczuciu winy i bezsilności.

Nie było w tym oceny. Nie było kreowania teologii, pochwały geniuszu czy męczeństwa. Było świadectwo biskupa, który te słowa zapewne usłyszał z ust kobiet, bo w żadnej ze świętych książek by ich nie znalazł. Sam fakt, że ktoś w Kościele w Polsce w ogóle kobiet posłuchał, może być światełkiem nadziei.

Na małej, lokalnej pielgrzymce, skrytej w cieniu tych znanych i szeroko opisywanych, padły słowa, które warto zauważyć i które kobiety naprawdę potrzebują usłyszeć: Zachwyć się swoim życiem, zanim zaczniesz je rozdawać. Nie jesteś niewolnicą opinii innych ludzi. Nie musisz uciekać od swojego życia. Nie musisz być kimś innym. Wyjdź stąd z podniesioną głową.

Można jedynie pytać, jak długo zwykłe, ludzkie i oczywiste słowa polskich hierarchów będziemy traktować jak osobliwość. I czy kiedykolwiek staną się one czymś więcej niż jednorazową, okolicznościową homilią.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

PO CO NAM SZTUKA

Odpowiedzi jest wiele, również pragmatycznych. Artyści, nazwani w debacie publicznej „darmozjadami", nie tylko zwiększają PKB: pomagają budować więzi społeczne i przeciwdziałają samotności. To się opłaca.

MONIKA OCHĘDOWSKA, TADEUSZ MAREK

ILUSTRACJA PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Zaczniemy od naszej ulubionej, zdecydowanie zbyt rzadko przywoływanej odpowiedzi: otóż gdyby nie sztuka, Polacy nie zapisaliby się do Solidarności, a w efekcie nasza najnowsza historia potoczyłaby się zupełnie inaczej. To, niestety, nie nasze odkrycie, pisał o tym w „Resztkach nowoczesności" (2011) historyk literatury prof. Przemysław Czapliński, zaś tezę z jego książki przypomniał niedawno (w publikacji z roku 2024) inny współpracujący z „Tygodnikiem" polonista, prof. Wojciech Śmieja.

Od „Potopu" do „1670"

Solidarność wiele zawdzięcza ekranizacjom „Trylogii" Henryka Sienkiewicza z lat 70. Jerzy Hoffman daje nam nowe, popularne wcielenia Kmicica i Wołodyjowskiego akurat w momencie, gdy gorączkowo potrzebujemy – pisze Czapliński – nowego społecznego spoiwa. Odcięci od chłopskich korzeni, szukamy czegoś, co pozwoli nam na nowo poczuć dumę z polskości.

W roku 1974 dostajemy jednocześnie „Człowieka z marmuru" Andrzeja Wajdy, dobitnie pokazującego, że narracja o człowieku socjalistycznym nie działa, i „Potop" – film, który nobilituje lud (szczególnie mężczyzn), pozwalając im uwierzyć we własną sprawczość.

Z ducha tego „egalitarnego (i fantazmatycznego) sarmatyzmu zrodził się w końcu nowy Polak", pisze Śmieja, Polak „przebudzony", który zapisał się do „obiecującego odzyskanie sprawczości ruchu związkowego z jego wiecowym demokratyzmem, kultem maryjnym i wybiórczym tradycjonalizmem, obejmującym m.in. katolicyzm i umiłowanie wolności". „Pojawia się w połowie lat 70. zbawienna mutacja" – komentuje poeta Adam Zagajewski już w roku 1986 – „przyrost siły, odwagi, wiary, powrót do tradycji. Całkiem nowa muzyka, ton wyzwania, walki, przejęcia inicjatywy".

O ile towarzysz Edward Gierek mógł nie zdawać sobie sprawy z efektu, który wywoła powrót Kmicica, o tyle potęgę telewizji i kina doskonale rozpoznaje Jacek Kurski, nobilitując w roku 2015 disco polo. Także wtedy potrzebowaliśmy nowej pozytywnej opowieści, by uwierzyć w siebie, a muzyka disco polo i jej gwiazdy doskonale reprezentowały kapitalistyczny scenariusz sukcesu (odmienny przy tym od tego, który pisały elity, decydujące wcześniej o kształcie transformacji). To piosenkę Zenka Martyniuka śpiewa po awansie na Euro 2016 piłkarska reprezentacja. Puszczany w kinach film „Disco Polo" ma się stać filmem wszystkich Polaków na takiej samej zasadzie jak wcześniej „Potop".

Przypominamy o tym wszystkim nieprzypadkowo podczas oglądania nowego sezonu „1670", którego bez tamtych wydarzeń prawdopodobnie by nie było. Gdyby nie wspólne nam wszystkim „sienkiewiczowskie symulakrum" stworzone za czasów Gomułki i Gierka, nie pragnęlibyśmy urządzać dziś gamoniowatym sarmatom z Adamczychy powtórki z matury.

A gdyby nie ludzie zawodowo zajmujący się sztuką, nie zrozumielibyśmy również tego, co się tak naprawdę w naszej przeszłości wydarzyło – w końcu wszyscy, na których się tu powołujemy, byli (Zagajewski) lub są (Czapliński, Śmieja) związani z literaturą.

Kulturalny obywatel to lepszy obywatel

Filmy Hoffmana pozwoliły Polakom uwierzyć we własną sprawczość i jednocześnie zachować bliskie ich sercom wartości. Tak dzieje się bardzo często – związek między uczestnictwem w kulturze a aktywnością obywatelską jest dość dobrze zbadany. Unijny raport z roku 2023, zbierający zresztą przykłady nie tylko z naszego kontynentu, pokazuje, że ludzie, którzy regularnie chodzą do muzeów czy na koncerty, są bardziej skłonni do brania udziału w wyborach, życiu lokalnych społeczności i angażowania się w wolontariat.

Opublikowane w kwietniu 2026 r. wyniki trzech badań przeprowadzonych przez ośrodek działający przy amerykańskiej National Endowment for the Arts (NEA) potwierdzają, że uczestnictwo w kulturze (zwłaszcza w wydarzeniach na żywo) nie tylko czyni z nas lepszych obywateli (jest silnie skorelowane z udziałem w wyborach), ale pomaga w budowaniu więzi społecznych i przeciwdziałaniu samotności. Osoby aktywne kulturalnie częściej deklarują, że otrzymują potrzebne im wsparcie emocjonalne.

Oczywiście sam fakt istnienia oferty kulturalnej państwa czy samorządu nie gwarantuje jej integracyjnego wpływu na społeczności. Decydujące znaczenie ma sposób organizacji tej oferty, czyli kwestia, kto może uczestniczyć w wydarzeniach kulturalnych. Ważne jest również to, czy mieszkańcy mają realny wpływ na kształt tej oferty oraz czy kultura tworzy przestrzeń spotkania ludzi o różnym pochodzeniu, dochodach i doświadczeniach. Wniosek: im większe nierówności, tym większy problem ze zrozumieniem, po co nam ta sztuka.

W badaniach znajdujemy więc jedną z istotniejszych odpowiedzi na pytanie, dlaczego niedawne dyskusje na temat projektu „ustawy o artystach" podawały w wątpliwość nie tylko wartość pracy osób tworzących sztukę, ale sztuki w ogóle. I dlaczego z internetowych komentarzy dowiedzieliśmy się, że sztuka nie tylko nie dla wszystkich jest „ważna", ale że wydaje się wręcz stanowić zagrożenie dla „zwyczajnego Polaka".

Mnie na to nie stać

Z wydanej przez ekonomistów Pawła Bukowskiego, Jakuba Sawulskiego i Michała Brzezińskiego książki „Nierówności po polsku" dowiadujemy się, że w ciągu ostatnich lat naszą gospodarkę nadszarpnęły trzy czynniki: pandemia covid-19, wojna w Ukrainie oraz ich wypadkowa, czyli wysoka inflacja. Wszystkie te zjawiska pogłębiły nierówności, ponieważ uderzyły głównie w osoby o niskich i średnich dochodach.

A to właśnie dochód, jak pokazują m.in. badania Eurostatu, decyduje o tym, czy chętnie uczestniczymy w kulturze (im lepiej jesteśmy wykształceni i im więcej zarabiamy, tym chętniej to robimy). To ważne, bo jeśli z kultury korzystają w Polsce przede wszystkim osoby mieszkające w dużych miastach, wykształcone i zamożne, część korzyści z obcowania ze sztuką trafia do grup, ↦

↦ które już i tak mają sporo zasobów. Inni czują zaś – i mają zapewne rację – że coś ich omija.

Wspomniany unijny raport z 2023 r. pokazuje, że we wszystkich państwach członkowskich utrzymują się nierówności w dostępie do kultury, choć zasobność portfela nie musi wpływać na chęć obcowania z nią. Przykładem błyszczy Dania – 60 proc. jej najbiedniejszych obywateli przynajmniej raz w roku skorzystało z oferty kulturalnej swojego regionu (w Polsce to tylko 30 proc.).

Dlaczego tak się dzieje? Otóż Dania ma stosunkowo niski poziom nierówności, a do tego rozbudowane usługi publiczne. Duża część środków przeznaczanych na kulturę pochodzi z zysków loterii państwowej. Finansują one w dużej mierze organizacje działające poza obszarami miejskimi. W 2026 r. pierwsza transza środków na ten cel wyniosła ok. 260 mln koron (150 mln zł).

Ci spośród nas, którzy nazywali artystów „darmozjadami", mogli w ten sposób wyrażać sprzeciw wobec bycia niewidzialnymi dla państwa. Paradoks polega na tym, że to właśnie sztuka może przeciwdziałać nierównościom. A precyzyjniej: państwo wciąż może sprawić, że kapitał kulturowy nie będzie wyłącznie dziedziczony. Kultura będzie jednak narzędziem wyrównywania szans tylko wtedy, gdy politycy usuną sprzed naszych nóg istotne bariery edukacyjne (sprawiedliwy dostęp do dobrej szkoły) i geograficzne (walka z wykluczeniem komunikacyjnym).

Kocham cię jak Irlandię

Moment na dyskusję o zawodzie artysty, jak widać, nie był najlepszy. Irlandia zaczęła mówić o kiepskiej sytuacji życiowej twórców akurat wtedy, gdy wszyscy czuliśmy, jak bardzo potrzebujemy sztuki – pod koniec lockdownów. Czy pamiętają Państwo jeszcze, jak podczas pierwszego lockdownu, wiosną 2020 r., Agata Romaniuk jako „Pani Wieczorynka" zaczęła opowiadać dzieciom przez internet bajki na zamówienie? Maluchy proponowały bohaterów i tematy, a ona improwizowała historie. Jednego dnia dzieci poprosiły o opowieść o kotach – to właśnie z tej bajki wyrosła pierwsza przygoda Kociej Szajki wydana później przez Agorę (do dziś sprzedało się ok. pół miliona egzemplarzy serii).

W takim właśnie momencie zapotrzebowania na artystyczną pracę przeprowadzono w Irlandii szereg debat o roli sztuki i randze zawodu artysty, by w roku 2022 uruchomić pilotażowy program podstawowego dochodu dla osób działających w tym sektorze („Basic Income for the Arts Pilot Scheme"). Wybrani artyści otrzymywali 325 euro tygodniowo, bez konieczności rozliczania, na co przeznaczyli te pieniądze. Program miał sprawdzić, czy stabilne wsparcie finansowe ograniczy prekaryjność pracy artystycznej.

Łączny koszt programu brutto – obejmujący wypłaty dla uczestników i koszty administracyjne – wyniósł do 2025 r. ok. 114 mln euro. Jego rzeczywisty koszt dla finansów publicznych był jednak niższy, ponieważ wygenerował wpływy w postaci dochodów podatkowych i oszczędności wynikających z mniejszych wydatków na świadczenia społeczne (łącznie zrekompensowały niemal 37 proc. całkowitego kosztu programu). Największą korzyść społeczną przyniosła jednak poprawa dobrostanu psychicznego artystów, którą przeliczono w podsumowującym raporcie na 80 mln euro.

No dobrze: mieliśmy mówić o sztuce, a mówimy o pieniądzach. Robimy to jednak dlatego, by pokazać, że przeznaczanie środków na kulturę to nie tyle koszt, co inwestycja.

– Jeżeli rozwój kultury stymuluje rozwój innych sektorów gospodarki, państwo odzyskuje część poniesionych nakładów w postaci podatków wpływających do budżetu – tłumaczy prof. Dorota Ilczuk, ekonomistka, która od lat bada polski sektor kreatywny.

Jak sztuka zarabia

Pytamy więc o liczby – tym razem dotyczące Polski.

– Udział bezpośredni sektorów kulturalnych i kreatywnych (CCS) wynosił w ostatnich latach ok. 2,3–2,4 proc. polskiego PKB. W liczbach bezwzględnych to mniej więcej 63 mld zł rocznie. Jeżeli zestawimy tę wartość z rocznymi wydatkami publicznymi na kulturę, które wynoszą dwadzieścia kilka miliardów, to widzimy, że wartość wytwarzana przez ten sektor jest znacznie wyższa od publicznych nakładów.

Prof. Ilczuk dodaje, że średnia europejska to ok. 4,4 proc. PKB, a w krajach bę-

REKLAMA

dących liderami w tej dziedzinie udział sektora CCS w gospodarce to ok. 5 proc. W tych krajach sztuka zarabia dla swoich obywateli więcej niż przemysł samochodowy czy chemiczny. W Polsce wskaźnik jest niższy, bo nadal brakuje zrozumienia dla znaczenia i potencjału gospodarki kreatywnej. A jest ona tak istotna m.in. dlatego, że tworzy sporo miejsc pracy.

– W sektorze kultury i gospodarki kreatywnej pracuje ok. 300 tys. Polaków. Wiemy o ok. 60 tys. artystów, ale ich talent to jedynie punkt wyjścia do powstawania kapitału intelektualnego. Trzeba też pamiętać, że twórcy funkcjonują w całych łańcuchach produkcji. Mało który dociera do odbiorców samodzielnie: jeden rozpoznawalny daje pracę wielu innym: muzykom, scenografom, scenarzystom, kuratorom, ale też technikom (realizatorom dźwięku, oświetleniowcom, ochroniarzom itp.) – mówi ekonomistka, która w wywiadach lubi powoływać się na przykład Beyoncé. Amerykańska piosenkarka po każdym koncercie zwykła wymieniać w mediach społecznościowych nazwiska osób, bez których widowisko z jej udziałem nie mogłoby dojść do skutku. Na liście z podziękowaniami jest zwykle ok. 300 pracowników.

Żółw wyprzedza zająca

Foresight strategiczny to metoda systematycznego badania możliwych scenariuszy przyszłości, która ma pomóc organizacjom, państwom czy instytucjom lepiej przygotować się na zmiany. I tu sztuka ma nam wiele do powiedzenia.

– Spoglądanie na rzeczywistość z innej perspektywy łączy sztukę z foresightem – mówi specjalista w tej dziedzinie, badacz i kurator sztuki Bartosz Frąckowiak. – Chodzi o podważanie własnych założeń i wychodzenie poza utarte schematy myślenia. Firmy często przegrywają nie dlatego, że czegoś nie zauważają, ale dlatego, że są zbyt mocno przywiązane do sprawdzonego sposobu działania.

Potwierdza to Agata Bisping, projektantka i badaczka trendów współpracująca z dużymi markami komercyjnymi i instytucjami publicznymi.

– Takie miejsca jak Biennale Sztuki w Wenecji, Dutch Design Week w Eindhoven czy festiwal Ars Electronica w Linzu są częścią mojego warsztatu. To tam poszukuję trendów i odnajduję nieszablonowe pomysły, które mogę wykorzystać w budowaniu strategii.

Ludzie, którzy regularnie chodzą do muzeów czy na koncerty, są bardziej skłonni do brania udziału w wyborach, życiu lokalnych społeczności i angażowania się w wolontariat.

Jako przykład nasza rozmówczyni podaje instalację Lynn Hershman Leeson „Logic Paralyzes the Heart", powstałą we współpracy z modelem językowym GPT3. Bisping widziała ją na Biennale w Wenecji w 2022 r., na kilka dni zanim wszyscy zaczęliśmy korzystać na co dzień z czatów.

– W kilkunastominutowym wideo aktorka wcielała się w sześćdziesięcioletnią sztuczną inteligencję. Mówiła o swoich narodzinach i rozwoju. O chwili, gdy jej potomków nauczono ze sobą rozmawiać, a następnie gwałtownie rozdzielono, odbierając możliwość dalszego rozwoju. Była to opowieść pokazująca celebrację urodzin AI w sposób zupełnie inny niż technologiczny. Zwracała uwagę na znaczenie społecznej odpowiedzialności technologii i na to, jak może wyglądać rozwój algorytmów, kiedy przybierają ludzką postać – opowiada Bisping. – Nawet korporacje, które funkcjonują w pozornie stabilnym otoczeniu, wciąż powinny rozwijać wyobraźnię. Nie po to, żeby tworzyć futurystyczne wizje, ale żeby nie stać się zającem, którego wyprzedza żółw – dodaje.

Czy jednak mgliście brzmiąca „praca z wyobraźnią" może przełożyć się na skuteczniejsze decyzje biznesowe? Nasi rozmówcy odpowiadają twierdząco, podając przykład Kodaka – przez lata najważniejszego producenta filmów i aparatów fotograficznych.

– Mówi się, że firma nie dostrzegła nadejścia epoki cyfrowej, ale to nieprawda: Kodak bardzo wcześnie eksperymentował z nową technologią, stworzył własny aparat cyfrowy i rozwijał rozwiązania z zakresu obrazowania cyfrowego w medycynie – mówi Frąckowiak. – Dostrzegł zmianę, ale miał trudności z oceną jej tempa, znalezieniem rentownego modelu i ustaleniem, gdzie w nowym ekosystemie będzie powstawać wartość.

Podobnie było z wypożyczalniami filmów, które wyparł Netflix.

– Gdyby firmy, które później stały się konkurencją dla Kodaka czy wypożyczalni, nie uruchomiły wyobraźni, nie byłyby w stanie stworzyć produktów, z których dziś korzystamy – podsumowuje Bisping.

Pożytki z prowokacji

Tylko czy przykłady praktycznego wykorzystania sztuki przesądzają o jej wartości? Socjolog kultury prof. Marek Krajewski odżegnuje się od „reżimu użyteczności".

– To myślenie na pierwszy rzut oka racjonalne, ale prowadzi donikąd – stwierdza. – Tym, co czyni nas ludźmi, jest przecież oddawanie się rzeczom pozornie nieużytecznym i często nieopłacalnym: miłości romantycznej, wieszaniu ozdób świątecznych albo śmianiu się z memów i rolek w mediach społecznościowych.

Utowarowieniu sztuki sprzeciwia się też prof. Ilczuk.

– Kultura jest częścią gospodarki, sektorem posiadającym swoje specyficzne cechy, bardzo zbliżone do cech dóbr publicznych. Są to jednak dobra generujące pozytywne efekty, więc powinno się je wspierać niezależnie od bieżącego popytu – mówi Ilczuk.

Powiedzieliśmy już o budowaniu tożsamości narodowej na przykładzie „Potopu", związkach uczestnictwa w kulturze z aktywizacją obywatelską i zaangażowaniem w wolontariat. Prof. Krajewski zwraca jeszcze uwagę, że w tożsamość narodową wpisują się nie tylko te cechy, z których jesteśmy dumni, ale także sfery ↦

tabu i przemilczeń, które wymagają przepracowania.

– Potrzebujemy miejsc, w których możemy przekraczać granice i pracować z tym, co niebezpieczne, zarówno dla jednostki, jak i dla istniejącego porządku społecznego – mówi. – Sztuka zdolna jest do konfrontowania nas z tym, co wyparte, wymuszając np. dostrzeżenie toksycznej męskości, głęboko zinternalizowanej ksenofobii czy strachu przed nieheteronormatywną seksualnością. To dlatego niektóre dzieła są tak prowokujące czy wręcz odpychające. Chodzi o wydobycie na powierzchnię tego, co zepchnięte do zbiorowej nieświadomości, a co kieruje naszymi działaniami, nawet gdy temu zaprzeczamy.

Sztuka krytyczna, którą najpełniej kojarzymy z tym nurtem, nieprzypadkowo pojawiła się właśnie w momencie, gdy do Polski dotarła zachodnia, silnie skomercjalizowana kultura wizualna, oparta na idealizowanych, silnie seksualizowanych wizerunkach ciała. Sztuka przypominała np., że nasze ciała zmieniają się wraz z wiekiem albo na skutek chorób, są kruche i niedoskonałe.

Dobrze wyjść z domu

Dziś – co ciekawe – sztuka porzuciła nurt krytyczny, stawiając na praktyki kooperacji. To również wynik kryzysów ostatnich lat: od załamania rynków finansowych pod koniec pierwszej dekady XXI w. aż po pandemię i wybuch pełnoskalowej wojny w Ukrainie. Czynniki, które wpłynęły na nasze domowe budżety, pokazały nam również, jak bardzo jesteśmy zależni od siebie. Kiedy instytucjonalne formy solidarności okazują się mało sprawcze, a państwo ociąga z reakcją na kryzys, ludzie poszukują rozwiązań w najbliższym sąsiedztwie – specjaliści nazywają to „relacyjną zwinnością".

Wyjątkowo zwinna okazała się w tej sytuacji sztuka: Biennale Matter of Art w Pradze mocno postawiło na współpracę publiczności, umożliwiając jej także bezpłatny wstęp na wszystkie wystawy. Artyści, odwołując się do teorii Jerzego Ludwińskiego, zaczynają mówić dziś nawet o posztuce, w której dziełem staje się samo działanie, sytuacja społeczna, rozmowa, akcja – czynność, której na pierwszy rzut oka w ogóle nie nazwalibyśmy sztuką.

Aktywizująca rola sztuki ma szczególne znaczenie w kontekście dobrostanu osób starszych, bo zmniejsza poczucie osamotnienia, korelujące z depresją i lękiem.

Przykładem, obecnym także na praskim Biennale, są projekty, w których artysta nie tworzy muzealnego dzieła, a zakłada ogród społecznościowy, organizuje procesję albo pracuje z mieszkańcami konkretnego miejsca nad rozwiązaniem ważkiego dla nich problemu. Właśnie takie praktyki są dziś określane jako postartystyczne. Artyści znów, jak w pandemii, reagują na to, czego najbardziej potrzebujemy.

Bywa zresztą, że sztuka przenika do miejsc, które z działalnością artystyczną kojarzą się najmniej, np. szpitali psychiatrycznych.

– Wielu naszych pacjentów ma trudność z opowiadaniem o własnych uczuciach. Kontakt ze sztuką pozwala odkrywać różnorodność emocji i lepiej je rozpoznawać – mówi psychiatra, prof. Dominika Dudek. – W grupach terapeutycznych, także dla pacjentów z głębszymi zaburzeniami, dzieło może stać się metaforą lub analogią. Dzięki niemu łatwiej otworzyć pacjenta. Sztuka może także wspierać psychoterapię na poziomie emocjonalnym. Osoby cierpiące z powodu zaburzeń psychicznych często pozostają zamknięte w swoich emocjach, ruminują, czyli nieustannie powracają do myśli lękowych lub depresyjnych. Jeżeli pod wpływem kontaktu z dziełem pojawiają się w nich inne emocje, staje się to punktem wyjścia do rozmowy terapeutycznej.

Prof. Dudek zaznacza, że ważne są także pośrednie skutki obcowania ze sztuką. Mówiąc wprost: zachęca ona do wyjścia z domu. – Paradoksalnie dla lekarzy większym wyzwaniem niż omamy, urojenia czy dezorganizacja zachowania są tzw. objawy negatywne: apatia, anhedonia, wycofanie z kontaktów społecznych. Pacjenci stają się emocjonalnie wyczerpani, zamykają się w domach, tracą motywację do działania.

Co ciekawe, aktywizująca rola sztuki ma szczególne znaczenie w kontekście dobrostanu osób starszych, ponieważ jednym z największych problemów, z jakimi mierzą się dziś seniorzy, jest poczucie osamotnienia, korelujące z depresją i lękiem.

– Duże badanie przeprowadzone w Anglii wykazało, że chodzenie do kina, muzeów, galerii, teatrów, na koncerty czy do opery znacząco obniża wskaźnik poczucia osamotnienia. Kontakt ze sztuką może także spowalniać narastanie zaburzeń poznawczych – mówi prof. Dudek, podkreślając, że sztuka oczywiście nie zastąpi samego leczenia: farmakoterapii czy psychoterapii. Ale skutecznie je wspiera.

Wielkie laboratorium

Opublikowany w 2022 r. raport OECD „Kultura jako rozwiązanie: kreatywni ludzie, miejsca i sektory" potwierdza, że finansowanie partycypacji w kulturze przynosi korzyści w zakresie zdrowia psychicznego i fizycznego obywateli, a rozwój tzw. *cultural welfare* (kultury jako elementu profilaktyki zdrowotnej) odciąża systemy opieki społecznej i zdrowotnej.

Ponadto, angażowanie społeczności poprzez kulturę ułatwia wprowadzanie trudnych zmian, np. związanych z zieloną transformacją i przeciwdziałaniem zmianom klimatu. Projekty takie jak unijny program „New European Bauhaus" (Nowy Europejski Bauhaus) celowo łączą zaangażowanie kulturalne i sztukę z praktycznym zazielenianiem przestrzeni.

Zresztą – wciąż eksperymentuje się z nowymi funkcjami sztuki, analizując sektory kulturalne i kreatywne jako klu-

czowe filary nowoczesnej gospodarki. Twórcy wspomnianego raportu OECD rekomendują wręcz poszczególnym rządom traktowanie wydatków na kulturę jako strategiczną inwestycję, która pozwoli Europejczykom na budowanie odpornych gospodarek. Finansowanie CCS działa bowiem jak „laboratorium badawczo-rozwojowe", podnosząc produktywność i konkurencyjność państw na rynku międzynarodowym.

Ten „laboratoryjny" wymiar pobrzmiewa w wypowiedziach większości naszych rozmówców. – Efekty oddziaływania kultury to nie tylko monetyzacja zachodząca w obrębie samego sektora – mówi prof. Ilczuk. – Druga fala oddziaływania związana jest z eksperymentem – to właśnie kultura, przemysł kultury i branże kreatywne są miejscem, w którym najchętniej testuje się nowe rozwiązania.

Prof. Krajewski uzupełnia to o przykład rozwijającej się od lat 70. XX wieku sztuki społecznościowej: – Artyści inicjują w niewielkich grupach procesy budowania mniej opresyjnych form współżycia, opartych na współpracy i zaufaniu. Sztuka staje się też laboratorium bioinżynieryjnym.

Chodzi tu o bio-art, jedną z najbardziej kontrowersyjnych współczesnych praktyk artystycznych.

– Początkowo projekty te miały charakter eksperymentów z nowym medium, jakim jest żywy organizm (zwierzęcy lub ludzki). Myślę jednak, że wiele takich prac tworzone jest, by pokazać, co w istocie dzieje się dziś w laboratoriach naukowych – wyjaśnia prof. Krajewski. – Nowe formy życia, linie komórkowe, hybrydyczne organizmy tworzy się często właśnie po to, aby uświadomić społeczeństwu, jak niewielką kontrolę ma nad tym, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami laboratoriów.

Artyści to jednak nie tylko sygnaliści.

– Sztuka pomaga zrozumieć teraźniejszość – przypomina Frąckowiak. – Potrafi uwidocznić zjawiska, o których nie myślimy albo które skutecznie ukrywają się za językiem. Dobrym przykładem jest pojęcie „chmury danych". Mówimy o „chmurze", używając metafory kojarzącej się z czymś lekkim, niematerialnym, swobodnie unoszącym się w przestrzeni. Tymczasem chodzi o ogromne centra danych wypełnione tysiącami ciężkich serwerów. Fizyczna infrastruktura zbudowana z betonu, stali, kabli i metali ziem rzadkich, która zużywa ogromne ilości energii.

Ciekawym przykładem jest także „Zestaw do prac terenowych nad materialnym internetem: Warszawa" Vanessy Graf, pokazujący to, co zwykle pozostaje niewidoczne – ukryte wewnątrz technologicznych „czarnych skrzynek" albo schowane za metaforami, którymi posługuje się branża technologiczna. Dzięki artystce zaczynamy dostrzegać, że język nie zawsze opisuje rzeczywistość, a często ją maskuje.

W pokoju widzeń

Wracamy zatem do tego, co opowiedzieliśmy sobie na początku: gdyby nie ludzie zajmujący się sztuką, nie rozumielibyśmy wielu procesów, które dzieją się wokół nas. Ale ponieważ tamten przykład dotyczył wydarzeń w skali makro, na koniec przywołamy przykład skali mikro. Pożyczymy go sobie od prezeski polskiej sekcji IBBY, Joanny Piekarskiej.

Piekarska wiele razy odwiedzała zakłady karne, rozmawiając z więźniami i więźniarkami o sztuce. Osadzeni najczęściej prosili o lekturę i rozmowę na temat książek dla najmłodszych. Dlaczego? Ponieważ dzięki niej byli przygotowani na widzenie ze swoimi dziećmi: wspólna lektura bardzo ułatwiała rozpoczęcie rozmowy w pokoju widzeń.

Prezeska polskiej sekcji IBBY opowiada o listach, które przez lata otrzymuje od więźniów: wielu z nich dziękuje właśnie za to, że po raz pierwszy od dawna nie wstydzili się spotkania z córkami i synami. Książki pozwoliły im na nowo zadzierzgnąć relacje z bliskimi.

Zatem: jeśli mieliby Państwo zapamiętać tylko jeden argument w debacie o potrzebie sztuki, proszę zachować w pamięci ten.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA, TADEUSZ MAREK

Tadeusz Marek jest dziennikarzem Radia Kraków.

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Karolina Biały, Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

ARCHIWUM PRYWATNE

KRAJ

Agnieszka po 14 latach mieszkania w Krakowie wróciła na wieś

W STRONY, KTÓRE ZNAM

Wyjechać do metropolii, zdobyć tam wykształcenie i zrobić karierę – tak przez lata definiowano awans społeczny. Dziś coraz więcej osób wybiera odwrotną drogę. Skąd te powroty do rodzinnych miejsc?

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

Ewing w stanie New Jersey dzieli od Białegostoku ponad 7 tys. kilometrów. Właśnie tyle przez ponad dwie dekady dzieliło 41-letnią Anię od rodzinnego niedzielnego obiadu czy kawy z mamą. Do USA wyjechała w wieku 18 lat i tam zbudowała swoje życie: skończyła studia, założyła rodzinę, prowadziła biznes. Na pierwszy rzut oka niczego jej nie brakowało, ale – jak sama przyznaje – z roku na rok coraz bardziej doskwierała jej tęsknota za bliskimi.

Spełnienie marzeń

– Moja siostra, która razem ze mną przyjechała do Stanów, dziesięć lat temu wróciła do Polski, a mój mąż, też Polak, nie miał tu żadnych krewnych – wspomina Ania i dodaje, że o wizji powrotu do kraju rozmawiali od kilku lat.

– W kwietniu ubiegłego roku zmarła jego mama i to wydarzenie bardzo mocno nami wstrząsnęło. Zaczęliśmy się zastanawiać, dlaczego nadal jesteśmy na drugim końcu świata, bez rodziny. Tym bardziej że coraz częściej słyszeliśmy, iż dziś w Polsce żyje się lepiej niż kiedykolwiek – mówi Ania. Kilka miesięcy później, pod koniec sierpnia 2025 r., byli już w Białymstoku, jej rodzinnym mieście.

– Od czasów pandemii oboje z mężem pracujemy zdalnie, a po kilku latach zamknięcia z komputerami w maleńkich, wynajmowanych mieszkaniach, mieliśmy poczucie, że się dusimy. Wtedy zaczęliśmy myśleć o wyprowadzce na wieś – opowiada z kolei 32-letnia Agnieszka, która dwa miesiące temu, po 14 latach mieszkania w Krakowie, wróciła w rodzinne strony. Razem z mężem Szymonem przeprowadziła się do małej wsi niedaleko Brzeska, do wiekowego domu po babci. Rodzice Agnieszki mieszkają 15 kilometrów dalej.

– Pamiętam, że gdy wyjeżdżałam do Krakowa, byłam – jak pewnie wiele osób dorastających w małych miejscowościach – przekonana o tym, że życie w wielkim mieście będzie spełnieniem marzeń. Tymczasem dziś cieszę się, że po pracy mogę zamknąć komputer i iść na długi spacer albo spontanicznie podjechać do rodziców rowerem – śmieje się kobieta.

Młode małżeństwo równolegle buduje niewielki domek w Beskidzie Wyspowym, skąd pochodzi Szymon. Za kilka lat właśnie tam planują osiąść.

– Jedyną rzeczą, która na stałe przywiązałaby nas do dużego miasta, byłaby stacjonarna praca. Mamy jednak to szczęście, że od kilku lat pracujemy, podróżując, i podróżujemy, pracując – mówią dobiegający trzydziestki Maja Sobańska i Michał Kasprzak, para internetowych twórców, którzy po sześciu latach życia w Poznaniu, kilka miesięcy temu przeprowadzili się do Rawicza, rodzinnego miasta Mai.

Zgodnie przyznają, że z czasem doszli do wniosku, iż metropolia nie jest im potrzebna do szczęścia. – Im więcej podróżujemy, tym bardziej doceniamy naszą miejscowość. Jeśli trzeba, w sprawach zawodowych zawsze możemy pojechać do Warszawy czy Poznania, ale na co dzień nie potrzebujemy aż tylu atrakcji – mówi Maja.

Para nie ukrywa, że ich decyzja miała również wymiar ekonomiczny. – W mniejszych miejscowościach koszty życia są niższe, a wynajem mieszkania jest znacznie tańszy niż w dużych miastach, gdzie ceny są absurdalnie wysokie. To pozwala nam oszczędzać pieniądze na własny kąt – dodaje Michał.

Drogo, szybko, głośno

Historie moich bohaterów wydają się wpisywać w szerszą zmianę. I choć prof. Marek Nowak, socjolog z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu podkreśla, że trudno jak na razie mówić o wyraźnym społecznym trendzie powrotów młodych dorosłych do rodzinnych miejscowości, to w badaniach jakościowych coraz wyraźniej widać zmianę w ich sposobie myślenia o miejscu do życia.

Przez dziesięciolecia kierunek awansu społecznego – głównie za sprawą postępującej urbanizacji, rosnącej popularności studiów oraz popkulturowych przekazów gloryfikujących miejskie życie – wydawał się dość prosty. Z małej miejscowości do dużego ośrodka. Dziś powielany przez lata schemat przestaje być dominujący, a wizja budowania życia i kariery w metropolii dla wielu osób przestaje być oczywistym wyborem.

Jak zauważa badacz, za zmianą stoją bardzo konkretne problemy społeczne. W czołówce plasują się wysokie ceny nieruchomości w dużych miastach, upowszechniona w czasach pandemii praca zdalna (z badania Experience Institute wynika, że w 2024 r. około 3,2 mln Polek i Polaków wykonywało swoje obowiązki całkowicie zdalnie) oraz wyraźnie widoczna – szczególnie wśród przedstawicieli młodszych pokoleń – zmiana postrzegania tego, czym jest sukces.

– Model kariery opartej na filmowej wizji pracy w wielkiej korporacji powoli się dezaktualizuje. Dziś młodzi ludzie mieszkający w dużych miastach mierzą się z ogromnymi kosztami życia, które praca na etacie często ledwo co pokrywa. W rezultacie podejmują się dodatkowych zajęć i finalnie nie mają ani czasu, ani siły na korzystanie z miejskich atrakcji – wyjaśnia prof. Nowak.

Możliwość wykonywania pracy zdalnej sprawia jednak, że przeprowadzka do mniejszej miejscowości staje się dla wielu osób racjonalną receptą na poprawę jakości życia i nie musi oznaczać życiowej porażki. Zwłaszcza że – jak zauważa socjolog – coraz więcej mieszkańców dużych ośrodków odczuwa przebodźcowanie i zmęczenie: ludzie funkcjonują w pośpiechu, stresie i hałasie, a dodatkowo wiele polskich miast zmaga się z turystyfikacją i dużym przeciążeniem przestrzeni publicznych.

– Przebywając tu, ma się poczucie funkcjonowania w ulu, z którego po jakimś czasie chce się po prostu uciec – dodaje badacz.

Tu mam wszystko

Maja Sobańska przyznaje, że jako nastolatka nie spodziewała się, że kiedykolwiek wróci do Rawicza. Myślała, że w niespełna 20-tysięcznym miasteczku nie ma nic interesującego. Kilkanaście lat później życie w nim ocenia na plus: mniejsza liczba bodźców i spokój.

– W zasięgu spaceru mamy tu wszystko, czego potrzebujemy. Nie musimy się martwić o miejsce parkingowe, mamy ulubioną kawiarnię. Co rusz spotykamy rodzinę lub znajomych, z którymi możemy zamienić kilka słów. Na wyciągnięcie ręki jest też jezioro, wokół którego biegamy, tereny rekreacyjne i piękna natura, do której, mieszkając w Poznaniu, musieliśmy dojeżdżać komunikacją – wylicza Maja.

Zdaniem prof. Nowaka takie historie pokazują, że lokalność przestaje kojarzyć się z ograniczeniami, a coraz częściej staje się świadomym wyborem. Zmianę tę widać nie tylko w rosnącej popularności ↦

↦ lokalnych wydarzeń oraz produktów i usług z najbliższej okolicy, ale także w raportach opisujących współczesne trendy społeczne. Co ciekawe, decyzje o życiu w mniejszych miejscowościach mogą mieć znaczenie nie tylko dla osób, które wracają w rodzinne strony, ale także dla samych wsi i miasteczek – od lat lawinowo tracących młodych mieszkańców.

Badanie „Skąd i dokąd uciekają młodzi Polacy" realizowane przez prof. Piotra Szukalskiego, demografa z Uniwersytetu Łódzkiego, wskazuje, że w niektórych powiatach w Polsce spadek liczby młodych osób szacuje się na blisko 40 proc. – Powroty w rodzinne strony mogą sprawić, że lokalne społeczności będą miały szansę się odrodzić – mówi socjolog.

W pewnym wieku

Dlaczego wielu ludzi w okolicach trzydziestki lub po czterdziestce zaczyna inaczej patrzeć na rodzinne okolice, z których jako nastolatkowie chcieli uciec jak najdalej?

Zdaniem prof. Piotra Olesia, psychologa osobowości z Uniwersytetu SWPS, odpowiedzi należy szukać w procesie rozwoju człowieka. To właśnie na przełomie wczesnej i średniej dorosłości zmienia się perspektywa, z której patrzymy na własne życie i podejmowane decyzje.

– Rozwój człowieka w dorosłości polega na refleksji i stopniowym przesuwaniu akcentów: od poszukiwania prestiżu ku poszukiwaniu większego sensu, i od koncentracji na sobie ku większej uważności na innych – wyjaśnia badacz i dodaje, że coraz silniejsza staje się też potrzeba „mówienia własnym głosem" oraz budowania życia wedle własnych wartości, a nie społecznych oczekiwań i utartych schematów. To właśnie wtedy wiele osób zaczyna zastanawiać się, na co poświęca swój czas i energię, oraz na nowo zadaje sobie pytania o własne miejsce w świecie.

Tego typu przewartościowanie nie następuje z dnia na dzień, ale jest procesem, który trwa latami. Doskonale pamięta go Agnieszka, która pierwszy powrót w rodzinne strony „zaliczyła" tuż po skończeniu studiów. Przyjechała do domu rodziców na rok, bo chciała na spokojnie zastanowić się, co dalej.

– Wtedy powrót był dla mnie ogromną porażką, wstydziłam się wychodzić z domu, bo wydawało mi się, że wszyscy myślą sobie: „Nie udało jej się w tym Krakowie" – wspomina.

Poczucie „bycia u siebie" jest kotwicą dla tożsamości, dającą bezpieczeństwo w dynamicznie zmieniającym się świecie. Chodzi też o świadomość własnych korzeni i poczucie wspólnoty.

To poczucie nie wzięło się znikąd, bo w społecznej narracji powrót z dużego miasta w rodzinne strony wciąż rozpatrywany jest jako życiowy krok wstecz.

– O tym, jak postrzegamy dane miejsce, często decydują porównania społeczne. Dopóki utożsamiamy np. duże miasta z prestiżem, dopóty w naturalny sposób do nich dążymy, a w takim układzie powrót zawsze będzie wydawał się porażką – wyjaśnia prof. Oleś zaznaczając, że jest to dość jednostronne pojmowanie życia. Zdaniem psychologa dużo ważniejsze od tego, gdzie mieszkamy, jest to, czy robimy rzeczy, które mają dla nas sens.

Zmieniają się jednak nie tylko ludzie, ale także miejsca, co również wpływa na decyzję o powrocie. Przez ostatnie dwie dekady wiele wiosek oraz małych miejscowości przeszło przemianę, więc budowanie życia w rodzinnych okolicach coraz częściej okazuje się nie tyle nostalgicznym powrotem do przeszłości, ile spotkaniem z miejscem, które ewoluowało niemal tak samo, jak powracający do niego po latach mieszkańcy.

– Wieś nie jest już taka sama jak dwadzieścia lat temu. Są markety, paczkomaty, usługi. Ludzie podróżują, poznają świat, przywożą nowe pomysły i realizują je u siebie. Ostatnio byliśmy z mężem na świetnej neapolitańskiej pizzy w maleńkiej wsi obok. Prowadzi ją chłopak, który wrócił z Włoch i otworzył pizzerię przy własnym domu. Kilkanaście lat temu byłoby to nie do pomyślenia – opowiada Agnieszka.

Dobrze, gdzie nas nie ma

„I tak zaraz wrócicie do Stanów", „co wy będziecie w tej Polsce robić?", „w Polsce fajnie jest tylko w wakacje" – to tylko kilka komentarzy, które regularnie od bliższych i dalszych znajomych słyszą Ania i jej mąż.

– Ludzie nadal mają w głowie wizję „American Dream" sprzed dekad, tymczasem rzeczywistość w USA bardzo się zmieniła – mówi kobieta i dodaje, że przez wszystkie lata na emigracji najbardziej brakowało jej tego, co większość ludzi w kraju ma na wyciągnięcie ręki, czyli rodziny. Uderzyło ją to szczególnie mocno, gdy pojawiły się dzieci.

– Czułam się osamotniona, spokoju nie dawała mi myśl o tym, że moje dzieci wychowują się bez bliskich, że nie mamy tu swojej „wioski", takiej społecznej sieci wsparcia. Sama byłam wychowywana wśród dziadków, cioć i kuzynostwa, wszyscy byliśmy ze sobą blisko. A moje dzieci nie miały w Stanach nikogo – przyznaje Ania.

I choć w USA żyło jej się dobrze, to miała poczucie, iż prawdziwy dom jest gdzie indziej. – W Białymstoku po prostu czuję, że jestem u siebie. Mimo tego, że miasto przez te lata bardzo się zmieniło, i mimo tego, że wiele rzeczy muszę tu budować od nowa – podsumowuje.

Jak wyjaśnia prof. Oleś, poczucie zakorzenienia, o którym opowiada Ania, jest jedną z podstawowych potrzeb człowieka i nie sprowadza się wyłącznie do miejsca zamieszkania. To także świadomość własnych korzeni, historii rodziny oraz wspólnoty, z którą czujemy się związani.

Poczucie „bycia u siebie" jest niezwykle silną kotwicą dla tożsamości, dającą stałość i bezpieczeństwo w dynamicznie zmieniającym się świecie. – Pozwala nam ono także odpocząć, bo nie musimy wchodzić w role, zakładać maski ani udawać. Możemy być po prostu sobą – dodaje badacz.

Nie jest tak różowo?

Przeglądając sielskie ujęcia zachodów słońca czy słuchając opowieści o śpiewie ptaków o świcie, łatwo popaść w zachwyt. Trzeba jednak mieć świadomość, że powrót w rodzinne strony – na wieś lub do małego miasta – oprócz ciszy, pięknych widoków, spokoju i bliskości rodziny, często wiąże się z różnorodnymi kosztami – ograniczonym rynkiem

pracy, kiepską (a czasem żadną) komunikacją zbiorową, mniejszą ofertą usług czy wydarzeń kulturalnych, zamkniętą społecznością.

– To dla mnie wciąż świeża sprawa, więc trochę romantyzuję małomiasteczkową codzienność, ale nie jestem oderwana od rzeczywistości. Do 18. roku mieszkałam na wsi i wiem, że to ma swoje minusy – mówi Agnieszka i wskazuje jeden z nich: na wsi trudno funkcjonować bez samochodu.

– Teraz są wakacje, więc do miasta dojeżdżają stąd tylko dwa autobusy, podobno w roku szkolnym jest trochę lepiej, ale to i tak kropla w morzu, zwłaszcza jeżeli ktoś musi codziennie dojeżdżać do pracy – wyjaśnia Agnieszka, która swe aktywności poza wsią musi planować z większym wyprzedzeniem.

Mieszkając prawie 70 kilometrów od Krakowa, „nie ma opcji" na spontaniczne spotkania z przyjaciółmi. Podobnie sprawa wygląda z usługami: lekarzem, weterynarzem, fryzjerem. – Na pewno jest tu także dużo mniejsza anonimowość, co dla wielu osób może być niewygodne i uciążliwe. Kiedy my się przeprowadziliśmy, kilka razy musiałam opowiadać o tym, czyją jestem córką i co właściwie tu robię – śmieje się Agnieszka.

Ania z kolei przyznaje, że powrót do kraju – mimo ogromnych korzyści wynikających z bliskości rodziny – nie był bułką z masłem, bo w Stanach prowadziła własny biznes (organizowanie różnych eventów), który dawał jej satysfakcję i stabilność finansową. W Polsce na razie szuka swojego miejsca i układa życie na nowo. Problemem okazała się również adaptacja syna w nowej szkole, no i niektóre koszty – nie spodziewała się, że nieruchomości w Białymstoku są aż tak drogie.

Michał śmieje się, że życie w niedużym mieście, jakim jest Rawicz, wymaga od niego doskonalenia sztuki small talku, za którym niespecjalnie przepada. A z racji tego, że kocha dobrze zjeść, za jedyny poważny minus uważa ograniczoną ofertę gastronomiczną. Jego partnerka Maja minusów życia w Rawiczu nie dostrzega. – Naprawdę, musiałabym szukać na siłę!

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Mateusz Morawiecki na pierwszym Kongresie Rozwój + Wy. Warszawa, 31 lipca 2026 r.

Prorocy zdrowego rozsądku

MARCIN KĘDZIERSKI

POLITYKA | Niezależnie od tego, czy rozpad Prawa i Sprawiedliwości zakończy trwającą od ponad 20 lat epokę PO-PiS, jesteśmy świadkami nowego otwarcia w polityce. Nie ma to jednak nic wspólnego z żadnymi ideami.

Podobne momenty często prowokują pytania o nowy kształt sceny politycznej, a uczestnicy debaty publicznej niemal intuicyjnie i bezrefleksyjnie sięgają po pojęcia „prawicy" i „lewicy". Widać to było świetnie podczas grillowej konferencji inauguracyjnej stowarzyszenia Rozwój Plus. Z jednej strony toczyła się dyskusja, jaka będzie ta nowa prawica i jak może poszerzyć swe poparcie, by wygrać wybory – z drugiej, w programie umieszczono punkt o wdzięcznym tytule „Rozwój a wykluczenia. Jak idąc do przodu nie zostawić nikogo z tyłu. Lewicowa perspektywa".

Swoi i obcy

Rozważania o prawicy i lewicy nie są oczywiście niczym nowym. Choć w Polsce problematyka ta na dobre pojawiła się dopiero z nadejściem III RP, już w czasach PRL oś prawica-lewica była kategorią do opisu „swoich" i „obcych". Nawet wtedy, gdy osoby reprezentujące oba te nurty wciąż stały wspólnie po jednej stronie antykomunistycznej barykady.

Nie chcę wchodzić w historyczne dyskusje, jakie znaczenie w tamtym momencie miał ów spór. Ważniejsze jest w moim odczuciu co innego. Prowadząc kilkanaście lat temu wywiady z działaczami Solidarności, którzy reprezentowali później nieraz skrajnie różne środowiska, pytałem ich o prawicowość lub lewicowość opozycji antykomunistycznej. Z tych rozmów wyłaniały się dwie główne cechy wyróżniające.

Pierwsza nie może być zaskoczeniem – chodzi o stosunek do Kościoła. Druga jest bardziej zadziwiająca i w moim ↦

↦ odczuciu ciekawsza. Jeden z działaczy wspominał, że osoby o bardziej „prawicowych" poglądach po nocnych, konspiracyjnych nasiadówach przebierały się do spania w piżamy, podczas gdy „lewicowcy" kładli się do łóżek w samej bieliźnie.

Nawet traktując tę anegdotę (i inne historie z tamtych lat) z przymrużeniem oka, można znaleźć w nich coś niezwykle istotnego. Po pierwsze, podział elit na te bardziej prawicowe lub bardziej lewicowe bazował na kwestiach czysto towarzyskich. Działacze opozycji antykomunistycznej trafiali do nowych partii w latach 90. XX wieku bardziej według klucza wspólnych znajomych niż rozstrzygnięć ideowych. Po drugie, podział miał bardziej charakter estetyczny, i jestem gotów bronić hipotezy, że tak pozostało do dziś.

Nim jednak wrócę do rozwinięcia tego poglądu, warto wspomnieć, iż pierwsze kilkanaście lat historii politycznej III RP porządkował spór na postkomunistów i postsolidarnościowców. Pierwsi automatycznie zostali lewicą, nawet jeśli byli wolnorynkowymi nacjonalistami, co świetnie obrazuje przykład premiera Leszka Millera (*vide* jego obecne wypowiedzi, które mogą wprawiać w osłupienie). Drudzy z kolei zostali ochrzczeni mianem prawicy, nawet jeśli byli niewierzącymi działaczami związków zawodowych.

Nie było to oczywiście jakąś polską specyfiką. Z podobną sytuacją, trwającą nawet dłużej niż nad Wisłą, mieliśmy do czynienia choćby w Rumunii, gdzie postkomunistyczna PSD reprezentowała głosy tradycyjnych, konserwatywnych terenów.

Solidarni vs liberalni

Ten podział upadł ostatecznie w 2005 roku, kiedy za sprawą dwóch największych partii spór został narysowany na nowo. „Polska solidarna" i „Polska liberalna" miały reprezentować nową oś prawica-lewica, choć przecież zarówno PiS, jak i PO, były co do zasady partiami (centro)prawicowymi.

Gdybyśmy jednak przyjrzeli się różnym wymiarom polityki kolejnych rządów w XXI wieku, to pomimo rozpętania „wojny polsko-polskiej" wszystkie gabinety realizowały podobną politykę. W wymiarze światopoglądowym (umiarkowanie) konserwatywną, a w wymiarze gospodarczym – (neo)liberalną z socjalnym komponentem transferowym, rozpoczętym w epoce PiS i wciąż kontynuowanym. A jeśli jeszcze odseparowalibyśmy kwestie natury estetycznej, naprawdę trudno byłoby wskazać istotne różnice.

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Krzysztof Stanowski w drodze na debatę w TV Republika. Warszawa, 14 kwietnia 2025 r.

Polityka podatkowa – liberalizacja, zwłaszcza wobec zagranicznych inwestorów. Ochrona zdrowia – postępująca prywatyzacja. Edukacja – miks paradygmatu konserwatywno-liberalnego (z małymi przesunięciami akcentów). Polityka mieszkaniowa – raj dla deweloperów. Transport – prymat budowy dróg i „samochodoza" kosztem kolei i transportu publicznego. Inspekcje i agencje regulacyjne – systemowe osłabianie realizowane po cichu. I tak dalej. Nawet w wymiarze światopoglądowym wciąż mamy dość restrykcyjne prawo antyaborcyjne i brak związków partnerskich, choć „lewicowa" Platforma Obywatelska miała w latach 2010-2015 wszystkie narzędzia w ręku, aby je wprowadzić.

Partie polityczne nie różnią się w swoich programach i działaniach z dość prostego powodu. Wyborcy są zwyczajnie bardzo homogeniczni ideowo, choć podejrzewam, że dla części czytelników teza ta może wydać się niemal obrazoburcza. Zdecydowana większość Polaków chce niskich podatków i silnego państwa, ale tylko wobec innych. Mnie osobiście państwo ma zostawić w świętym spokoju, kierując się „zdrowym rozsądkiem".

Widzieliśmy to wyraźnie w kampanii prezydenckiej, kiedy w zasadzie trudno było wskazać istotne różnice pomiędzy Rafałem Trzaskowskim a Karolem Nawrockim. Różniła ich głównie estetyczna forma (elitarny *bon vivant* vs blokowy kibol), bo co do treści można było spokojnie zamienić im promptery podczas telewizyjnych debat, i mało kto by się połapał. Naturalnie poglądy naszych rodaków podlegają fluktuacjom: w pierwszej dekadzie XXI wieku byliśmy bardziej „konserwatywni", w drugiej bardziej „liberalni", by w kolejnej (zwłaszcza po pandemii covid-19) powrócić na konserwatywniejsze, „chłopskorozumowe" stanowiska. Co do zasady jednak prawie wszyscy wyznajemy niezmiennie religię „zdrowego rozsądku".

Rechot dobrze się sprzedaje

Homogenizacja ideowa z jednej strony, a z drugiej strony turbo-estetyzacja polityki nie są dziełem przypadku. Kluczową rolę w tym procesie odegrały media. Rodzaj komunikacji ma bowiem decydujący wpływ na kształt nie tylko debaty publicznej, ale i sceny politycznej.

Pierwszym ważnym etapem było pojawienie się u progu XXI wieku telewizji informacyjnych i takich formatów jak choćby „Szkło kontaktowe", które serwowały seanse oburzenia na tych z przeciwnej strony. Przeciętny odbiorca nie ma ani czasu interesować się polityką, ani kompetencji, by móc ją krytycznie weryfikować.

Kiedyś, by się czegoś dowiedzieć, musiał jeszcze kupić gazetę i przebrnąć przez dłuższy tekst. Wraz z nadejściem ery programów w wydaniu 24h na dobę dostał niemal za darmo gotowy produkt – zestaw opinii bazujących na estetycznym oburzeniu, które mógł powtórzyć następnego dnia w pracy czy wśród znajomych jako swoje własne.

Najlepiej, żeby opinie te były pogardliwe i „zabawne", bo możliwość werbalnego upokorzenia i gardzenia innymi ludźmi to fantastyczna rozrywka. „Rechot" sprze-

daje się niemal tak dobrze jak seks, czego doskonałym przykładem jest sukces Kanału Zero, systematycznie budowanego właśnie na wyśmiewaniu innych ludzi.

Zresztą to właśnie „kombinat" medialny Krzysztofa Stanowskiego, który w umiejętny sposób łączy różne nazwiska (od kojarzonych z lewicą, przez liberałów po twardych konserwatystów) oraz formaty internetowe (portal, telewizja, media społecznościowe), przeplatając i mieszając ze sobą dziennikarstwo, medium misyjne i nieraz prostacki *infotainment* – staje się dziś ważniejszym punktem odniesienia podziałów prawica vs lewica.

Albo ktoś jest u Stanowskiego, albo go nie ma. To on w pewnym stopniu zdecydował o wygranej Karola Nawrockiego, ratując go wizerunkowo na ostatniej prostej kampanii, i to on prawdopodobnie po części zdecyduje, kto wygra wybory parlamentarne w 2027 roku.

Świat poza nagłówkami

Telewizje informacyjne są dziś niczym w porównaniu do komunikacji politycznej ery mediów społecznościowych. Oczywiście przesadą byłoby stwierdzenie, że telewizja cechuje się jakąś wyjątkową jakością, ale dzięki *social mediom* zaliczyliśmy już spektakularny zjazd w otchłań. Nie dość, że absolutnie każdy może podzielić się swoją „mądrością", bo próg wejścia jest bardzo niski, to dodatkowo internet służy do banalizowania tych treści, które jeszcze próbują trzymać poziom debaty publicznej.

Wystarczy wspomnieć artykuły prasowe, które z różnych przyczyn często chowane są za paywallem, i w efekcie funkcjonują w mediach społecznościowych jako parodie samych siebie. Myślę, że nie będzie przesadnym stwierdzenie, iż poza tytuł i nagłówek wychodzi nie więcej niż kilka procent odbiorców. Także dlatego, że przynajmniej w Polsce nie ma kultury płacenia za treści – nawet jeśli są wartościowe.

Półżartem, półserio można napisać za Jerzym Pilchem, że największą zbrodnią komunistów była eliminacja analfabetyzmu. Może faktycznie byłoby lepiej, gdyby część osób nie współtworzyła debaty publicznej. Największy dramat polega bowiem na tym, że w dobie mediów społecznościowych politycy muszą orientować się na to, co ludzie w nich (i o nich) napiszą. A ludzie ci nie mają często ani wiedzy, ani kompetencji do krytycznego myślenia; na dodatek niemal połowa nie potrafi czytać ze zrozumieniem, co pokazują badania prowadzone przez OECD.

Takie osoby co do zasady nie myślą samodzielnie (choć ciągle się im wmawia, że tak nie jest), tylko z wygody powtarzają bon moty czy sound-bite'y zasłyszane w mediach. Miłościwie nam panujący zdrowy rozsądek, którego znaczenie doskonale oddaje angielski odpowiednik *common sense*, niekoniecznie ma więc coś wspólnego z sensem. Dotyczy to w podobnym stopniu znacznej części zwolenników wszystkich partii politycznych.

Dodatkowo w sieci rozchodzą się głównie te opinie, które utrwalają neoliberalny obraz świata, wygodny dla właścicieli kapitału, w tym globalnych baronów (bogów) internetowych platform. Choćby dlatego jednym z elementów zdrowego rozsądku jest powszechny rechot z „lewactwa", które nie daj Boże by te platformy opodatkowało. To może zresztą być jeden z powodów, dla których jakiekolwiek inicjatywy lewicowe, chcące mieć wpływ na rzeczywistość polityczną, muszą się specjalnie uwiarygadniać w debacie publicznej, iż nie noszą znamion trądu. Choćby w Kanale Zero, bo to właśnie on stał się jednym z najważniejszych dystrybutorów szacunku.

Inne osie podziału

Mając to wszystko na uwadze, można uznać rozważania na temat prawicy i lewicy za pozbawione większego sensu. Dekadę temu ciekawszą propozycję nowej osi politycznego sporu stanowił podział na globalizm i lokalizm, który w Polsce przybrał formę z jednej strony „wstawania z kolan" i stawiania się Brukseli, a z drugiej „powrotu do Europy". Trudno było co prawda te pojęcia utożsamić z klasyczną prawicą czy lewicą, ale coś nam one mówiły.

Dziś nawet tamta dychotomia przestała cokolwiek opisywać. Pozostaje wyeksploatowany do granic możliwości podział na elity i lud, który nie ma jednak wielkiego związku z rzeczywistością (bo któż miałby być tą elitą? Inteligencja w postaci urzędników i nauczycieli? Wielkomiejska klasa średnia? Bogaci przedsiębiorcy na tzw. prowincji?). Ponadto, wyczerpał on swoją polityczną użyteczność.

Jak słusznie wskazuje Jacek K. Sokołowski, prowincja wzbogaciła się i odebrała w 2023 r. władzę „ludowemu" PiS. Na podstawie badań możemy też wnioskować, że wyborcy Grzegorza Brauna to często osoby z wyższym wykształceniem, cieszące się relatywnie wysokim statusem materialnym. A nie wydaje mi się, by czytelnicy „TP" uznali zwolenników Konfederacji Korony Polskiej za jakąkolwiek elitę.

Czy zatem nie ma już żadnego atrakcyjnego języka do opisu elektoratów? Jakub Dymek argumentuje, że nowy podział można zarysować według osi „dajcie nam wreszcie spokojnie korzystać z dobrobytu" vs „mamy wielkie ambicje, nie możemy osiadać na laurach". Wśród zwolenników pierwszego podejścia znajdziemy zarówno Donalda Tuska, Władysława Kosiniaka-Kamysza czy Włodzimierza Czarzastego, ale paradoksalnie także Przemysława Czarnka z jego „oze-sroze" czy Sławomira Mentzena, którego przesłanie z ubiegłorocznego objazdu po kraju można bez trudu sprowadzić do hasła „żeby było, jak było".

Po stronie „partii ambicji i rozwoju" (cokolwiek ten rozwój miałby w praktyce oznaczać) znajdziemy z kolei takich polityków jak Mateusz Morawiecki czy Krzysztof Bosak, ale także Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz czy Adrian Zandberg. Choćby to pokazuje, że etykietki prawicy i lewicy niewiele nam mówią o współczesnej polskiej polityce.

Królowie pomału odchodzą

Co jednak najważniejsze, nowy kształt sceny politycznej niemal z pewnością nie będzie odzwierciedlać powyższego podziału. Decydować będą kwestie estetyczno-towarzyskie i to, kto w wyścigu o dystrybucję społecznego szacunku znajdzie się po stronie męża stanu reprezentującego religię zdrowego rozsądku, a kto po stronie obciachu i mema.

W tym wyścigu ważniejszą rolę od poglądów odegra moim zdaniem wiek. Królowie-seniorzy polskiej polityki w postaci Donalda Tuska, a zwłaszcza Jarosława Kaczyńskiego pomału, ale zdecydowanym krokiem schodzą ze sceny – są bohaterami z innej epoki.

Z podobnego powodu o wejściu na szczyt nie mogą myśleć politycy z pokolenia Mateusza Morawieckiego czy Rafała Trzaskowskiego. Wygrana Karola Nawrockiego, który w obliczu rozpadu prawicy staje się prawdziwym kingmakerem, stanowi w moim odczuciu wyraźny sygnał, że nadchodzi czas polityków ↦

↦ urodzonych w szczycie wyżu demograficznego przełomu lat 70 i 80. XX wieku.

Naturalnym beneficjentem tej pokoleniowej zmiany może być Krzysztof Bosak, który najlepiej wpisuje się w społecznie upragniony wizerunek zdroworozsądkowego męża stanu, i który na dodatek ma dużą szansę na prezydencką nominację na szefa rządu po przyszłorocznych wyborach.

Komuś, kto uważa, że skrajna „prawicowość" współlidera Konfederacji może w tym przeszkodzić, przypomnę, że w badaniach elektoratu Trzaskowskiego, prowadzonych jesienią 2024 r. przez Przemysława Sadurę, to właśnie Bosak okazał się dla większości kandydatem drugiego wyboru.

Respondenci pytani o jego wykształcenie i zawód najczęściej wskazywali, że Bosak z pewnością jest prawnikiem lub ekonomistą, bo przecież „tak świetnie wypada w merytorycznych debatach" (w rzeczywistości nie posiada wyższego wykształcenia). W przeciwieństwie do polityków PiS był on dla wyborców Trzaskowskiego „estetycznie" akceptowalny, zatem nie zdziwiły mnie opublikowane pod koniec lipca wyniki badań sympatii do polityków (IBRiS), w których zanotował wzrost pozytywnych wskazań aż o 10 punktów procentowych, najwyższy w stawce.

Bosak ma jeszcze jeden atut natury estetycznej – w świetle zapaści demograficznej wielodzietność może być kartą przetargową. O wiele silniejszą niż stosunek do aborcji, która pozostaje ostatnim tradycyjnym wyróżnikiem prawicy od lewicy. Jeśli jednak wyborcy Trzaskowskiego widzieli w wicemarszałku Sejmu potencjalnego prezydenta, to można sądzić, iż kwestia ta prawdopodobnie nie ma dziś aż tak wielkiego znaczenia.

Wniosek jest w moim odczuciu jasny – jeśli chcemy zrozumieć polityczną rzeczywistość Polski, warto byłoby wreszcie pochować te „prawice" i „lewice" do grobu, bo życie publiczne rozgrywa się już na zupełnie innych polach. Z pełną świadomością, że żyjemy w świecie, w którym – niestety – poglądy przestają mieć znaczenie.

© MARCIN KĘDZIERSKI

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem żegnamy

Ś.† P.

Wacławę Myśliwską z domu Stec,

która odeszła 4 sierpnia w wieku 93 lat.

Z wykształcenia polonistka,
przez całe życie pracowała jako redaktorka.
Wraz z mężem Wiesławem przez 78 lat
tworzyła niezwykły związek.
Była pierwszą i – jak podkreślał pisarz – bardzo wnikliwą
i krytyczną czytelniczką jego książek.

Droga Pani Waciu, dziękujemy za lata współpracy
i przyjaźni, za serdeczność i życzliwość.

Synowi Grzegorzowi i Rodzinie
składamy najszczersze wyrazy współczucia.

Przyjaciele z Wydawnictwa Znak

Menopauza dla panów

MARZENA DĘBSKA, GINEKOLOG:

ZDROWIE | Możemy sobie pomóc. Nie ma powodu, żeby kobiety cierpiały, i żeby cierpieli ich partnerzy. Celibat w związku to nie jest najszczęśliwsze rozwiązanie.

JERZY DZIEKOŃSKI: Na początek spróbujmy uświadomić mężczyznom, jakie zmiany w okresie menopauzy zachodzą w ciele kobiety.

PROF. MARZENA DĘBSKA: Menopauza to punkt w czasie, czyli ostatnie krwawienie, po którym przez rok nie ma już miesiączek. Tak naprawdę jej przejście możemy więc stwierdzić dopiero *ex post*. Wyczerpuje się wtedy pula pęcherzyków jajnikowych zawierających komórki rozrodcze, drastycznie spada też poziom hormonów, głównie estrogenów. W Polsce następuje to najczęściej około 51. roku życia.

Musimy jednak wiedzieć, że cały proces rozpoczyna się nawet 10 lat przed ostatnią miesiączką. Czyli zmiany właściwie w całym organizmie mogą zaczynać się już od 40. roku życia, a problemy związane z menopauzą utrzymywać się do sześćdziesiątki, a nawet dłużej.

Co to ze sobą niesie?

Na cykl miesiączkowy składają się poszczególne fazy, w czasie których poziom hormonów zmienia się, co może wpływać na zauważalne zmiany w zachowaniu i samopoczuciu. Wiedzą to i kobiety, i mężczyźni, którzy twierdzą często, że przed miesiączką do żony lepiej nie podchodzić. Ale to wszystko jest znane i przewidywalne. Można sobie jakoś z tym radzić. Natomiast już w okresie przed menopauzą wszystko zaczyna się rozjeżdżać.

ARTFOCUS STUDIO / ADOBE STOCK

Początkowo cykle się skracają, potem wydłużają, pojawiają się problemy z jajeczkowaniem, trudniej zajść w ciążę. Jeżeli ktoś myśli o dziecku, to po 35. urodzinach musi się już naprawdę spieszyć, bo szanse na rodzicielstwo z każdym rokiem znacząco spadają. Powoli spada stężenie estrogenów decydujących o naszym samopoczuciu oraz kondycji fizycznej i psychicznej, ale nie dzieje się to od razu – możliwe wahania w produkcji hormonów są naprawdę duże. To powoduje ogromną zmienność nastrojów, nerwowość, rozdrażnienie, smutek. Często właśnie w tym okresie ujawnia się depresja.

Niejednokrotnie w okresie menopauzy z domu odchodzą dzieci, kobieta zostaje sama z partnerem, pojawia się syndrom opuszczonego gniazda. Wtedy zaczyna się sprawdzian relacji. Bywa różnie, bo nagle trzeba jakby od nowa układać sobie codzienność z partnerem i jakoś z nim wytrzymać. Ale i on musi wytrzymać z partnerką.

Często to właśnie dzieci są spoiwem, które trzyma związek.

Więcej: są buforem, tematem zastępczym albo głównym w związku. Kiedy opuszczają dom, dwoje ludzi musi znaleźć inne tematy do rozmowy, bo już nie ma wywiadówki, nie ma problemów córki czy syna, tylko trzeba zająć się swoimi sprawami.

Problemy się kumulują, bo mężczyzna również się starzeje, nawet jeśli nie chce tego przyjąć do wiadomości. Ma humory, fochy i też bywa nieznośny, bo wchodzi w okres andropauzy. Nawet w wieku 40 lat wielu mężczyzn ma problem z erekcją, mają złe wyniki badania nasienia. Kiedy trafiają do mnie kobiety, które nie mogą zajść w ciążę, to pierwsze pytanie dotyczy właśnie badania nasienia. Bardzo rzadko jest ono prawidłowe.

Dlaczego więc przekonuje Pani, że menopauza to także męska sprawa? Mężczyźni mają swoje problemy, a kobiety swoje.

Bo jeśli mężczyźni nie przyswoją sobie tej wiedzy i nie wezmą jej do serca, to skończą marnie. Oczywiście żartuję, ale wszystkie badania pokazują, że samotni mężczyźni żyją krócej, czego nie można powiedzieć o ich samotnych rówieśniczkach. Męska strona czerpie z długotrwałych związków ogromne korzyści, tymczasem to właśnie w okresie, o którym rozmawiamy, dochodzi do rozwodów. Zbyt często następuje wtedy zrzucenie odpowiedzialności za rozpad relacji na kobietę, co wynika z niezrozumienia stanu, w jakim się znajduje.

Mężczyźni mówią: nie da się z babą wytrzymać, nie chce współżyć, jest histeryczna, wściekła, ciągle się czepia. No to zmienię ją na nowszy model. Jak będzie młodsza, ładniejsza i spokojniejsza, to ja nie będę miał problemów.

Kryzys wieku średniego, wiadomo.

Tyle że od menopauzy nie da się uciec, bo ta młodsza, spokojniejsza, ładniejsza, wcześniej czy później też w nią wejdzie. Wie pan, nawet kobiety, które dotychczas zdobywały świat, odnosiły sukcesy w biznesie, aktywistki, pewne siebie, które miały wszystko poukładane, uregulowane i pod kontrolą, nagle mogą znaleźć się w totalnej rozsypce. W dodatku krępują się o tym rozmawiać, wstydzą się nawet przed sobą. Przychodzą do mnie i mówią: „tracę kontrolę nad własnym ciałem, idę na jakieś spotkanie i nagle paraliżuje mnie strach". To naturalne, bo pojawia się mgła mózgowa. To podobne zjawisko jak *baby brain* w okresie ciąży, bo i nadmiar, i niedobór hormonów nam szkodzi.

Dla kobiet oznacza to typowe problemy: nie mogą sobie przypomnieć słowa, zapominają, jak ktoś miał na imię, albo gdzie odłożyły klucze. To wybija z rytmu i odbiera pewność siebie. Pojawiają się też stany lękowe. Kobieta budzi się nad ranem z napadem niepokoju i nie może już zasnąć. Często jej obawy są zupełnie irracjonalne, bo przecież wciąż sobie świetnie ze wszystkim radzi, a jej problemy są niezauważalne dla otoczenia.

Do tego wszystkiego dochodzą uderzenia gorąca. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy na spotkaniu firmowym w białej koszuli i w jednej chwili zalewa nas pot. To, czy ktoś patrzy, czy nie, nie ma znaczenia. Nam się wydaje, że widzą wszyscy.

A co z seksem?

Pojawia się uczucie pieczenia, palenia. W większości przypadków dochodzi do atrofii pochwy, a to oznacza taką suchość, ↦

↦ że uniemożliwia współżycie. Jeżeli nic się z tym nie zrobi, to seks sprawia ból. Śluzówka staje się bardzo cienka i podatna na urazy. A gdy wszystko boli, to nie ma satysfakcji, i nie ma libido. Nawet jak jeszcze się chce, to po kilku takich doświadczeniach na sam widok mężczyzny kobieta zamknie się w drugim pokoju. Dla związku jest to bardzo trudne, bo seks to niezwykle ważna część życia i kobiet, i mężczyzn.

Panie, które do mnie przychodzą, najczęściej chciałyby współżyć ze swoimi partnerami, których przecież kochają. W końcu nie ma już w domu dzieci, można chodzić na golasa i robić to, na co ma się ochotę, tyle że ochotę zabija cierpienie. Gdyby wszystkie kobiety wiedziały, że można sobie z tym w miarę łatwo poradzić, też mielibyśmy mniej rozwodów.

No dobrze, ale co mają tu do zrobienia mężczyźni?

Wszystko, o czym rozmawiamy, to nie są problemy kobiet, tylko par. I w taki sposób należy je przedstawiać. Poza tym, jak już wspomniałam, mężczyzna również często potrzebuje pomocy, jednak nie jest w stanie się do tego przyznać ani przed sobą, ani przed partnerką, ani lekarzem. Bo przecież to hańba i w ogóle plama na męskiej godności.

Przygotowywałem niedawno artykuł o powikłaniach po leczeniu onkologicznym raka prostaty i odwiedzając oddział urologiczny, natrafiłem na poradnik. Nie zgadnie Pani, przez kogo ta publikacja została wydana – przez ogólnopolską organizację Kwiat Kobiecości. Mężczyźni unikają tego tematu nawet w poważnej chorobie.

I dlatego tak dużo jest do zrobienia. Menopauza to jest problem obojga, także partnera, który potrafi powiedzieć, że jego Basia zwariowała na stare lata, ale nie zadał sobie trudu, żeby zapytać, jak ona się czuje.

Myślę, że w tym tkwi szkopuł. Nie rozumiemy menopauzy, a kobiety o niej nie chcą mówić. Jak mamy to przełożyć na męski tok rozumowania?

Proszę sobie wyobrazić, że oprócz wszystkich dolegliwości emocjonalnych, wahnięć nastroju i ogólnie złego samopoczucia, bonusowo nie działa pański penis, jego skóra jest sucha i przeczulona – boli każdy dotyk. Tymczasem pańska ukochana mówi, że pan zwariował i już jej nie kocha, bo nie daje pan dowodów miłości.

MICHAŁ WOŹNIAK / DDTVN / EAST NEWS

PROF. MARZENA DĘBSKA jest specjalistką ginekologii i położnictwa oraz perinatologii. Nauczycielka akademicka związana z Warszawskim Uniwersytetem Medycznym.

Życiowa katastrofa.

Tylko że stosunkowo łatwo z niej wyjść. Medycyna w tej chwili daje bardzo szerokie możliwości. Np. hormonalna terapia okresu menopauzy to coś, co każda kobieta koło pięćdziesiątki powinna rozważyć, bo po sześćdziesiątce będzie już za późno. Musimy działać, póki receptory estrogenowe w całym ciele jeszcze działają i mogą optymalnie odpowiedzieć na podane hormony.

To, co teraz przepisujemy kobietom, to naturalny estradiol. Organizm w ogóle nie zauważa, że nastąpiła podmiana i często działa tak, jak przed menopauzą.

Ale przecież taka terapia nie jest wolna od ryzyka.

W tej chwili wiadomo, że niesie ona wiele korzyści, natomiast przeciwwskazań jest bardzo niewiele. Terapii hormonalnej nie mogą stosować kobiety, które mają raka piersi lub które już przeszły przez tę chorobę. Wyklucza ją również przebyty zawał serca i udar mózgu. W sytuacji, kiedy układ krążenia jest już obciążony chorobami, hormony nie pomogą, tylko mogą zaszkodzić. Do tego jest jeszcze wiele przeciwwskazań względnych, np. przy zakrzepicy, podobnie jak przy chorobach wątroby, istotne znaczenie ma droga podania hormonu. Terapia przezskórna nie niesie takich zagrożeń, jak choćby doustna, która niebezpiecznie stymuluje wątrobę.

Istnieją też preparaty, które mają wykazane działanie poprawiające libido oraz komfort i doznania podczas seksu. Mamy więc możliwości, żeby sobie pomóc. Nie ma powodu, żeby kobiety cierpiały, i żeby cierpieli ich partnerzy, bo celibat w związku to nie jest najszczęśliwsze rozwiązanie. Trzeba po prostu szerzyć tę wiedzę. I tutaj jest rola także dla mężczyzn. Zamiast złorzeczyć, należy wysłać żonę do dobrego lekarza.

Hormony naprawdę ratują związki?

Mogą uratować. Pamiętajmy jednak, że skończyły się czasy, gdy kobiety obawiały się porzucenia i dobrowolnie kończyły relacje niemal wyłącznie wtedy, gdy padały ofiarą fizycznej przemocy. Mamy XXI wiek i dziś pięćdziesiątka to taki dziwny wiek – kiedyś ze spoconym czołem musiałyśmy przeżywać menopauzę, zakładać chustki na głowy, garbić się i zajmować wnukami, czekając na śmierć. Szczęśliwie ten model odchodzi już do lamusa.

Dzisiaj kobieta w okresie menopauzy odkrywa, że już nic nie musi. I to jest wyzwalające. Średnio zostało jej 30 lat życia, które chciałaby przeżyć, uzdrawiając swoją relację z partnerem, a jeśli to niemożliwe, szukając innego. To czas na porządki w życiu, na zadbanie o dietę, ruch, sen, zmniejszenie stresu. Bywa, że kobiety w tym wieku zmieniają pracę, próbują czegoś nowego. I jeżeli mają w swoich mężach prawdziwych partnerów, to mogą ułożyć sobie wspaniałe życie.

Słucham Pani i myślę sobie, że nie każdy lekarz pochwala takie podejście, jakie Pani reprezentuje.

I to też jest problem. Bo jeśli kobieta pójdzie do lekarza i powie, że nie czuje się najlepiej, i że z tym seksem jest źle, to on często odpowie: „czego pani oczekuje, w tym wieku tak ma być". Taka kobieta nie będzie dalej szukać pomocy, temat będzie zamknięty.

Nikt nie ma wypisane na czole: znam się na problematyce menopauzy. Ginekologia i położnictwo to odbieranie porodów, wycinanie macicy z powodu mięśniaków, leczenie niepłodności, nietrzymania moczu, leczenie PCOS, endometriozy. Menopauza jest na końcu. Niby od tego się nie umiera, ale ja uważam, że komfort życia jest równie istotny.

© Rozmawiał JERZY DZIEKOŃSKI

OLGA

Drenda: *Piękne dość*

Ostatnio przypomniała mi się historia pani, która zdecydowała się szybciej zamknąć prowadzony przez siebie od lat bar mleczny, skądinąd bardzo lubiany. Podobno w decyzji o tym, żeby w końcu przejść na emeryturę, utwierdziła ją niespodziewana popularność baru po rekomendacji od lubianego youtubera Książula. Widzowie tak ufają poleceniom tego recenzenta małej gastronomii, że tłumnie szturmują lokale, w których mu smakowało. Na ogół cieszy to właścicieli, zwłaszcza tych, którzy mieli kłopoty finansowe – lecz nie w tym przypadku. Pani Maria postąpiła odwrotnie, niż uczyniłaby zapewne większość, i skapitulowała w obliczu klęski urodzaju, uznając, że taka sława jest ponad jej możliwości i nie marzy jej się kariera potentatki w branży obiadów domowych. Po ponad 30 latach solidnej pracy przyszła pora, by powiedzieć dość.

Czy w tej opowieści znajduje się jeszcze jakiś ukryty wątek, czy to na pewno cała prawda – nie wiemy, ale nie jest to dzisiaj aż tak istotne. Niech posłuży nam po prostu jako przykład. Pamiętam o pani Marii, bo zwracam uwagę na przypadki ludzi, którzy decydują się nie gonić sławy, odmawiają pójścia jeszcze dalej, nie czują potrzeby, by mieć jeszcze więcej. Nie chodzi o takich, którzy już najedli się sukcesami po uszy, żyją z odsetek i udają, że proste i spokojne życie jest w zasięgu ręki każdego (to znana baśń: „ten milioner dzisiaj robi dżemy"). Przeciwnie: chodzi o takich, którzy cofnęli się o krok przed szczytem, albo zawrócili jeszcze wcześniej. Zamiast rozgłosu i fortuny wybrali sławę umiarkowaną, albo wręcz zwyczajną pracę z komfortem życia *incognito*. A jeśli już prowadzili życie cywilne – zdecydowali, że np. nie chcą zostać awansowani, albo nie chcą otwierać kolejnych pięciu sklepów w powiecie, bo jeden porządny im wystarczy.

Największa dynia to faktycznie sukces

OLGA DRENDA

Mogliby mieć dużo, ale uznali, że wolą zatrzymać się na „w sam raz", nawet wtedy, gdy oznacza to życie trudniej i skromniej. Gitarzysta i basista Jason Everman nie sprawiał nigdy wrażenia, jakby żałował, że rozstał się i z Nirvaną, i z Soundgarden – zespołami, które opuścił na pięć minut przed eksplozją ich sławy, bo wybrał powołanie żołnierza. Jim Martin z zespołu Faith No More, który po wypisaniu się z muzyki hodował dynie (i tu dotarł na szczyt: wyhodował dynię roku), a potem podążył najzwyklejszą ze zwykłych ścieżką zawodową agenta nieruchomości. Albo mój ulubiony Bill Watterson, rysownik komiksowy znany z mądrej i zabawnej serii o Calvinie i Hobbesie (albo Kelvinie i Celsjuszu, bo i pod takim tytułem wydawano te komiksy w Polsce) postanowił u szczytu sławy postawić radykalną kropkę – więcej już nie będzie. Schował się w cień, unikając nadmiernych kontaktów z ludźmi. Ale to nie wszystko: jeszcze przed tym wyrazistym gestem uporczywie odmawiał licencji na wykorzystanie wizerunku swoich bohaterów, choć mógłby niewielkim wysiłkiem zarobić na tym spore pieniądze. Nie chciał.

Jest coś niezmiernie imponującego w takim geście rezygnowania – niesłychana wolność, jaka się w nim kryje. Czasami spotyka się on z oburzeniem, bo przecież powodzenie nie każdemu jest dane, i można sobie wyobrazić, że ktoś traktuje odrzucenie takiego daru jako lekkomyślność, albo – jeśli wyznaje religię sukcesu – wręcz świętokradztwo. Ale prawdziwa wolność to także możliwość zdecydowania się na wybór drogi mniej prestiżowej, albo wręcz na stratę. Oznacza bowiem pożegnanie się z oczekiwaniami, nie tylko świata, ale i własnymi przyzwyczajeniami praktykowanymi niejako z automatu. Jak to nie chcesz mieć więcej, lepiej, wygodniej?

To jak w może nieco zapomnianym, ale wcale nie zmurszałym filmie Tony'ego Richardsona „Samotność długodystansowca", gdzie głównym bohaterem jest chłopak z trudnego środowiska, który od problemów odrywa myśli biegając, ale też dokonując drobnych włamań. Gdy trafia do poprawczaka, wychowawca nominuje go na reprezentanta zakładu w zawodach sportowych. W finale – spojleruję, ale myślę, że to historia dość znana – chłopak zwycięstwo ma na wyciągnięcie ręki, jest już o krok od mety, ale właśnie wtedy decyduje się zatrzymać, by wszyscy go wyprzedzili. Gdyby wygrał, zostałby twarzą udanej resocjalizacji, dumą zakładu, a zwłaszcza wychowawcy, z którym połączyłaby go niechciana więź wymuszonej wdzięczności. Wybrał przegraną, więc zarazem wygrał bitwę o siebie. Świat czasem śmieje się z „moralnych zwycięzców", ale czy to nie dlatego, że trochę zazdrości im odwagi? ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

OPINIE

TACO WOKULSKI

Zapełniający stadiony raper próbuje wychwycić, co dla chłopców i mężczyzn szkodliwe. Oto kolejny głos w dyskusji o współczesnej męskości.

DOMINIKA BUCZAK

Zróbcie hałas dla książek! – krzyczy Taco Hemingway do 70 tysięcy par młodych uszu. – Czytajcie książki! To jest bardzo trudne na samym początku! 10 stron dziennie rozwija ci mózg!"

Stoję na Stadionie Narodowym w tłumie ludzi ubranych – jak dyktuje im *Zeitgeist* – w szerokie spodnie. Znają wszystkie dźwięki płynące z głośników, wykrzykują w niebo każde słowo. Przekleństwa haratają uszy, jestem tego świadoma. Ale to, co pomiędzy nimi, może przynieść ulgę.

Koncert spędzam na płycie w charakterze obstawy młodszego dziecka. Starsze hasa gdzieś pod samą sceną. Podobno Taco Hemingway to jedyny raper, którego można słuchać z rodzicami.

Diagnoza

Gdy na scenie pojawia się Bedoes (ten sam, który dissował raka razem z małą Mają), fani Taco Hemingwaya witają go głośno. Raperzy mają na koncie wspólny utwór, „Chłopaki nie płaczą".

Trzy słowa wieczne jak trawa, powtarzane już od kołyski, żeby nie zapomnieć zasady wyssanej z mlekiem matek: przyglądanie się swoim stanom emocjonalnym, wyrażanie smutku, lęku, jakiejkolwiek słabości, jest niemęskie. „Tak nas uczą, tak nas uczą, trudno, już za późno na ładne jutro". Pokolenie po pokoleniu, z ojca na syna.

Nie są to pierwsze „Chłopaki nie płaczą" w historii muzyki popularnej. W 1979 r. The Cure nagrali „Boys don't cry", o tej chwili po rozstaniu, gdy wiadomo, że jest już za późno, żeby walczyć o relację. Piosenka T.Love z 1997 r. to lżejszy kaliber. Panna zostawiła, kumple olali, nie masz kaski, ale jutro też jest dzień, a poza tym chłopaki nie płaczą.

Nie płaczą nadal w XXI w. Bedoes również zaczyna od rozstania, ale wymienia też inne krytyczne momenty. Kończy najdelikatniejszym: „prawie nie znałem się z tatą". Wtedy mikrofon przejmuje Taco Hemingway. Mężczyźni w prezentowanej przez niego wizji:

„robią znowu salto mortale / martwią tylko PLNem
albo dolarem / panowie tu bywają często Almodóvarem /
kobiety widzą tylko skrajnie znerwicowane".

Zza słów wyłania się krajobraz pełen młodszych i starszych chłopaków z zaciśniętymi zębami, przytłoczonych nadmiarem obowiązków, zatrzymanych przez odwieczne „chłopaki nie płaczą".

Koncert Taco Hemingwaya w trakcie „2026 †††OUR". Warszawa, 22 maja 2026 r.

ZBYSZEK KACZMAREK / FORUM

Po raz pierwszy usłyszałam to wyznanie podczas trasy koncertowej z 2024 r. Pomiędzy największymi hitami Taco Hemingway wykrzyczał wówczas ze sceny, że zbyt długo samotnie zmagał się z depresją. Nie potrafił poprosić o pomoc, nie umiał opowiedzieć nikomu o swojej kondycji. W końcu, gdy zaczął mówić, co czuje, odnalazł pomoc.

„Chciałem do was zaapelować, żebyście nigdy nie myśleli, że jesteście sami z czymkolwiek. Powiedzcie swoim ludziom!" – wołał.

Takie słowa wykrzyczane do 70 tysięcy osób, głównie nasto- i dwudziestolatków, mają moc. A kiedy padają w kraju zmagającym się z kryzysem psychiatrii dziecięcej – są jeszcze cenniejsze.

Taco Hemingway dzielił się swoim doświadczeniem w nawiązaniu do treści promowanej wówczas płyty „1-800-Oświecenie". Album skonstruowany został jak audycja radiowa – przywoływał formułę rozmów nocą, niedzisiejszy klimat intymności tworzącej się między ludźmi po dwóch stronach radioodbiornika. Dzwoni słuchacz z problemem, raper poświęca mu piosenkę.

Mamy więc utwór „Może to coś zmieni" i kwestię: „wszyscy jesteśmy uzależnieni". Nie mówimy wyłącznie o tradycyjnych używkach – alkoholu czy narkotykach. Taco – uważny obserwator współczesności – rapuje: „gdy rzuciłem wódę, się nagle okrutnie zabrałem za trening". Przywołuje obsesyjne pilnowanie diety, zakupy, tradycyjny i internetowy hazard. Rusza karuzela uzależnień, jeden nałóg przeradza się w drugi.

Inna piosenka przynosi brawurowy opis konsumpcjonizmu mającego przykryć życiowe deficyty. Kolejne wersy prezentują akty kompulsywnych zakupów kończących się rozczarowaniem, aż do puenty:

„Kupiłem nawet trumnę, najdroższy mahoń, złote detale,
żeby potomstwo stało dumne / Na mym pogrzebie,
zamiast kazania, będzie czytany bankowy dokument.
/ Ksiądz powie krzepko: »Panowie, panie, tu leży
naprawdę rasowy konsument!«".

Rzeczywistość przedstawiona na tamtej płycie to uwikłanie w technologię, wymogi dotyczące wyglądu, którym trzeba sprostać. Świat, w którym żyjemy. Kupujemy mix sałat, bo chcemy być piękni i żyć wiecznie, ale potem go wyrzucamy, bo data przydatności do spożycia minęła, zanim zdążyliśmy otworzyć. Chcemy „więcej mieć diamentów niż popiołu". Liczymy kalorie i białko. ↦

↦ Padają nazwy brandów, które symbolizują świat aspiracji i statusu. Niektóre nazwy nic mi nie mówią, znają je jednak moje dzieci. Wasze również. Wśród tych dekoracji szamocze się człowiek przytłoczony ponadpokoleniową nostalgią. Mija lato, na które czekaliśmy od listopada. Życie kurczy się z każdym dniem – dla nastolatków i ich rodziców w tym samym tempie.

Teksty Taco Hemingwaya miewają reporterski (czasami też publicystyczny) charakter. Żyje – i on, i jego słuchacze – w kulturze terapii, o zdrowiu psychicznym wokół mówi się więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Jako matka synów, żona, córka, słucham uważnie, gdy opisuje męską przyjaźń.

Jedna z piosenek pożycza motyw od Grzegorza Turnaua: z songu, w którym nie ma samozwańców i nie ma rokoszan, Mickiewicza, Miłosza, i w ogóle nic ni ma. Te wszystkie wryte w zbiorową pamięć motywy artysta przerabia na utwór o tym, że relacje mężczyzn zbudowane są z milczenia.

„Cichosza" Taco Hemingwaya od pierwszej nuty brzmi mroczniej, molowo. Raper zaprasza do męskiego świata, w którym panowie nie panują nad złością: „znowu pokłóciłem się z taryfą, bowiem chodzi tylko o zasady, kto by się przejmował dychą". Jedni targają się na życie, jeszcze inni milczą, bo boli ich *real talk*. Z komunikacyjnych barier narastają problemy, nie ma jednak co strzępić języka, bo „uczy kultura nie mówić o bólu, nie mówić, gdy leje się szampan".

Scenariusze są rozpisane od pokoleń: „Dawaj, zarabiaj ten szmal, pan. / Walcz pan, tańcz pan, graj pan". Poza tym cichosza i nie ma się co skarżyć, gdy tańczony kankan. No, chyba że leje się wódka: na alkoholowej fali płynie to, co skrywane pod kłódką. Kolejnego dnia emocje znowu będą zamknięte, bo na trzeźwo „do pokoju zwierzeń w pałacu pamięci prowadzi za długi korytarz".

Na stadionie widzę morze ludzi. W dłoniach trzymają telefony i butelki z wodą. Piwo w plastiku złoci się raczej w rękach tych, którzy zawyżają średnią wieku. Musiałam ich już spotkać na innych koncertach. Słuchaliśmy opowieści o samotnych wilkach walczących ze światem, kobietach odległych jak Irlandia, szarych ulicach i domach podzielonych murem.

Ówcześni tekściarze mieli jedną zbiorową, zmęczoną i pijaną kochankę o imieniu Polska. Nawet jeśli ktoś obiecał, że jeszcze będzie przepięknie, niewiele było nadziei. Jeśli już pojawiały się łzy, to na pewno babskie i raczej głupie.

Taco Hemingway konstruuje także program pozytywny. Nie tylko diagnozuje problem. Daje również receptę.

Terapia

Na trasę 2026 †††OUR artysta przygotował podręcznik higieny psychicznej aktualnej w 2026 r. Po pierwsze: książki. Po drugie – zrezygnujcie z platform społecznościowych: „Polecam skasować apki, to była najlepsza decyzja dla mojego zdrowia psychicznego w życiu". Po trzecie – porzućcie wyśrubowane standardy wyglądu, które dotyczą już nie tylko dziewcząt, ale także chłopców: „Nie jesteś swoim ciałem, jesteś czymś więcej. Pamiętaj, że ciało ma ci służyć, nie miej obsesji na jego temat".

Ważne jest także, co do tego ciała trafia: alkohol jest niebezpieczny, narkotyki także, leki zażywane bez kontroli również. A na koniec zachęta do działań twórczych, które zawsze dadzą efekt lepszy niż produkcja AI: „Bądźcie ciekawi, twórzcie, piszcie, kupcie używany instrument".

Skąd pomysł na taką przemowę w środku koncertu, entuzjazmu i aplauzu? „Skoro inspektor twierdzi, że mam taki wpływ na was – wyjaśnia artysta – to postanowiłem go wykorzystać i przygotowałem kilka rad".

Taco Hemingway odnosi się do decyzji Głównego Inspektoratu Farmaceutycznego, która nakazała ocenzurowanie jego piosenki „Zakochałem się pod apteką". Pada w niej nazwa leku, który bohater próbuje kupić z powodu męczącego go kaca. GIF zakwalifikował ten fragment jako reklamę, a ta w przypadku leków jest ściśle ograniczona. Nakazano usunięcie słowa z piosenki. W serwisach streamingowych rzeczywiście zostało wyciszone. Na koncercie natomiast raper śpiewa: „Idę rano po..." – po czym milknie, za to 70 tys. gardeł dopowiada, ile sił w płucach: „SOL-PA-DE-INĘ".

Nie jestem pewna, czy to efekt, o który chodziło urzędowi.

Taco Hemingway zapełnia największe sale i stadiony w kraju. Dotarł także pod moją strzechę. Dzieci zgrabnie lawirują przy cytatach, by przekleństwa nie zakłócały rodzinnego miru. Swoje recepty na dobre życie Taco Hemingway kieruje także do nich.

Na przykład tę najkrótszą, która pada w „Cichosza". Lapidarny przepis na pielęgnowanie przyjaźni: „jak ci brakuje ziomka, to mu napisz »siema, tęsknię«, zrobisz mu dzień tym pewnie".

Albo tę z piosenki śpiewanej razem z Bedoesem. Słyszę, gdy płynie z pokojów albo słuchawek moich synów. Przepis na zdrową regulację emocji. Gdy Taco Hemingway przejmuje mikrofon, mówi bowiem:

„Chłopaki niech płaczą / Chłopaki niech płaczą. /
Chłopaki niech wiedzą, że wolno im czuć. /
J***ć kulturę maczo / Chłopaki niech uczą się używać
słów / A nie łapać za gardło".

Zastanawiam się, czy pozytywny przekaz formułowany przez Taco Hemingwaya jest możliwy dzięki procesom demokratycznym, jakim podlega rap. Muzyka wyrosła z buntu jest dziś łatwo dostępna w telefonach i komputerach, bije rekordy popularności i dawno przestała być wyłączną domeną wściekłych na świat chłopców z blokowisk.

Być może dzięki temu odrzuciła tradycyjne imaginarium, w którym mężczyźni żyją mocno i krótko, pieniądze, wódka, narkotyki i osiedlowy kodeks honorowy to ich podstawowy silnik, a kobiet nie ma, lub stanowią brutalnie traktowane obiekty seksualne.

17-letni syn kręci głową. Włącza kilka nowych piosenek mających wielomilionowe odsłuchania w serwisach streamingowych. Jest w nich 10 tysięcy noszonych w portfelu, picie na umór, zdemolowany po imprezie hotelowy pokój. Łóżko grzeją modelki z wybiegu.

Na tym tle Taco Hemingway pozostaje osobny.

Lalka

Jego wydany w 2025 r. album „Latarnie wszędzie dawno zgasły" odchodzi od języka terapii. Prezentuje męskość, jaką znamy, wzorzec tradycyjny, choć napisany po swojemu. Oto bohater romantyczny, wyrastający z przekazów, którymi karmiono nas w szkole, a także wcześniej i później. Od Mickiewicza przez Kaczmarskiego, Franza Maurera po Magika i Jakuba Szapiro – miał mnóstwo wariantów. Niezrozumiany samotny geniusz

Czytajcie książki. Zrezygnujcie z mediów społecznościowych. Porzućcie wyśrubowane standardy wyglądu. Dbajcie o to, co do ciała trafia. Twórzcie. **Oto podręcznik higieny Taco Hemingwaya na rok 2026.**

KAROL MAKURAT / REPORTER

Taco Hemingway na Open'er Festival. Gdynia, 6 lipca 2024 r.

kontra świat. Destrukcyjna miłość, nieuchronny upadek majaczy na horyzoncie.

Najpierw na stadionie (tak jak na albumie) pojawia się jednak bohaterka. Ta, do której Taco Hemingway wraca z reporterską precyzją, bez różowych okularów. Warszawa – pachnąca kiedyś „jak szlugi i kalafiory", dziś pachnąca kimchi – staje się scenografią historii rozgrywającej się pomiędzy trojgiem bohaterów. Połączyła ich historia miłości i zdrady. Dekadę później wracają, a razem z nimi dawne afekty, niewypowiedziane pretensje, nowe technologie i śmierć.

Historia jest prosta, choć wije się i meandruje. Zmusza do czujności, teksty są gęste i odwołują się do świata, dawnych albumów rapera i same do siebie. Skomplikowana relacja między Rudą, Piotrem i narratorem – aspirującym raperem – toczy się jednocześnie w Warszawie i w internecie.

Na stadionowej scenie pojawiają się kandelabry i przenosimy się z Pragi na Plac Konstytucji. Wędrujemy przez place Trzech Krzyży i Zbawiciela, widzimy nocne miasto, w której on znowu spotyka Rudą, ona wspomina Piotra. Współczesny poeta z zeszytem za pazuchą oplata dziewczynę siecią zależności jak Wokulski (do dziś nie rozstrzygnęliśmy – bohater romantyczny czy pozytywistyczny) oplótł Izabelę. Uciekają się do podobnych zabiegów.

Walutą Stanisława były ruble – wykupił za nie weksle, rodową zastawę, srebra, wreszcie – przez podstawionego pośrednika – kamienicę. Wszystko po to, by być bliżej Łęckiej, by ją od siebie uzależnić.

Bohater Taco Hemingwaya nie może zaimponować Rudej sukcesem na miarę Wokulskiego. Nie zarobił, nie nagrał, nie występuje. Zakłada zatem fałszywy profil na Instagramie, podszywając się pod Piotra. Chcąc nawiązać kontakt z Rudą, udaje kogoś, kim nie jest.

On także snuje wokół swojej wybranki pajęczynę, w którą chce ją złowić. Obaj – raper i kupiec – czują się obcy, nie na miejscu, z zewnątrz. Jeden gryzmoli nieudane rymy, drugi uczy się języków i zarabia jeszcze więcej rubli. Pozostaje im Warszawa, noc i nostalgia – odniesienia do świata, który minął.

Pamiętnik Rzeckiego daje perspektywę przeszłości, czasów napoleońskich, dawnego porządku. Taco Hemingway również gra na sentymentach. Przywołuje wielkie przeboje: „Byłaś serca biciem" Andrzeja Zauchy, a także Kalinę Jedrusik i „S.O.S", a wraz z nimi szereg odniesień dla tych, którzy je znają. Młodzież, która nie pamięta ani opolskich festiwali, ani Kabaretu Starszych Panów, szuka oryginałów w internecie.

Ostatecznie intryga osnuta wokół podszywania się pod cudzą tożsamość się sypie. Bohater dowiaduje się, że czeka go sprawa za cyberstalking. Historia w zaskakujący sposób jeszcze raz nawiązuje do „Lalki". Jej najnowsi czytelnicy często widzą osaczające Izabelę zachowanie Wokulskiego jako stalking. We współczesnym odczytaniu jest przestrzeń na taką interpretację, choć Prus mógłby się z dzisiejszymi licealistami nie zgodzić.

Miasto

Koniec koncertu.

Z płyty stadionu trafiamy na zewnątrz, a potem wraz z tłumem docieramy do Mostu Poniatowskiego. Jest środek nocy, ale latarnie wciąż świecą. Przedostajemy się na drugą stronę Wisły, przechodzimy przez Plac Trzech Krzyży i na przystanku przy Alejach Ujazdowskich przysiadamy na schodkach przed apteką. Czekamy na Ubera.

– Popatrz – mówię do dziecka, wskazując jedną z lokalizacji, w której toczy się akcja „Latarnie wszędzie dawno zgasły". – Tam jest Spatif.

– Naprawdę? – syn się rozgląda. – W takim razie to ta apteka. Tu kupował Solpadeinę.

Całkiem niedaleko, za rogiem, przy skrzyżowaniu Hożej z Kruczą, stała kamienica Łęckich. Ta, którą kupił Wokulski.

© DOMINIKA BUCZAK

Autorka jest pisarką i dziennikarką, wydała m.in. „Plac Konstytucji", „Dziewczyny z placu", „Całe piękno świata" i „Parasolki". W 2021 r. nominowano ją do Nagrody Literackiej dla Autorki Gryfia.

ŚWIAT

STRUKTURA CHAOSU

Kryzys w Ceucie obnażył oportunizm unijnych liderów i pokazał, że presja migracyjna to skuteczne narzędzie politycznego szantażu.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

HENRY NICHOLLS / AFP / EAST NEWS

Szturm 72 tys. nielegalnych migrantów na Ceutę okazał się wyjątkowo skuteczny. Nie dlatego, że udało się im przedostać do Europy – według hiszpańskiego MSW do 4 sierpnia niemal wszystkich (70 tys.) odesłano z powrotem do Maroka. Wydarzenia z 30 lipca można uznać za skuteczne dlatego, że obnażyły oportunizm unijnych przywódców. Choć sam kryzys zażegnano błyskawicznie, to właśnie reakcje polityków sprawiły, że nagrania młodych mężczyzn forsujących granicę hiszpańskiej eksklawy w Afryce przez kilka dni nie schodziły z czołówek mediów, podsycając lęk przed niekontrolowanym napływem migrantów. I w ten sposób stały się czytelnym sygnałem dla wszystkich, którzy chcieliby wykorzystywać presję migracyjną, pokazując, że ta metoda działa i warto po nią sięgać.

Internetowa kampania przed kolejnym „szturmem" już trwa.

Kampania reklamowa

Analiz renomowanych ośrodków badawczych dotyczących tego, co działo się w infosferze w związku z kryzysem w Ceucie, jeszcze nie ma. Jest na to za wcześnie. Na razie szczegółowy raport w tej sprawie opublikował jedynie hiszpański startup Golden Owl, który wykorzystuje zaawansowane narzędzia sztucznej inteligencji do monitorowania aktywności w internecie. Z jego ustaleń wynika, że kryzys nie wybuchł spontanicznie. Miał być efektem operacji, prowadzonej według zasad przypominających kampanię marketingową, którą trzeba najpierw rozreklamować, by potem zainteresowanie zamienić w realne działanie.

Golden Owl twierdzi, że kampania miała trzy poziomy. Pierwszym był zamknięty rdzeń koordynacyjny, działający poza głównymi platformami społecznościowymi. Drugim – publiczna warstwa nadawcza, przede wszystkim na Facebooku. Trzecim – dziesiątki samoorganizujących się komórek, tworzonych przez niezależnych mikrorekruterów.

Według raportu grupy do nielegalnego przekroczenia granicy formowano według powtarzalnego schematu: jednej, jak największej, oraz pozostałych – ośmioosobowych zespołów, złożonych z „dwóch dziewcząt i sześciu chłopaków". Same posty rekrutacyjne miały niewielki zasięg – dziesiątki, czasem setki odbiorców. Tłum poruszyły dopiero treści gloryfikujące wydarzenie i przedstawiające je jak sensacyjny news. Te były liczone już w milionach odsłon.

To właśnie ten mechanizm Golden Owl uważa za kluczowy. Rekrutacja była tylko początkiem. Prawdziwą skalę operacji tworzyły materiały, które nadawały wydarzeniu atrakcyjność, potwierdzały, że „to naprawdę się dzieje", i uruchamiały efekt naśladownictwa.

Na tropie organizacji

Konta o tych samych nazwach pojawiały się jednocześnie w kilku serwisach i publikowały identyczne treści. „Rekruterzy" korzystali ze specjalnych adresów e-mail. O zorganizowanym charakterze kampanii ma świadczyć także pojawienie się „rotującego hasła kodowego", które wymagało koordynacji między kontami,

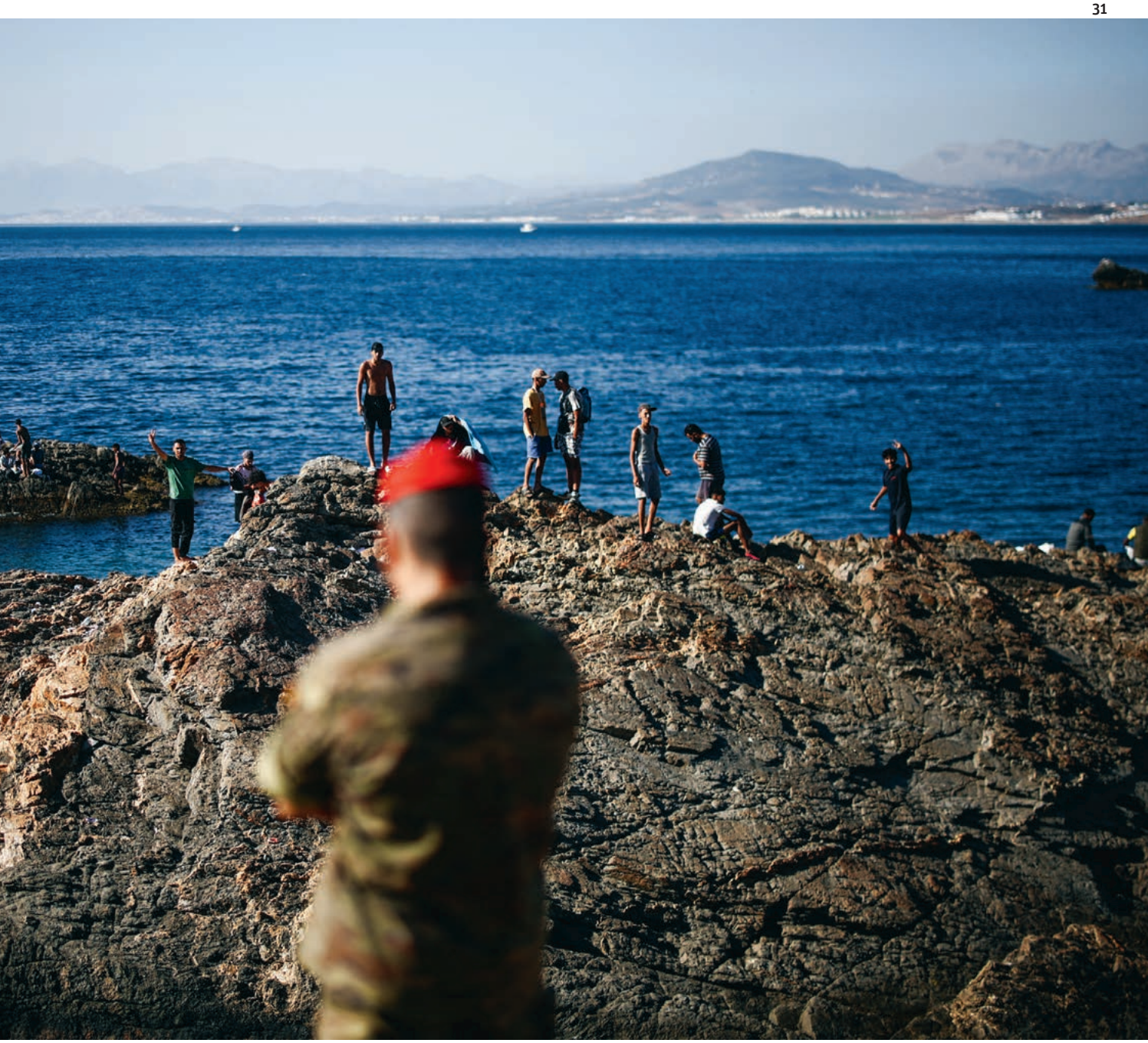

Hiszpańskie siły zbrojne, w tym jednostka piechoty lekkiej „Regulares", zostały zmobilizowane do zabezpieczenia granicy. Ceuta, 2 sierpnia 2026 r.

a słowa kluczowe rozbijano znakami interpunkcyjnymi, by ominąć automatyczną moderację i blokadę treści.

Golden Owl odrzuca przy tym trzy najprostsze wyjaśnienia. Pierwsze: że byli to po prostu zdesperowani młodzi ludzie. Zdaniem autorów raportu, desperacja była paliwem, ale nie silnikiem operacji. Drugie: że wszystko rozeszło się wiralowo przez przypadek. Według firmy wiralowość była wtórna wobec wcześniej zasianego apelu. Trzecie: że brak widocznego lidera oznacza brak organizacji. Golden Owl twierdzi, że jest odwrotnie – rozproszona struktura bez jednego przywódcy mogła być świadomym wyborem, który utrudniał wykrycie i przypisanie odpowiedzialności.

Co więcej, jest to mechanizm, który z łatwością nie tylko można powtórzyć, ale już jest powtarzany – kolejny masowy szturm na Ceutę szykowany jest na 15 sierpnia. Autorzy raportu podkreślają, że zaplanowano to już przed 30 lipca, co jest kluczowym dowodem na to, że nie mamy do czynienia ze spontanicznym ruchem, lecz zorganizowaną operacją.

Do podobnych wniosków doszła renomowana hiszpańska organizacja fact-checkingowa Maldita.es. Jej dziennikarze uzyskali dostęp do zamkniętych grup na WhatsAppie i Facebooku oraz kont na Instagramie. Z ich ustaleń wynika, że każda z platform pełniła inną funkcję. Instagram budował atmosferę mobilizacji i przedstawiał próbę przedostania się do Ceuty jako wydarzenie, do którego warto dołączyć. Facebook służył ↦

przede wszystkim do rekrutacji zainteresowanych i kierowania ich do zamkniętych grup. WhatsApp działał jak centrum operacyjne: to tam ustalano trasy, godziny oraz sposoby omijania zabezpieczeń granicznych.

Także Maldita.es informuje, że kolejny szturm planowany jest na 15 sierpnia.

Pierwszy podejrzany

Choć z ostatecznymi wnioskami warto poczekać, naturalne wydaje się pytanie, kto za tym stoi. Lista „podejrzanych" jest długa.

Pierwszym jest Maroko. Nie ma twardych dowodów, że Rabat uczestniczył w przygotowaniu operacji, ale istnieje seria poszlak wskazujących, że przynajmniej pozwolił kryzysowi się rozwinąć. Fotograf Associated Press relacjonował, że marokańscy żandarmi tylko się przyglądali, gdy tysiące ludzi przechodziły obok nich w kierunku Ceuty. Dopiero później użyli gazu łzawiącego i armatek wodnych. Władze Ceuty i analitycy brukselskiego Centrum Studiów nad Polityką Europejską (CEPS), powołując się na świadków i nagrania krążące w sieci, twierdzą, że marokańskie służby nie tylko nie zatrzymywały migrantów, ale miały eskortować ich w kierunku granicy. Sam CEPS zastrzega, że nie jest to dowód na wydany z góry rozkaz, ale trudno wyobrazić sobie ruch tysięcy ludzi na tak silnie kontrolowanym odcinku bez przynajmniej czasowego wycofania się państwa z normalnego egzekwowania kontroli.

Podejrzenia wzmacnia fakt, że mobilizacja nie była dla Rabatu niewidoczna. Instrukcje szturmu na Ceutę – choć od lat regularnie pojawiają się w marokańskich mediach społecznościowych – od początku lipca krążyły w nich masowo, podobnie jak fałszywe informacje, że Hiszpania nie będzie odsyłać migrantów. Riccardo Fabiani z International Crisis Group uważa, że marokańskie służby musiały te treści monitorować. Jego hipoteza jest prosta: niekoniecznie to Rabat uruchomił mobilizację, ale w pewnym momencie mógł świadomie zdecydować, żeby jej nie zatrzymywać.

I jest precedens. W maju 2021 r., podczas poprzedniego kryzysu dyplomatycznego z Madrytem, Maroko poluzowało kontrolę granicy. Stało się to po tym, jak Hiszpania przyjęła na leczenie Brahima Ghaliego, przywódcę wspieranego przez Algierię Frontu Polisario, walczącego o niepodległość Sahary Zachodniej, którą Maroko uważa za część własnego terytorium. Wówczas w ciągu dwóch dni do Ceuty nielegalnie dostało się 8 tys. ludzi. Parlament Europejski nie miał wtedy wątpliwości: w przyjętej rezolucji oskarżył Rabat o wykorzystywanie migracji do wywierania presji politycznej na Hiszpanię.

Cui bono

W tym miejscu na scenę wkracza kolejny „podejrzany". Algier ma powód do „wrabiania" Rabatu, dlatego część internetowych tropów (m.in. adresy grup w mediach społecznościowych) prowadzi do Algierii.

– Ich relacje są mniej więcej tak wrogie, jak Polski i Białorusi. To jeden z najostrzejszych konfliktów w regionie – mówi Maciej Pawłowski, ekspert portalu XYZ.pl ds. afrykańskich i autor książki pt. „Brama do Europy. Czy Afryka Północna zdecyduje o przyszłości starego kontynentu".

20 lipca premier Hiszpanii, Pedro Sánchez, rozmawiał w Algierze m.in. o dostawach gazu. Dla Madrytu ich znaczenie rośnie, bo napięcia z administracją Donalda Trumpa rodzą obawy o przyszłość importu tego surowca z USA. – W mojej ocenie właśnie ten układ zależności jest jedną z przyczyn, dla których Maroko, najbliższy sojusznik USA w Afryce Północnej, zdecydowało się wykorzystać presję migracyjną wobec Hiszpanii i ułatwiło migrantom masowe przedostawanie się do Ceuty – mówi Pawłowski.

W ten sposób dochodzimy do sedna sprawy i źródła serii teorii, także spiskowych. Otóż jeżeli zastosujemy zasadę *cui bono*, czyli kto odnosi korzyść, to osłabienie lub nawet upadek rządu Sáncheza leżałby w interesie administracji Trumpa i rządu Izraela, bo potencjalny następca najprawdopodobniej prowadziłby bardziej przychylną im politykę zagraniczną. Choć – jak podkreśla m.in. wspominany

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

już Fabiani – to hipoteza dotycząca interesów geopolitycznych, a nie dowód współudziału w operacji.

Z rządem Beniamina Netanjahu hiszpański premier ma na pieńku, odkąd nazwał działania w Strefie Gazy ludobójstwem, a z administracją Trumpa pokłócił się, odmawiając 5 proc. PKB na zbrojenia, a później udostępnienia Amerykanom hiszpańskich baz lotniczych podczas wojny z Iranem. Jednocześnie Donald Trump od dawna popiera marokańskie stanowisko w sprawie Sahary Zachodniej, a Izrael utrzymuje z Marokiem bardzo dobre stosunki od czasu podpisania Porozumień Abrahamowych, w ciągu ostatnich sześciu lat normalizujących relacje państwa żydowskiego z krajami arabskimi.

Pawłowski – podobnie jak wielu innych ekspertów – podkreśla jednak, że nie ma żadnych bezpośrednich dowodów na to, że USA lub Izrael brały udział w przygotowaniu szturmu na Ceutę. To, co wydarzyło się później, wygląda na zupełnie inną kampanię.

Siła obrazu

Deniz Torcu, medioznawczyni z madryckiego Universidad Instituto de Empresa, zwraca uwagę, że zanim ustalono przyczyny kryzysu, opinię publiczną zdominowały obrazy: ludzie płynący wokół falochronu, tłum na plaży i granica, która na kilka godzin praktycznie przestała istnieć. Jak pisała w „The Conversation", obraz „argumentuje, nie przedstawiając argumentu". Nie musi niczego dowodzić, by wywołać poczucie chaosu i utraty kontroli. A w przypadku Ceuty w ciągu kilkunastu godzin język migracji stał się językiem wojny.

Politycy skrajnej prawicy zaczęli mówić o „inwazji", „zalewie" i „konieczności odzyskania kontroli". Lider Vox Santiago Abascal nazwał wydarzenia „aktem wojny", Marine Le Pen zażądała radykalnego zaostrzenia polityki migracyjnej, a premier Giorgia Meloni ogłosiła czasowe zawieszenie stosowania zasad Schengen wobec Hiszpanii, choć żaden nielegalny imigrant nie dostał się z Ceuty do Europy, Włochy nie mają z Hiszpanią wspólnej granicy, a prawo unijne nie przewiduje możliwości jednostronnego „zawieszenia Schengen" wobec innego państwa członkowskiego. Przywódcy 22 państw UE, w tym Donald Tusk, błyskawicznie podpisali list przygotowany przez Włochy i Danię, w którym sugerowano, że kryzys był skutkiem hiszpańskiej polityki i wezwano do ograniczenia „czynników przyciągających" migrację.

HENRY NICHOLLS / AFP / EAST NEWS

Cechą operacji hybrydowych jest to, że nie sposób jednoznacznie wskazać ich autora.

Ceuta pokazuje, że nie muszą mieć nawet jednego reżysera.

Szansy na dolanie oliwy do ognia nie przepuścił też Trump, który stwierdził, że jeśli Amerykanie wybiorą Demokratów, w USA dojdzie do sytuacji, przy której wydarzenia w Hiszpanii będą wyglądały jak „drobnostka". Wiceprezydent J.D. Vance odpowiedzialnością za kryzys obarczył rząd w Madrycie. Komunikat w podobnym tonie wydał też Departament Stanu.

Izraelscy politycy i komentatorzy oskarżali natomiast Sáncheza o hipokrzyję, bo uznał niepodległość Palestyny, choć sam – jak ujął to Danny Danon, ambasador Izraela przy ONZ – utrzymuje „kolonialne enklawy" w Afryce. W sieci zaczęły krążyć hasła #FreeCeuta, określenia o „okupacji", „ludobójstwie" i „rozwiązaniu dwupaństwowym dla Hiszpanii".

Według śledztwa Al Jazeera Open Source Unit materiały generowane przez AI miały zebrać ponad 15 mln wyświetleń, a wpis Danona ponad 10 mln. Haizam Amirah-Fernández z madryckiego Centrum Studiów Arabskich zauważa, że przez kilka dni po wydarzeniach Ceuta była wyjątkowo często komentowana przez osoby z otoczenia Trumpa i izraelskiego rządu, i było to o tyle uderzające, że zainteresowanie znacznie wykraczało poza zwykłe relacjonowanie kryzysu.

Erozja solidarności

Hiszpański minister spraw zagranicznych José Manuel Albares oskarżył po kryzysie „międzynarodówkę reakcyjną" o błyskawiczne rozpowszechnianie „kłamstw oraz fałszywych informacji" na temat sytuacji w Ceucie, integralności strefy Schengen i działań Hiszpanii. Deniz Torcu zauważa z kolei, że skrajna prawica nie musi wygrać sporu o liczby. „Jej celem jest ośmieszenie wizerunku Hiszpanii" – pisze. Gdy radykalny język przestaje brzmieć radykalnie, partie głównego nurtu muszą zacząć mówić tym samym językiem, albo narazić się na zarzut słabości.

List 22 przywódców UE, którzy deklarują chęć walki z nielegalną migracją, paradoksalnie obnażył słabość polityki „eksternalizacji" (tak nazywana jest stosowana od lat unijna strategia płacenia państwom trzecim za zatrzymywanie migrantów). Ceuta pokazała, że taki zewnętrzny partner może ostatecznie decydować o szczelności i bezpieczeństwie unijnej granicy. I jak łatwo może się zmienić w potencjalnego szantażystę.

Rozwiązanie? Sygnatariusze listu mantrują, że jest nim dalsze pogłębianie partnerstw. Haizam Amirah-Fernández ocenił, że ta „erozja solidarności" z Hiszpanią doświadczającą kryzysu to dokładnie taki rezultat, jakiego oczekiwałby każdy aktor próbujący wykorzystać presję migracyjną jako narzędzie polityczne.

Co typowe, we wzmacnianie dezinformacji dotyczącej Ceuty szybko zaangażowała się Rosja. Andrij Sybiha, minister spraw zagranicznych Ukrainy, poinformował, że w prorosyjskiej sieci medialnej zidentyfikowano ponad 1,5 tys. publikacji, które miały rozpowszechniać obrazy kryzysu jako dowód rozpadu kontroli granic, słabości Unii i nieuchronnego konfliktu wewnętrznego. „Nie chodzi o samą sytuację, lecz o sposób, w jaki Rosja próbuje wykorzystać każdy temat, który może służyć jej agendzie" – napisał Sybiha na X.

Dostępne materiały nie wskazują, by Rosja stała za mobilizacją migrantów, ale pokazują, że starała się nadać kryzysowi ↦

↦ jak najbardziej polaryzującą interpretację. Szybko, tanio i bezpiecznie dla siebie wbijając następny klin w europejską jedność i zaufanie do UE.

Reżyser zbyteczny

Cechą operacji hybrydowych jest to, że trudno, a często wręcz nie sposób jednoznacznie wskazać ich autora. Ceuta pokazuje jednak coś jeszcze: takie operacje nie muszą mieć jednego reżysera. Na naiwności migrantów żerują siatki przemytnicze, które od lat działają w internecie. Maroko mogło dostrzec w tym okazję do realizacji własnych interesów i czasowo rozluźnić kontrolę granicy. Platformy społecznościowe zapewniły narzędzia do mobilizacji i koordynacji. Europejska i amerykańska skrajna prawica nadała narrację o „inwazji". Izraelscy i amerykańscy politycy wykorzystali kryzys do zaostrzenia sporu z rządem Pedra Sáncheza, a rosyjskie kanały informacyjne – do pogłębiania podziałów w Unii. W takich operacjach wystarczy splot interesów, infrastruktura platform społecznościowych i wydarzenie, które można błyskawicznie przełożyć na strach oraz polityczne korzyści.

Fact-checkerzy z organizacji Maldita nadal obserwują grupy przygotowujące „inwazję" 15 sierpnia. Obok map, porad i nawoływań pojawiają się zdjęcia ludzi, którzy zaginęli. A to napędza zasięgi. Mało jest tam jednak nagrań takich jak to, które pokazuje szesnastolatka, który wychowywał się kilkadziesiąt kilometrów od Ceuty i Europa „zawsze wydawała mu się marzeniem na wyciągnięcie ręki – na tyle blisko, że można ją zobaczyć, ale jednocześnie nieosiągalnym". Kiedy zobaczył na Facebooku wpis sugerujący, że granica jest otwarta, ruszył. Kilka dni później był już z powrotem w Maroku i zapłakany prosił przypadkowych przechodniów o pieniądze na taksówkę do domu. „Strzelali do mnie gazem łzawiącym i bili pałkami. Tam nie ma dla mnie nic – mówił reporterowi AP. – A ja chciałem tylko zapewnić utrzymanie mojej mamie".

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Kraj bez szczelin

AGNIESZKA ROMASZEWSKA, WSPÓŁAUTORKA PROJEKTU „ARCHIPELAG BIAŁORUŚ"

Reżim Łukaszenki jest uzależniony od służb – Golema, którego sam stworzył.

JACEK STAWISKI: Sześć lat temu, początek sierpnia 2020 r., bunt społeczny na Białorusi... Wydawało się, że reżim jest na krawędzi upadku, ale odzyskał siłę i kontrolę nad sytuacją. Czy dziś wiemy coś więcej o okolicznościach tamtych wydarzeń? Kreml pomógł Łukaszence, tak jak w 1968 r. Czechosłowacji?

AGNIESZKA ROMASZEWSKA: Jeśli chodzi o bezpośrednie wsparcie, to nie było go dużo. Oczywiście Rosjanie cały czas mieli zgrupowane wojska niedaleko granicy, prowadzono bezustanne ćwiczenia, ale oddziały nie wkroczyły. Pierwsi pojawili się doradcy rosyjscy w telewizji, w propagandzie. Był duży protest w telewizji państwowej, część ludzi wyrzucono i wtedy pojawili się wysłannicy Kremla.

Rewolucja białoruska nie miała jednak szans, mimo że na początku wyglądała bardzo obiecująco – zwłaszcza jeśli porównamy ją z poprzednimi protestami społecznymi. Po ataku na Ukrainę zdałam sobie jednak sprawę, że Rosja nigdy nie dopuściłaby, aby Łukaszenka został po prostu bez jej zgody wyrzucony i odleciał sobie helikopterem do Moskwy. Rosjanie na pewno przyszliby mu z „braterską pomocą". Choć ostatecznie nie musieli.

To były protesty pokojowe, wszędzie. Może poza tym pierwszym dniem, gdy młodzi ludzie rzucali kamieniami czy kostką brukową. Ale potem w zasadzie nie dochodziło do starć. Przemoc była wyłącznie ze strony milicji. Natomiast charakterystyczną cechą tych protestów była ich powszechność. Poprzednie protesty odbywały się zawsze tylko w Mińsku. Tym razem dochodziło do nich i w mia-

CELESTINO ARCE / NURPHOTO / ADP / EAST NEWS

Protesty po wyborach prezydenckich na Białorusi, napis „Sasza 3%" odnosi się do niskiego poparcia dla Łukaszenki. Mińsk, 9 sierpnia 2020 r.

stach obwodowych, i nawet w małych miasteczkach. Szczególnie efektownie wyglądał protest w Grodnie. Chyba ze względu na bliskość Polski tamtejsze władze miejskie tak się przestraszyły, że zaczęły rozmawiać z protestującymi i uznały, że trzeba poczynić pewne ustępstwa. To był chyba jedyny taki przypadek na całej Białorusi. Któregoś dnia przedstawiciele różnych organizacji społecznych mogli tam nawet występować legalnie na placu w samym środku miasta. Relacjonowała to miejscowa telewizja. Choć ostatecznie Łukaszenka się z tym uporał.

Bezpośrednia pomoc rosyjska nie była potrzebna także dlatego, że te protesty były po prostu słabo skoordynowane.

Ale skala brutalności milicji była ogromna...

Paradoksalnie do rozrośnięcia się buntu w 2020 r. najbardziej przyczyniła się właśnie brutalność milicji. Oburzenie jej przemocą było podstawową emocją, która towarzyszyła ludziom. Choć to może wyglądać na naiwność, to jednak Białorusini, po dwudziestu kilku latach rządów Łukaszenki, nie zdawali sobie sprawy, że żyją w aż takiej dyktaturze. I że Łukaszenka będzie się trzymać władzy, jak to oni mówią, zsiniałymi palcami. Bo przecież sam kiedyś zapewniał, że nie będzie tego robił. Białorusini wyobrażali sobie, że jak na antyreżimowy protest wyjdzie sto tysięcy ludzi, to Łukaszenka odejdzie. Wyszło trzysta tysięcy, a on nie tylko sobie nie poszedł, ale nasłał na te wszystkie demonstracje OMON. Ludzie wręcz nie mogli uwierzyć, że będzie tak brutalnie, że będą tak strasznie bić. A zaraz potem zaczęły się aresztowania i katowanie zatrzymanych.

Nasuwa się analogia z 13 grudnia 1981 r. Zdławienie Solidarności własnymi siłami przez reżim PRL-u, ale w gotowości do „bratniej pomocy" stoi Związek Sowiecki...

W pewnym sensie tak. Jednak skala zorganizowania polskiego społeczeństwa w Solidarności czy Niezależnym Zrzeszeniu Studentów różniła się od tej na Białorusi. Tam to był naprawdę spontaniczny ruch, protesty dopiero zaczynały się organizować.

Absolutną porażką była próba włączenia do protestów białoruskich zakładów pracy. Inaczej niż w Polsce w 1980-1981 r. Białorusini nie byli gotowi na strajki okupacyjne w fabrykach, to im się w ogóle nie mieściło w głowach. Jak można zająć zakład? Przecież to niedozwolone, nielegalne. To cecha charakterystyczna tamtejszej mentalności.

Jest coś takiego?

Jestem zwolenniczką opinii, że istnieje coś takiego jak „mentalność narodowa" czy „charakter narodowy". To oczywiście nie jest związane z genami, raczej z pewnymi modelami socjalizacji, uznawanych hierarchii wartości, tego, co jest akceptowane, a co nie. Białorusini są posłuszni prawu. Jak jest napisane w regulaminie, że nie wolno zajmować hal fabrycznych, no to jak mają zajmować?

W raporcie „Archipelag Białoruś" piszecie Państwo, że obecnie na Białorusi „stosowane są sowieckie wzorce z białoruską precyzją". Zresztą sam tytuł raportu przywołuje na myśl „Archipelag GUŁag". Ale piszecie też, że reżim jest słaby. Skąd ten paradoks?

Reżim jest słaby, ponieważ jest uzależniony od Golema, którego sam stworzył. Czyli od służb. Najpierw się je buduje, by broniły władzy, a potem one są już tak silne, że bez nich w ogóle ani rusz. Służby doskonale mogą o to dbać, bo przecież przez nie idzie informacja do władzy. One cały czas pilnują, by władza otrzymywała informację o tym, jak są niezbędne. I w efekcie zaczynają się niesłychanie rozbudowywać, stają się niemal wszechwładne, tak jak to widzimy teraz na Białorusi.

Służby robią czasem rzeczy z pozoru absurdalne, np. rewizję w domu nieżyjącego ojca jednego z dziennikarzy niezależnych, który mieszka za granicą i w tym domu nie był już sześć lat. Pytanie: po co? Odpowiedź: muszą pokazać, że są przydatne. Przecież nie mogą powiedzieć, że już wszystkich wrogów złapały i że są niepotrzebne, bo wtedy grozi im redukcja etatów, obcięcie finansowania.

Służby, co prawda, służą Łukaszence, ale prowadzą własną politykę, również politykę wynajdywania wrogów. A z drugiej strony reżim bez aparatu represji nie istnieje. Błędne koło.

A sprawa wojny w Ukrainie? Łukaszenka jest w rozkroku między wojną a nie-wojną...

To jedyna rzecz, w której jest jakoś samodzielny wobec Rosji. Rękami i nogami walczy o to, żeby nie wejść do wojny bezpośrednio, a dokładniej, żeby nie musiały tego robić białoruskie wojska.

Dlaczego? Chyba słusznie uważa, że to byłyby ostatnie dni jego władzy. Jeżeli do tych wszystkich trudności życia i represji doszłoby jeszcze, że Łukaszenka zmusza ludzi, by ginęli na Ukrainie, to doprowadziłby pokojowych z natury Białorusinów do ostateczności.

Już w tej chwili ludzie go szczerze nienawidzą.

Może na zewnątrz tego nie widać, ale tak jest. Wystarczy sobie policzyć więźniów politycznych. Nie tylko tych, którzy siedzą w tej chwili, także tych więzionych wcześniej: wszystkich, którzy przeszli przez białoruski system represji. To są dziesiątki tysięcy ludzi. Praktycznie w każdej rodzinie kogoś wyrzucili, pobili, aresztowali albo każdy ma takiego znajomego, kuzyna żony brata itd. Zaczyna to być po prostu powszechne. Ludzie zdają sobie ↦

↦ z tego sprawę. W tym sensie Łukaszenka nie cieszy się poparciem społecznym i nie ma na nie już nigdy szans. Choć oczywiście ma też swoich stronników. Sam aparat różnych szczebli, do tego służby wraz z rodzinami to już spora grupa.

W raporcie piszecie Państwo m.in.: „Łukaszenka i jego otoczenie zdecydowali się na ewolucję w kierunku totalitaryzmu". Używacie tego terminu w stosunku do Białorusi, przy całej wiedzy o XX w.: o Związku Radzieckim, III Rzeszy, Korei Północnej, Chinach. Nie boi się Pani zarzutu, że to jednak jest przerysowane?

Na czym polega totalitaryzm? To coś totalnego, czyli że władzy podporządkowane są właściwie wszystkie dziedziny życia. Tak jest w tej chwili na Białorusi. To kraj nie tak liczny, dziewięć milionów ludności. Do tego dodajmy białoruską solidność i dokładność przy tworzeniu systemu kontroli. Efekt wychodzi naprawdę imponujący. Rosjanie zazdroszczą białoruskiemu reżimowi, ponieważ ich kraj jest tak ogromny, że nie da się w nim wszystkiego kontrolować aż tak ściśle.

Na Białorusi jest bardzo dużo przedsiębiorstw państwowych. W związku z tym, jeśli jesteś choć odrobinę nie po linii i to się wyda, możesz natychmiast stracić pracę. Jest szkoła, też odpowiednio podporządkowana. Jest, jak wspomniałam, cały gigantycznie rozbudowany system represji z potężnymi resortami siłowymi. To nie tak, że można cokolwiek zrobić bez zgody władzy. Nie ma żadnych istotnych szczelin. Jeszcze jakiś czas temu były, ale teraz już ich nie ma.

ADAM BURAKOWSKI / EAST NEWS

AGNIESZKA ROMASZEWSKA jest dziennikarką. Założycielka i wieloletnia (2007-2024) dyrektorka Telewizji Biełsat, pierwszego niezależnego kanału nadającego na Białoruś. Wcześniej była reporterką w TVP i wydawczynią „Wiadomości". Współtwórczyni projektu „Archipelag Białoruś".

Czy trudno było przekonać ludzi, by opowiedzieli o swoich więziennych doświadczeniach? Chyba po takich przejściach często są złamani i wolą o tym nie mówić.

Mieliśmy jakieś kontakty, cała nasza trójka: Michał Kacewicz, Piotr Pogorzelski i ja. Ale w największym stopniu pomógł nam mój długoletni przyjaciel i współpracownik Paweł Mażejka. On sam zebrał wiele kontaktów.

Nie od dziś jesteśmy dziennikarzami i rozmawiamy z ludźmi. Miałam poczucie, że bardzo dużej liczbie opozycjonistów białoruskich zależało, by opowiedzieć swoją historię. Niewiele mogą reżimowi zrobić, ale przynajmniej mogą udokumentować działanie systemu represji. Mnie inspirowały doświadczenia moich rodziców, które mówią, że wszystkie raporty, jeśli mają być przekonujące i robić wrażenie na zwykłych odbiorcach, muszą się opierać na konkretnych przykładach. Przecież Andrzeja Poczobuta prawie zamęczyli, torturując go lodowatym karcerem. Jak jest zimno, a w dodatku karmią niewystarczająco, to człowiek chudnie drastycznie, bo ogrzanie ciała wymaga ogromnej ilości energii.

Kiedy Iryna Słaunikawa, była koordynatorka Biełsatu w stolicy Białorusi, opowiadała o areszcie na Akreścina w Mińsku, o nieludzkim traktowaniu więźniów, przepełnieniu cel, to mało powiedzieć, że robi to wrażenie. Niektórzy z naszych rozmówców wykazali się rzeczywiście żelaznym charakterem. To naprawdę postacie wysokiej klasy i próby. Pomyślałam, że jak Białoruś ma choć trochę takich obywateli, to może jednak nie zginie tak łatwo.

Natomiast tytuł raportu wymyślił dyrektor OSW Wojciech Konończuk. Myślę, że nawiązanie do „Archipelagu GUŁag" Sołżenicyna jest głęboko uzasadnione.

Coraz więcej Polaków głosi hasła: „wojna w Ukrainie to nie nasza wojna, co nas to obchodzi". Czy analogicznie w Polsce słychać już: „a co nas obchodzi Białoruś?".

W zasadzie do tej pory nie ma w Polsce negatywnego stosunku do Białorusinów. Jeśli już, to jest negatywny stosunek do Białorusi ze względu na Łukaszenkę. Ale pojawiają się też głosy, że może już dosyć, że może trzeba się dogadywać z Łukaszenką, bo to da nam możliwość lepszego zadbania o własne interesy. Ta koncepcja połączona jest zazwyczaj z nawoływaniem, by skończyć z „romantycznym spojrzeniem na politykę". Nie jest dla mnie jasne, do jakiego typu rozmów i ustępstw miałby być gotowy Łukaszenka i w jaki sposób mielibyśmy od niego uzyskać cokolwiek ważnego.

Według mnie zainteresowanie sytuacją naszych sąsiadów, przy czym nie tylko re-

„Archipelag Białoruś"

W SIERPNIU 2020 R. po sfałszowanych wyborach prezydenckich na Białorusi rozpoczęły się masowe protesty obywatelskie przeciwko dyktaturze Alaksandra Łukaszenki. Zostały brutalnie stłumione – kilkadziesiąt tysięcy ludzi trafiło do aresztów, ponad osiem tysięcy wtrącono do więzienia.

„Archipelag Białoruś" to raport o tamtych wydarzeniach, przygotowany dla Ośrodka Studiów Wschodnich przez Agnieszkę Romaszewską, Michał Kacewicza i Piotra Pogorzelskiego. Zgromadzono w nim relacje byłych białoruskich więźniów politycznych. Otwiera je Andrzej Poczobut, który z chłodną precyzją dokumentalisty opowiada, czym jest współczesny łagier. Pozostałe relacje nagrano i spisano w latach 2025-2026. Ich celem jest udokumentowanie najważniejszych cech systemu represji.

Dyrektor Ośrodka Wojciech Konończuk podkreśla, że tytuł nawiązuje nie tylko do słynnego dzieła Aleksandra Sołżenicyna, ale jego inspi-

racją były też słowa Haliny Dzierbysz, która spędziła pięć lat w więzieniu za „terroryzm". W zamieszczonej w zbiorze relacji mówi, że białoruskie kolonie karne to „wysepki niewolnictwa". Dziesiątki takich kolonii, aresztów śledczych, więzień i obozów pracy przymusowej tworzą właśnie „archipelag Białoruś" – zauważa Konończuk. ©℗ JS

lacjami z ich władzą, ale i sytuacją samych Białorusinów, leży w fundamentalnym, polskim interesie. Jest inwestycją w przyszłość, a nie tylko kwestią humanitarną czy sprawą zasad.

Skąd więc te pomysły dogadywania się z dyktatorem?

Niestety, zauważyłam ostatnio, że realizm polityczny zbyt często myli się z – przepraszam za wyrażenie – pańswinizmem. Czyli, że dopiero jak coś jest niemoralne i brzydkie, to wtedy na pewno jest realistyczne i korzystne dla państwa polskiego. Otóż ja jestem innego zdania. Uważam, że realizm polityczny oznacza po prostu realną ocenę sytuacji, zidentyfikowanie interesów, które w danej sytuacji chcielibyśmy zrealizować, zależności, które występują w danym kraju i w związku z tym krajem, a następnie postawienie sobie konkretnych celów i dokonanie trzeźwej oceny możliwości ich realizacji.

A metody, które warto zastosować, mogą być różne. Przy czym wybierając je, nie należy zapominać, że wszyscy jesteśmy ludźmi. Także nasi partnerzy, Białorusini i Ukraińcy – też są ludźmi. To jest jednak bardzo podstawowy imperatyw – i dla chrześcijanina, i dla każdego porządnego człowieka.

Boję się tego odwracania od Wschodu. Uważam to za działania niesłychanie krótkowzroczne. Mamy po sąsiedzku agresywne mocarstwo, czyli Rosję. Czy możemy być obojętni na to, co tam się dzieje? Czy możemy być obojętni na los krajów, które nas od tego mocarstwa oddzielają? Nie, nie możemy. To byłoby nielogiczne. Moim zdaniem demokratyzacja Białorusi, czyli wsparcie istnienia narodu białoruskiego, jest w zasadniczym interesie i Białorusinów, i Polaków. Jeśli za Bugiem nie będzie Białorusinów, to będzie tam Rosja.

Czy Alaksandr Łukaszenka, choć dyktator, jest gwarantem jakiejś niezależności i odrębności państwa białoruskiego?

Nie. Bo choć oczywiście woli być władcą państwa niż guberni, to zarazem niszczy białoruską tożsamość, robi z tego kraju zagraniczną ekspozyturę Imperium i ułatwia Rosji rozszerzanie „ruskiego miru".

©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI

ANDREEA ALEXANDRU / AP / EAST NEWS

Kontrolowana podwodna eksplozja na Dunaju w celu pogłębienia koryta i skierowania większej ilości wody do systemów chłodzenia elektrowni jądrowej Cernavodă. Izvoarele, Rumunia, 3 sierpnia 2026 r.

Nie chodzi o to, że się ociepla

JAKUB WIECH

GORĄC | Tegoroczne fale upałów – od Francji po Polskę – pokazały, że Europa nie jest gotowa na tempo, w jakim zmienia się klimat.

Termin „globalne ocieplenie", odnoszący się do zjawiska będącego częścią obecnej zmiany klimatu, narzuca określone rozumienie tego procesu: koncentruje uwagę na wzroście średniej temperatury powierzchni Ziemi. Ona faktycznie rośnie – choć przecież nie to jest najważniejsze. Kluczowe jest tempo tego wzrostu.

Jego alegorią może być człowiek biegnący maraton. Można założyć, że prawie każda zdrowa osoba byłaby w stanie przejść w jeden dzień dystans 42 kilometrów. Ale ile osób przebiegłoby go w mniej niż 2 godziny? I jakie szanse przeżycia miałby przypadkowy człowiek, zmuszony do takiego biegu? Tymczasem wszyscy jesteśmy do niego zmuszeni. Obecna zmiana klimatu jest tak gwałtowna, że nie ma odpowiednika w znanej historii geologicznej Ziemi. Przypominają o tym cztery fale upałów, które przetoczyły się w tym roku przez Europę.

NORMY | Europejska – w tym polska – infrastruktura budowana była w większości według norm klimatyczno-pogodowych z XX wieku. Te zaś są już po prostu nieaktualne. Ponieważ jeśli nawet uwzględniały proces ocieplającego się klimatu, to zakładały, że będzie on postępować w tempie maksymalnie 0,2 st. Celsjusza na dekadę. Tymczasem obecne ocieplenie to już prawie 0,4 st. Celsjusza na 10 lat. ↦

Rozjazd między przewidywaniami a rzeczywistością był w tym roku doskonale widoczny we Francji: tamtejsi meteorolodzy ogłosili, że spodziewali się nadejścia temperatur odnotowanych w czerwcu i lipcu 2026 r. dopiero ok. roku 2070. Francuzi nie byli gotowi na tak szybkie mierzenie się z ekstremalnymi temperaturami, czego tragicznym dowodem może być ok. 6000 nadmiarowych zgonów związanych z upałem, odnotowanych tylko w drugiej połowie czerwca. W niektórych francuskich szpitalach liczby dziennych przyjęć wzrosły do poziomów nienotowanych od pandemii, a polityka nad Sekwaną skupiła się na potrzebie masowej instalacji klimatyzatorów.

Jednakże ludzie, infrastruktura czy gospodarka to jedno. Z upałami musi radzić sobie także przyroda. W lipcu wyschło 16 proc. francuskich rzek i strumieni. Wędkarze, przyrodnicy, ale i zwykli obywatele zaangażowali się w akcje ratowania ryb uwięzionych przez brak wody.

Wysoka temperatura i 70-procentowy ubytek miesięcznej normy opadowej sprawiły, że w okolicach Bordeaux wybuchł największy pojedynczy pożar odnotowany we Francji od 1949 r. Spłonęło 42 tysiące hektarów. Co ważne, lokalna stacja meteorologiczna zanotowała w 2026 r. więcej dni z temperaturą powyżej 40 st. Celsjusza niż w okresie od rozpoczęcia pomiarów w roku 1920 do roku 2025.

POŻARY | Podobne problemy, co we Francji, wystąpiły także w Hiszpanii, gdzie pożar objął okolice Madrytu. Łącznie w tych dwóch krajach trzeba było ewakuować ponad 300 tys. osób. Hiszpański rząd oszacował już, że na samą akcję gaszenia pożarów wydano sumę odpowiadającą 0,2 proc. tamtejszego PKB. A to przecież tylko bilans działań strażaków i wojska – do tego trzeba dodać również straty spowodowane ogniem.

Wysycha również Wlk. Brytania, gdzie w większości kraju w lipcu odnotowano jedynie 20 proc. normy opadów miesięcznych. Są na Wyspach miejsca, gdzie w ubiegłym miesiącu nie spadła nawet kropla deszczu. To wszystko wpływa dewastująco na lokalne rolnictwo: zbiory zbóż będą najprawdopodobniej najgorsze od rozpoczęcia nowoczesnych pomiarów, czyli od 1984 r., a uprawiający je rolnicy spodziewają się strat rzędu ok. 390 mln funtów, czyli 0,5 mld dolarów. To dopiero wstępne szacunki – prawdopodobnie zaniżone, bo nieuwzględniające najnowszych epizodów upału.

SKUTKI | Ekstremalnie wysokie temperatury i susza dają się we znaki także energetyce.

Tu przykładem mogą być dwie polskie elektrownie – Kozienice i Połaniec – które na początku sierpnia musiały ograniczyć dostępność mocy o ponad 1 GW. Powód? Woda w Wiśle, którą wykorzystują do chłodzenia, jest zbyt ciepła i jest jej zbyt mało. Z tego powodu polski operator systemu przesyłowego musiał sięgać po tzw. okresy przywołania na rynku mocy, czyli specjalne narzędzie dające mu możliwość pokrycia zmniejszonej dostępności elektrowni. Rozwiązanie to funkcjonuje od 2018 r. i od tego czasu było używane pięciokrotnie – w tym trzykrotnie w roku 2026, zawsze podczas fali upałów.

Polskie jednostki wytwórcze chłodzone wodą rzeczną będą miały przed sobą trudne lato, tak samo jak i polscy rolnicy. Według danych Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa susze objęły aż 65 proc. polskich gmin. Szacuje się, że jeden dzień z temperaturą powyżej 30 st. Celsjusza oznacza straty przekraczające 100 mln zł. Tymczasem w ciągu ostatnich 70 lat liczba takich dni wzrosła w Polsce średnio dwukrotnie.

SPOSOBY | Na razie Polska przechodzi przez fale upałów suchą stopą. Gorzej z resztą Środkowej Europy.

W Rumunii sytuacja była tak zła, że władze musiały wprowadzić na cały sierpień stan zagrożenia energetycznego. Dało to możliwość sięgnięcia do rezerwy budżetowej i przeznaczenia środków na nadzwyczajne działania interwencyjne: rumuńskie służby wysadziły część brzegu rzeki Dunaj, a następnie zaczęły zatapiać po drugiej stronie jej koryta barki wypełnione kamieniami. Wszystko po to, by przekierować większe ilości wody na elektrownię jądrową Cernavodă, będącą fundamentem systemu elektroenergetycznego kraju.

Normalnie ta jednostka odpowiada za 20 proc. produkcji prądu w Rumunii. Teraz jej efektywność spadła o połowę, bo z powodu problemów z chłodzeniem trzeba było wyłączyć jeden reaktor. Czy uda się utrzymać przy pracy drugi? Nie wiadomo, wszystko zależy od powodzenia manewru z wysadzaniem brzegu i barkami.

Na wszelki wypadek rumuńscy przedsiębiorcy już ograniczyli produkcję, żeby oszczędzać energię. Stanęły m.in. fabryki Dacii i Forda. Podobnie na Węgrzech: ok. 900 przedsiębiorstw ograniczyło pobór energii – a więc i produkcję – żeby oszczędzać, bo susza zakłóciła funkcjonowanie elektrowni jądrowej Paks, która daje Węgrom 50 proc. prądu.

Na wywołane upałami problemy z wodą narzekają także Niemcy, a więc najsilniejsza gospodarka Europy. Wysokie temperatury i skromne opady przełożyły się na niski poziom Renu, co wpływa na możliwości eksportowe RFN. Obrót towarami w porcie w Rotterdamie, leżącym u ujścia tej rzeki, spadł w lipcu o 10 proc. względem miesięcznej normy. Transport towarów po Renie jest teraz ok. trzy

TOBY MELVILLE / REUTERS / FORUM

razy droższy niż normalnie, bo poziom wody w rzece spadł do rekordowo niskich poziomów, a to podnosi ceny paliw na rynku niemieckim: benzyna czy diesel docierają bowiem do zagłębi przemysłowych RFN w dużej mierze właśnie Renem, prosto z holenderskich rafinerii.

EL NIÑO | Na tegorocznym lecie problemy z pogodą mogą się jednak nie skończyć. Wszystko wskazuje, że to dopiero przedsmak tego, co przyniosą kolejne miesiące.

Nadchodzi bowiem El Niño, a więc okresowe zjawisko klimatyczne polegające na ociepleniu powierzchniowych wód Pacyfiku. Zaburza ono globalną cyrkulację atmosferyczną, przez co zmienia pogodę na dużych obszarach świata, m.in. zwiększa ryzyko susz i upałów w jednych regionach, a intensywnych opadów i powodzi w innych.

Tegoroczne El Niño może być jednym z najsilniejszych w historii pomiarów – kto wie, czy nawet nie najsilniejszym. Według najnowszych prognoz amerykańskiego NOAA istnieje 81 proc. prawdopodobieństwa, że w okresie październik-grudzień 2026 wystąpi „bardzo silne" El Niño, kwalifikowane wśród największych takich epizodów od początku instrumentalnych obserwacji w 1950 r.

STRESS-TEST | To wszystko stanowi stress-test dla systemów, które zbudował człowiek: infrastrukturalnych, ale też politycznych i społecznych. Są one bowiem mimowolnymi uczestnikami wyścigu, do którego zostały wepchnięte przez spowodowaną ludzką działalnością zmianę klimatu. Tymczasem każdy system ma swoje punkty krytyczne, granice wytrzymałości – a każda dekada wciska pedał przyspieszenia globalnego ocieplenia coraz mocniej, wraz ze wzrostem koncentracji gazów cieplarnianych w atmosferze.

Wciąż jest czas, by ten proces wyhamować, by uniknąć momentu, w którym już nie będziemy w stanie dalej biec. Bo to właśnie ta rosnąca szybkość staje się nie do zniesienia – dla naszej infrastruktury, środowiska i nas samych. Warto pamiętać, że rdzewienie i spalanie to ten sam proces chemiczny, czyli utlenianie. Na poziomie fizycznym oba przypadki różni jedynie tempo. Ale konsekwencje tej różnicy mogą być dla obserwatora znaczące. © JAKUB WIECH

Autor jest twórcą projektu elektryfikacja.eu.

Kościół Wszystkich Świętych otoczony wyschniętymi łąkami w Blackheath Common, z widoczną w tle dzielnicą biznesową Canary Wharf, Londyn, Wielka Brytania, 1 sierpnia 2026 r.

ESEJ

MAGIA TO NASZ ŻYWIOŁ

Wiecie, co to jest mana? Za tym pojęciem, pojawiającym się nawet w grach komputerowych, stoi wprawdzie antropologiczne nieporozumienie – ale jakże piękne!

ŁUKASZ LAMŻA

DZISIAJ POMÓWIMY O MAGII. Zacznijmy od tego, że nie ma ona żadnej porządnej definicji. Od ponad stu lat antropolodzy i etnografowie próbują się dogadać, czym „tak naprawdę" jest, czym się różni od religii itd. Sam ten sposób myślenia jest jednak błędny. Nie ma jednej określonej rzeczy, będącej „magią", którą trzeba by dopiero poznać i zdefiniować. „Magia" to raczej zbiorczy termin na rozmaite sposoby wpływania na świat, które są choć trochę bardziej subtelne od popchnięcia czegoś paluchem.

Żadna tradycyjna kultura świata nie określa zresztą czynności tego typu słowem „magia". Grecy nazywali po prostu „mędrców ze Wschodu" słowem *magos*, pochodzącym prawdopodobnie z języków irańskich, i jakoś tak się utarło.

Więcej niż paluch

Aby zrozumieć magię, trzeba wyjść od „modelu standardowego" przyczynowości: to wizja świata, zgodnie z którą jedyną drogą wywoływania w nim jakichś skutków jest mechaniczne zetknięcie się dwóch przedmiotów (przyczynowość jest lokalna) i przekaz między nimi pewnej mierzalnej wielości fizycznej (przyczynowość jest ilościowa). Wszystko ponad to zaczyna już pachnieć magią.

MENG DELONG / XINHUA NEWS AGENCY / FORUM

Kula plazmowa, czyli magia nauki: widowiskowe wyładowania elektryczne w zjonizowanym gazie. Muzeum Nauki i Technologii w Yangzhou, Chiny 2022 r.

A jak np. można by złamać te święte zasady? James Frazer w klasycznej „Złotej gałęzi" (1890) wyróżnił dwie podstawowe zasady magii: prawo podobieństwa i prawo kontaktu.

Pierwsze z nich głosi, że „podobne wpływa na podobne". To dzięki temu gdy przebijam kukiełkę reprezentującą czyjeś ciało, ten ktoś odczuje ból, a ptaki o żółtych oczach, jak pisał Plutarch, wyciągają z człowieka żółtaczkę (w starożytności usługa wypożyczenia kulona w klatce była wysoko ceniona, klatkę zaś przykrywano pieczołowicie szmatą, aby ptak nie wyleczył kogoś za darmo). Relacja ta jest więc jakościowa, a nie ilościowa.

Prawo kontaktu głosi zaś, że „przedmioty raz zetknięte utrzymują ze sobą połączenie pomimo dzielącej je odległości" – czyli nielokalnie. Moje włosy i ubrania zachowują w sobie odrobinę mojej „esencji", co rozpina między nami kanał magicznego oddziaływania. Bardziej współczesny przykład to woda stosowana przez producentów produktów homeopatycznych, która utrzymuje rzekomo moc leczenia wyłącznie dzięki temu, że kiedyś, dawno temu, stykała się z cząsteczką substancji leczniczej. Homeopatia, nawiasem mówiąc, to technologia w najściślejszym sensie magiczna, opierająca swoją logikę na obu prawach Frazera.

Frazer twierdził, że dwa wspomniane prawa stoją u podstaw dwóch gałęzi magii: „naśladowczej" i „przenośnej". Istnieją też jednak inne jej formy, opierające się np. na zachęceniu lub przymuszeniu do współpracy istot niematerialnych (na tę gałąź magii mówi się czasem „goecja", choć to kolejne słowo o wielu znaczeniach).

Wszystkie odmiany oferują nam jednak jakiś sposób wpływania na świat, inny niż „model standardowy" przyczynowości, łamiący którąś z jego zasad. Tym ciekawsza jest więc *mana*.

Stulecie badań dzikich

Robert Henry Codrington (1830-1922) był pastorem anglikańskim, który w latach 1867-1887 prowadził misję chrześcijańską na melanezyjskiej wyspie Norfolk. W 1891 r. opublikował monografię „The Melanesians: Studies in their Anthropology and Folk-Lore", która szybko stała się klasykiem antropologii. Stwierdził tam m.in., że Melanezyjczycy wierzą w istnienie many, którą zdefiniował jako „ponadnaturalną, bezosobową, potężną siłę, którą człowiek może nabyć, posiadać i wykorzystać do rozmaitych celów za pomocą odpowiedniego rytuału".

Mana podbiła wyobraźnię badaczy, a na jej temat uwielbiali teoretyzować dzisiejsi klasycy antropologii, religioznawstwa czy historii idei, np. Marcel Mauss, Carl Jung czy Mircea Eliade.

Rzecz jednak w tym, że antropologia XIX-wieczna była nauką, no cóż... niedoskonałą. Niektórzy jej przedstawiciele pracowali ze słabo ukrywanym rasizmem, wychodząc z założenia, że przedmiotem ich badań jest wcześniejsze ogniwo w łańcuchu ewolucyjnym „małpa → dziki → barbarzyńca → człowiek cywilizowany". Nawet zaś najlepsze chęci nie były w stanie obalić bariery kulturowej i językowej: pod koniec XIX w. po prostu nie istniały narzędzia, by dobrze rozumieć wypowiedzi w językach austronezyjskich czy nilo-saharyjskich.

Już w 1922 r. niemiecki etnolog Friedrich Lehmann pisał, że nie da się znaleźć na Pacyfiku ani jednej wyspy, na której mieszkaliby ludzie wierzący w *manę* Codringtona. W 1984 r. australijski antropolog i lingwista Roger Keesing podsumował narastające od dekad wątpliwości, analizując wypowiedzi Melanezyjczyków z perspektywy współczesnego językoznawstwa. Stwierdził, że słowo *mana* bywa używane na dziesiątki sposobów, ale najczęściej jako pospolity quasi-przymiotnik określający skuteczność i „moc" jakiegoś przedmiotu albo czynności. „Ten nóż jest *mana*" oznacza, że jest dobrym nożem. W 2007 r. ukazała się zaś książka Nicolasa Meylana „Mana: historia zachodniej kategorii", która wbiła gwóźdź do trumny many, czyniąc z jej przypadku ogólną lekcję o ślepych uliczkach antropologii.

Warto przytoczyć dłuższy fragment z artykułu Keesinga: „Błąd Europejczyków polegał na stwierdzeniu, że istnieje jakiś przypominający substancję ośrodek, *mana*, niewidzialny żywioł wydawany lub przechowywany przez duchy i bogów: uniwersalny ośrodek mocy i sukcesu. (...) Poza kilkoma wyjątkami, wyspiarze nie byli w stanie tego wytłumaczyć nastawionym teologicznie Europejczykom, uwikłanym w swoje własne konwencjonalne metafory władzy, poglądy na temat całkowicie wyjaśnialnego wszechświata i fizyczne modele elektryczności i hydrauliki. Nie zrozumieliśmy, że mana-owość [*mana-ness*] reprezentuje powszechną jakość skuteczności lub sukcesu, (...) a nie kosmiczny ośrodek będący ich nośnikiem".

I na tym w zasadzie mogłaby się ta historia zakończyć: ot, kolejne problematyczne pojęcie antropologii i religioznawstwa, ↦

wynikające z pospiesznych uogólnień, jak „animizm", „bóg" czy „hinduizm". W przypadku many najciekawsze jest jednak to, z jaką mocą zapłodniła naszą zbiorową wyobraźnię – i co to mówi o nas samych i o projekcie intelektualnym współczesności.

Castaneda i RPG-i Po II wojnie światowej pojęcie many było już solidnie zakorzenione w humanistyce. Jak jednak podbiło świat popkultury? Kulturoznawcy Alex Golub i Jon Peterson twierdzą, że kluczowy był przełom lat 60. i 70.

W amerykańskich college'ach gotowała się wówczas i rozlewała na świat barwna mieszanina idei: buddyzm i medytacja (Alan Watts), dziwność kwantowa (Fritjof Capra), psychodeliki (Timothy Leary)... ale także mit szlachetnego dzikusa, tęsknota za pierwotną społecznością i fascynacja korzeniami człowieczeństwa – realnymi bądź zmyślonymi. Na potęgę czytano pół-literackie traktaty „mitoznawcze" Josepha Campbella – w których *mana* jeszcze bardziej się „rozpędziła" – a w 1968 r. gruchnęła bomba: młody antropolog Carlos Castaneda powrócił z Meksyku, gdzie najprawdziwszy szaman o pseudonimie Don Juan Matus nauczył go najprawdziwszej magii ludu Yaqui! Dzisiaj wiemy już, że Castaneda wyssał to z palca, jednak po jego „Naukach Don Juana" szał na magię osiągnął apogeum.

Pierwszym słynnym zastosowaniem *many* w literaturze było opowiadanie Larry'ego Nivena „Not Long Before the End" z 1969 r. (Niven zasłynął później jako autor serii „Ringworld"). W latach 70. nastąpił zaś rozkwit gier bitewnych i fabularnych typu RPG.

W 1971 r. ukazał się system o nazwie „Chainmail", w którym po raz pierwszy rzucanie czarów stało się techniczną czynnością, formą ataku wykonywanego np. raz na turę. Jedna z najpopularniejszych gier RPG wszech czasów, „Dungeon & Dragons" (D&D), ukazała się w 1974 r. i miała prosty system magii właśnie tego typu. W następnych latach upowszechnił się model „rezerwuaru" magicznej energii, której porcje można wydatkować na rzucanie czarów i którą trzeba regenerować. Ową magiczną energię nazywano na różne sposoby: „Magic Points", „Spell Points", „energia getyczna", „energia psioniczna"... no i właśnie „mana".

Tą ostatnią szybko zaraził się też świat gier komputerowych. Już w 1975 r. student Uniwersytetu Cornella Philip Cohen ogłosił dumnie, że „w D&D można teraz grać na komputerze" – choć jego minimalna gra fabularna w trybie tekstowym nigdy nie stała się kompletnym produktem. W latach 80. nastąpił wysyp gier na komputery osobiste, a w 1987 r. ukazał się słynny „Dungeon Master", w którym po raz pierwszy pojawiły się znajome „paski", w tym wypadku trzy: zdrowia, wytrzymałości i many. System „dwóch zbiorniczków" – zdrowia (HP) i many (SP) – miało też „Diablo I" (1997), kamień milowy w historii gier komputerowych.

Można by uznać, że *mana* sprowadzona do liczbowego parametru w grze komputerowej skutkuje dość płytką wizją magii. Czy więc „nowa mana" to z natury twór jałowy i wynaturzony? Ani trochę! Wokół tego modelu można zbudować piękny obraz świata.

Co wiedziała Yennefer

Taka już potęga i tragedia umysłu zachodniego, że stale szuka głębszych wyjaśnień. To dlatego tworzymy niekończące się hierarchie zasad kosmicznych, to dlatego pytamy o pochodzenie Boga, to dlatego tworzymy coraz bardziej fantazyjne teorie na temat tego, co przed Wielkim Wybuchem. Świat musi być sensowny i zupełny, a przerażeniem napawa nas myśl, że struktura rzeczywistości mogłaby być nielogiczna lub ponadlogiczna.

Wizja many jako przenikającej świat substancji magicznej domaga się więc od razu uzupełnienia: a co to właściwie ta substancja i skąd się bierze? Oczywistego wyjaśnienia dostarczają żywioły. Żywioły to wszak elementarne materialne składniki świata – pierwsza wersja tego, co dzisiaj nazywamy „polami kwantowymi".

Piękny system „magii żywiołów" opisał choćby Andrzej Sapkowski w serii książek o Wiedźminie. „Ziemia, po której stąpamy. Ogień, który nie wygasa w jej wnętrzu. Woda, z której wyszło wszelkie życie i bez której to życie jest niemożliwe. Powietrze, którym oddychamy. Wystarczy wyciągnąć rękę, by nad nimi zapanować, zmusić do uległości. Magia jest wszędzie. Jest w powietrzu, w wodzie, w ziemi i w ogniu" – tłumaczy młodziutkiej Ciri czarodziejka Yennefer. W „Krwi elfów" znajduje się dłuższy opis lekcji magii, z którego można z łatwością wyciągnąć jej „logikę" i zasady działania. Chociaż nie pojawia się samo słowo *mana*, jest to system stuprocentowo oparty na metafizyce „nowej many": moc magiczna jest czerpana, przechowywana i oddawana w postaci czaru. Bo tak przecież – „oczywiście" – działa magia!

TYGODNIK POWSZECHNY
Sklep „Tygodnika Powszechnego"

DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA
SPRAWDŹ
sklep.TygodnikPowszechny.pl
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Znaczące są rozmaite drobne uwagi rozsiane po książkach Sapkowskiego, sugerujące, że magia jest zjawiskiem naturalnym, a nie ponadnaturalnym. Yennefer tak przestrzega Ciri przed niechlujnym czarowaniem: „Operujesz siłą natury, okaż naturze szacunek". W zupełnie innym kontekście doświadczona czarodziejka Nimue kąśliwie stopuje młodą „śniączkę i onejromantkę" Condwiramurs, stwierdzając, że za jej talent odpowiada wyłącznie „nietypowa praca gruczołów dokrewnych". To rzecz charakterystyczna dla współczesnej magii: podejmowane są usilne starania, aby ją uwiarygodnić poprzez wbudowanie w naukowy obraz świata. Ostatecznie magia ze świata Wiedźmina nie jest więc tak naprawdę... magią.

Jeżeli ktoś szczerze wierzy w zjawiska magiczne, to widzi je wszędzie wokół siebie, dokładnie tak samo, jak wodę i powietrze.

Namagnesowani

Przypuśćmy, że wybieramy się na festiwal nauki i prezentowane jest tam przenośne urządzenie do gromadzenia energii pola magnetycznego. Urządzenie to wyposażone jest w specjalną dyszę, z której – jak tłumaczą nam podekscytowani adepci fizyki – możliwe jest wydawanie energii pola w tak ciekawej konfiguracji, że w pewnej odległości od dyszy dochodzi do konstruktywnej interferencji i powstaje „zgęstka" pola, pozwalająca np. przesuwać na odległość drobne metalowe przedmioty. Magia? Nie – raczej nauka i technologia, prawda? Cóż, „każda wystarczająco zaawansowana technologia jest nieodróżnialna od magii", głosi słynne trzecie prawo Clarke'a.

No dobrze, gdzie więc zaczyna się magia? Nasze fikcyjne urządzenie posługuje się jedną z sił przyrody – niewidzialnym, nieobserwowalnym obiektem o nazwie „pole magnetyczne", wywierającym (lokalnie!) realny wpływ na przedmiot materialny. Magią byłaby więc procedura posługiwania się siłą p o n a d-naturalną. Gdyby jednak w świecie istniało więcej pól podobnych do elektromagnetycznego – np. „pola żywiołowe" – to proces manipulowania tymi polami należałoby uznać za technologię. Do wyjaśnienia pozostałoby oczywiście, jak umysł wpływa na „pole żywiołowe", od czego jednak drobna dawka pól elektro-chemicznych mózgu i technożargonu.

Rzecz zresztą nie w detalach, lecz w samym impulsie. Magia mocy magicznej usilnie opisywana jest jako zjawisko naturalne, a nie ponadnaturalne. Współcześni twórcy dobrze wyczuwają, że czytelnicy chętniej wejdą w ich fantastyczne światy, jeżeli będą wiarygodne. My zaś, ludzie XX i XXI wieku, choć rozpaczliwie wręcz tęsknimy za magią, duszą i bogami, wstydzimy się tych tęsknot i uparcie tworzymy ich naturalistyczne wersje tylko po to, abyśmy mogli spokojnie orzec, że są one częścią Natury.

Najbardziej zadowoli nas taka magia, która będzie najbardziej przypominać zwykłą przyczynowość – i to dlatego tak wszyscy pokochali manę. W końcu znaleźliśmy magię, którą umiemy sobie wyobrazić jako część naszego świata! *Mana,* wyjaśnijmy to może wprost, jest zaś najzupełniej lokalna i czysto ilościowa. Pierwszym udanym czarem Ciri było podrzucenie wiklinowego koszyczka, co można by choćby opisać jako zamianę energii potencjalnej w wędrującą porcję energii kinetycznej, oczywiście przy ścisłym zachowaniu zasady zachowania energii.

Ponad naturą

Na koniec warto przyjrzeć się samej kategorii „ponadnaturalności". Zauważmy przede wszystkim, że jeżeli dzielę otaczające mnie zjawiska na „naturalne" i „ponadnaturalne", to tym samym wyganiam te drugie poza obrąb „zwykłego świata". Jeżeli ktoś jednak naprawdę szczerze wierzy w zjawiska „magiczne", to widzi je wszędzie wokół siebie, dokładnie tak samo, jak wodę i powietrze.

W żadnej kulturze tradycyjnej nie funkcjonuje zresztą tego typu ostre rozróżnienie. Można by raczej powiedzieć, że pojęcia „świat" i „naturalny" traktowane są znacznie szerzej: częścią natury są zarówno rzeczy widzialne, jak i niewidzialne; oddziaływania lokalne, jak i nielokalne.

Antropolodzy jednak przez dziesięciolecia słuchali opowieści Melanezyjczyków, Algonkinów i Irokezów z oczywistym nastawieniem, że będą oni opowiadać trochę o p r a w d z i w y m świecie przyrody, a trochę o swoich n i e p r a w d z i w y c h wyobrażeniach na temat n i e i s t n i e j ą c e j rzeczywistości, która r z e k o m o przenika rzeczywisty świat – jak antropolog E.E. Evans-Pritchard (1902-1973), do dziś cytowany jako klasyk badań nad magią, który dumnie raportuje w książce „Czary, wyrocznie i magia u Azande", że przy każdej okazji tłumaczył Azande, jak bardzo się mylą, interpretując magicznie najzupełniej naturalne zjawiska.

I to dlatego „mana antropologów" jest tak interesująca – stanowi najlepszą współczesną próbę przekonującego połączenia tych dwóch światów (jedyną poważną konkurencją jest Moc z uniwersum Star Wars, która jednak opiera się na nieco innym pryncypium metafizycznym i którą trzeba by omówić przy innej okazji). To koncepcja, która naprawdę nie mogłaby powstać w Melanezji. Manę ewidentnie stworzyli ludzie Zachodu, którzy c h c i e l i w n i ą u w i e r z y ć!

Próbując wykazać, że z magii dałoby się zrobić coś „naturalnego", a więc i wiarygodnego, przez przypadek rzuciliśmy jednak światło na swoje własne nieme założenie, że prawdziwy świat powinien zachowywać się na sposób „niemagiczny".

Zadajmy więc sobie to pytanie: jak bardzo magiczne zjawisko zaakceptowalibyśmy, gdyby zostało nam przedstawione jako skutek „praw przyrody". Lewitację? Materializację kubka z kawą w pustej przestrzeni? Czytanie w myślach? I – co nawet ważniejsze – jak bardzo magiczne zasady zaakceptowalibyśmy jako realne prawa przyrodnicze? Niewidzialne przedmioty wywierające wpływ na materię? Tajemnicze sprzężenie pomiędzy odległymi cząstkami, które kiedyś były ze sobą w kontakcie? Wnikanie w świat wiecznych, niematerialnych, matematycznych wzorców?

Najbardziej niezwykłe w trzecim prawie Clarke'a jest to, że technologie nieodróżnialne od magii naprawdę istnieją. Nie: kuglarskie sztuczki, lecz realne, powtarzalne zjawiska. Clarke nie zadał tego kantowskiego w duchu pytania, jakie cechy musi mieć świat przyrody, aby występowały w nim zjawiska nieodróżnialne od magii. Ja uprzejmie podpowiadam: nieodróżnialne od magii musiałyby być same prawa przyrody. © ŁUKASZ LAMŻA

WIARA

TOWARZYSZĄCA

Wychowałam się w środowisku maryjnym. Dlatego moje pisanie nie potrafi obejść się bez melodii litanii i maryjnych odwołań.

MAŁGORZATA LEBDA

OLENA RUBAN / GETTY IMAGES

To będzie raczej studium przypadku niż świadectwo. Przyznam, że się zawahałam. Zaproszenie na łamy „Tygodnika" do numeru sierpniowego (i to w dziale Wiara) przyszło w czasie pracy nad powieścią, u początku której nakazałam sobie: „Żadnego innego pisania. Skup się". A poza tym – pomyślałam – jak to? Ja miałabym napisać coś o Maryi? Coś – ekhm – maryjnego?

Potrzebowałam niewiele, właściwie jednej nocy, żeby uświadomić sobie, jak mocno to, co maryjne – to, co z Maryi – naznaczyło moje życie. Powiedziałam sobie: z tego jestem też. I zgodziłam się napisać. Mam nadzieję, że wiele, wielu z Was będzie mogło się w tym przejrzeć, szczególnie ci i te, którzy w czasie swojego nastoleństwa nosili feretrony i zamiast w czasie trwogi uderzać do Boga, uderzali jednak do Maryi.

Z plecaka wędrownego handlarza

Przyjrzyjmy się temu przypadkowi.

To musiał być sierpień, możliwe, że świąteczny dzień, niedziela, która odrywała nas od znoju młócki. Zostaliśmy w domu, dzieciaki, całą trójką, z tatą. Mama wybrała się w odwiedziny do swojej mamy, do rodzinnego domu za kilkoma górami, jak mówiliśmy (w moim dziecięcym przekonaniu, bardzo, bardzo daleko). Popołudniem ktoś zapukał do naszych drzwi. Ojciec otworzył i zaczęła się rozmowa. Razem z siostrą, jak zawsze w takich momentach, stałyśmy w sieni, wyłożonej tego samego roku lśniącą boazerią, i podsłuchiwałyśmy.

Widziałam przez uchylone drzwi, że człowiek, który chce sprzedać coś naszemu ojcu, ma skórę ciemniejszą niż nasza, ciemne oczy i włosy. Po chwili rozmowy ściągnął plecak i zaczął wyciągać z niego obrazy. Ojciec, najpierw mocno sceptyczny, ożywił się gwałtownie i wskazując zdecydowanym ruchem ręki jeden z nich zapytał o cenę. Usłyszał odpowiedź, zaśmiał się. – Nie, to za dużo – powiedział. Kupił obrazek za połowę ceny. Wycofał się do sieni, a tam już go otoczyłyśmy, domagając się pokazania zakupu. – Spokojnie, spokojnie – uciszał nas. – Zaraz, zaraz. I poprowadził nas, przyciskając do piersi obrazek, do kuchni.

Usiedliśmy na wersalce. Ojciec zawołał naszego brata i, kiedy już wszyscy w skupieniu patrzyliśmy, odwrócił obraz. I wtedy pierwszy raz, tak świadomie, spojrzałam w wizerunek Matki Boskiej Fatimskiej, która unosiła się albo – jak wtedy myślałam – stała na drzewie, a u jej stóp klęczała trójka dzieci.

Ojciec zapewne nie zdawał sobie sprawy, że razem z siostrą jesteśmy jeszcze w takim wieku, że wierzymy we wszystko, co powie. A on wskazywał po kolei na dzieci na obrazku i nadawał im nasze imiona: Małgosia, Basia, Jaś.

Muszę przyznać, że zrobiło to na mnie wrażenie. Trudno żyje się ze świadomością, że zostało się wybraną przez Matkę Jezusa. Potworne to brzemię. Człowiek nagle robi się ważny, jego ruchy stają się ceremonialne, jego głos zaczyna imitować głos księdza proboszcza Gawrona.

Żyłam w tym przekonaniu bycia wybraną przez długą i niesamowitą dobę. Ale następnego dnia wróciła mama i zrobiła porządek z tym cudem, przywracając rzeczom właściwe imię (jak zawsze). A dokładnie – odebrała nasze imiona dzieciom klęczącym u stóp Maryi i ponazywała je zgodnie z historią: Łucja, Franciszek i Hiacynta.

Znużenie i objawienie

Los chciał, żebym jednak nie ustawała w dociekaniach i szukaniu jakiegoś odprysku świętości i w mojej rodzinie. W czasie jednej z mszy, w momencie potężnego znużenia (mogłam mieć pięć, sześć lat), przeżyłam iluminację.

Warto, myślę, nakreślić naturę tego zmęczenia, w którym mogą zdarzać się cuda. Najpiękniej opisał to Peter Handke w tekście „O zmęczeniu. Próba eseju" (w tłumaczeniu Elizy Borg i Ryszarda Wojnakowskiego): „Dziecko siedziało między krewnymi podczas jednej z mszy bożonarodzeniowych w oślepiająco jasnym, wypełnionym szczelnie wiernymi, miejscowym kościele rozbrzmiewającym znanymi kolędami, otoczone zapachem sukna i wosku, i tam, z impetem nagłej choroby, dopadało je zmęczenie. (...) Jego istotą było to, że deformowało ono zarówno otoczenie – wiernych zgromadzonych w kościele przemieniało w tłoczące się lalki z filcu i lodenu, zaś ołtarz, stojący w nieokreślonej dali, przystrojony w migoczące ozdoby, w miejsce tortur, zadawanych przy akompaniamencie mętnych rytuałów i formułek w wykonaniu kapłanów i ministrantów – jak i to małe, chore ze zmęczenia stworzenie, czyniąc z niego groteskową figurę z głową słonia...".

Groteskowa figura z głową słonia – to o mnie. Z takiego samego zmęczenia, z takiego samego uśpienia, wybudziły mnie światła potężnych żyrandoli. Zmrużyłam oczy i dostrzegłam, że od żarówek rozchodzą się promienie jak od Jezusowego serca z obrazu „Jezu, ufam Tobie". Zakręciło mi się w głowie. Oparłam ciało o ciało mamy i podniosłam głowę ku jej oczom. I zobaczyłam ją pierwszy raz taką: piękną, jasną, z wysoko podniesioną brodą, układającą usta do pieśni, a na dodatek dobrą, ↦

↦ współczującą, potrafiącą rozpoznać moje stany (przytuliła mnie do swojego ciała, wzięła na siebie mój ciężar). I przeniosłam z niej wzrok na figurkę Maryi.

Później szukałam wzrokiem innych realizacji. Znalazłam: feretrony, stacje Drogi Krzyżowej, obraz w lewym bocznym ołtarzu (Matki Bożej z Dzieciątkiem), obraz w prawym bocznym ołtarzu (Matki Bożej z Dzieciątkiem w otoczeniu św. Michała Archanioła oraz św. Jana Ewangelisty) oraz witraże z jej podobizną. I przez tę jedną mszę myślę o mojej rodzonej matce jak o Maryi (obie są dla mnie jednakowo piękne).

Już następnego dnia, w domu, jakby w ramach kary za bluźnierstwo myśli, dotyka mnie choroba, świnka, to jakże bolesne zapalenie ślinianek przyusznych. Puchnę. A ona troszczy się o mnie i za chwilę także o moją siostrę bliźniaczkę, którą zaraziłam. I każe się nam modlić modlitwą, której wtedy tak bardzo nie rozumiałam: „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, / błogosławionaś Ty między niewiastami / i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. / Święta Maryjo, Matko Boża, / módl się za nami grzesznymi, / teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen".

Zbrodnia i kara

Jako dziecko z pewnością żyłam w kakofonii pojęć: matka natura / Matka Boska / moja mama – nic tu mi w tej konstrukcji nie zgrzytało.

Ostatnio, pracując nad nowym wyborem wierszy Wisławy Szymborskiej, przeczytałam ponownie wiersz „Portret kobiecy" i uderzyły mnie słowa: „Słaba, ale udźwignie". A więc – silna? To też o naszych matkach – pomyślałam – które w kościele zawsze siadały w tych samych miejscach, wybierały zawsze te same godziny nabożeństw, zakładały na swoje piękne, długie włosy, zaplatane w warkocze i układane na szczycie głowy kolorowe chustki (jakby już były niemłode, jakby nie wypadało pokazywać swojego piękna publicznie). Oto najsilniejsze, najdzielniejsze, najpokorniejsze i w jakiś sposób najświętsze kobiety, jakie kiedykolwiek znałam. I kiedy moja mama chorowała i umierała, chciałam zobaczyć ją płaczącą; myślałam, że to przyniosłoby nam wszystkim ulgę. Nie, one nie płakały nigdy.

I dalej: zbrodnia i kara. W jednym z pokoi domu rodzinnego, tym wystawionym na wschód, ciepłym, jasnym, traktowanym jako gościnny, odkąd pamiętam, stał ołtarzyk: wysoka szafka, a na niej dziergany obrus, dwa flakoniki (kobaltowy kolor, lodowy grys, z krakowskiej huty szkła Prądniczanka), zimą w nich plastikowe kwiaty, a od wiosny do jesieni kalejdoskop kolorów: biały i fioletowy bez, tulipany, narcyzy, cynie, lilie, dalie i lwie paszcze. I nasz dziewczęcy obowiązek: pilnować świeżych kwiatów. A za flakonikami ona. Matka Boska. I my, nieuważni, dzieci tego domu, w nieustannym ruchu i gonitwie, my, którzy w zabawie zahaczamy o szafkę i rozbijamy Maryję na wiele kawałków. Grozę tego wydarzenia może zrozumieć zapewne tylko ktoś, kto będąc kilkulatkiem, rozbił rodzinną pamiątkę, na dodatek coś, co się w domu święci, czemu przynosi się kwiaty, przed czym się klęka i do czego się modli.

Padliśmy na kolana; ktoś z nas zapłakał, to pewne. Zlepiliśmy (bardzo nieudolnie) Maryjkę, ale fragment z pleców rozbił się tak dotkliwie, że nie było czego sklejać. Z tyłu nasza Maryja miała dziurę, którą później, w kolejnych latach, wykorzystywaliśmy jako skarbonkę. Rodzice zorientowali się po kilku dniach, a że odpowiedzialność wzięliśmy wszyscy na siebie po równo (wiedzieliśmy, że wskazanie jednej osoby jako winnej może skończyć się dla niej źle), naszą jedyną pokutą – jak się okazało jednak dotkliwą – była modlitwa. Przez miesiąc każdego wieczora klękaliśmy karnie przed posklejaną przez nas figurką i odmawialiśmy różaniec, chociaż daleko było jeszcze do października.

Nasz starszy brat, współodpowiedzialny, który był dla nas wyrocznią, po jednej z takich modlitw wieczornych, które prowadził, szepnął do nas: „To się na nas zemści". Jak bardzo te słowa we mnie pracują, niech zaświadczy fakt, że jeszcze do dzisiaj, oddalona o kilkadziesiąt lat od tamtego wydarzenia, jeśli przytrafia mi się coś złego, niefortunnego, to myślę sobie: mści się.

Czy wymodliliśmy się z tego? Tamten strach i paraliż po rozbiciu świętej figurki przypomniałam sobie chyba najdotkliwiej (serce w gardle!) po latach, oglądając znakomity film „Altiplano" (2009) w reżyserii Petera Brosensa i Jessiki Woodworth – niesiona przez mężczyzn w procesji figura Matki Boskiej roztrzaskuje się przez nieuwagę dzieci bawiących się lśniącą rtęcią. I to się mści.

Godna zaufania

To był czas, kiedy myślałam o Maryi surowej i karzącej. I wtedy, już nastolatce, wpadł mi w ręce tom wierszy Tadeusza Nowaka. Maryja, jaką odkryłam w jego pisaniu, w jego psalmach, była tą, w którą chciałam wierzyć, której chciałam zaufać, która była mi – po ludzku – bliska i tak bardzo przypominała mi moją dziecięcą teorię, że jest lub może być i moją matką.

POŻEGNANIE

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.† P.

Krystyny Dobroch

Bartkowi, naszemu autorowi i przyjacielowi,
a także całej Rodzinie składamy
najserdeczniejsze wyrazy współczucia.

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"
i Fundacji Tygodnika Powszechnego

Niewiele rzeczy zabrałam z rodzinnego domu, kiedy przestawał być, już tak naprawdę, moim domem. Nie zabrałam posklejanej Maryjki (bałam się), ale ze ścian pościągałam święte obrazy. Przyglądam się im teraz, powieszonym w innym domu, już moim, w Paśmie Jaworzyny Krynickiej, na ścianie, którą jeden z moich przyjaciół nazwał „błogosławioną" i tak zostało. Czasem zdarza mi się spać pod nią, na kanapie, tam są też lokowani, jakby z przymusu, goście tego domu. Kilkanaście obrazów, kilka z domu rodzinnego, w większości przedstawia Matkę Boską. Mam tu jej wiele twarzy: Częstochowska Czarna Madonna, Ostrobramska, kilka scen biblijnych z Maryją jako bohaterką, kilka ikon... Na kredensie w kuchni, na widocznym miejscu, stoją figurki Matki Boskiej, a po szufladach meblościanki wiele różańców, w tym te pachnące jeszcze różą.

W szpargałach, dokumentach, fotografiach zabranych z domu rodzinnego po śmierci rodziców znajduję też stare, sfatygowane Pismo Święte Nowego Testamentu oraz pierwszokomunijną książeczkę. Przeglądam je i widzę wiele obrazków, które ukazują Maryję w różnych odsłonach. Otwieram książeczkę na „Litanii tzw. Loretańskiej", czytam na głos, próbując odpowiedzieć sobie na pytanie, czy dałoby się to przeczytać jak wiersz. Nie udaje mi się. W głowie słyszę melodię, którą pamiętam z mojego parafialnego Kościoła pw. św. Michała Archanioła. Pamięć melodii, czyjegoś głosu, dykcji. Tak jak po wysłuchaniu Czesława Miłosza czy Alice Oswald, czytających swoje wiersze, nie byłam w stanie oddzielić ich głosów od ich tekstów.

Jestem pewna, że, gdyby obudzono mnie w środku nocy na komendę odśpiewania Litanii Loretańskiej, moje usta ułożyłyby się w melodię wyśpiewywaną przez te wszystkie wiejskie, piękne, okutane w chusty kobiety. W tym moją matkę.

Cud czy nie cud

I jeszcze: pogrzeby zwierząt. Dziecięce, z przejęciem, z rozpalonymi twarzami, z poczuciem, że robi się coś ważnego i coś, co jest w jakimś sensie (wtedy przecież nie do pojęcia) przekroczeniem, dlatego robi się to w ukryciu przed wzrokiem rodziców, i przynosi się na taki grób kwiaty, i odmawia się nad nim różaniec.

> Kiedy kilka lat temu biegłam wzdłuż Wisły do Bałtyku – 1113 kilometrów w nogach i prawie miesiąc w trasie – pomyślałam, że **znalazłam swój sposób na pielgrzymowanie.**

Albo jeszcze to: byliśmy zaprzątnięci objawieniami (trudno powiedzieć, skąd to przyszło), w domu mówiło się o cudach, listonosz, pan Łukasik, przynosił historie pozbierane z kilku wsi. To kwitło i u nas: ktoś zobaczył na szybie twarz Matki Boskiej, robił się ruch, biegliśmy tam. Rozpalały się nasze dziecięce umysły i pytaliśmy siebie za każdym razem, kiedy jakiś kształt przypominał twarz lub sylwetkę Maryi i zastygaliśmy w nabożnym skupieniu i analizie: Cud? Nie cud?

Ominęło mnie pielgrzymowanie; zawsze trzeba było wybierać – praca w gospodarstwie albo pielgrzymka. W liceum nasza polonistka zagorzale pielgrzymowała do Medjugorje. Przez cztery lata szkoły średniej byliśmy pod mocnym wpływem tych pielgrzymek; wiele razy słyszeliśmy, że peregrynuje tam też w naszej intencji. Muszę przyznać, że zawsze pociągała mnie ta idea i kiedy kilka lat temu biegłam wzdłuż Wisły, już dobiegając do Bałtyku – z 1113 kilometrami w nogach, po prawie miesiącu w trasie – pomyślałam, że znalazłam swój sposób na pielgrzymowanie.

Maryjne zanurzenie

Tyle detali, tyle przygód. A teraz szerszy obraz.

Przyszłam na świat w 1985 roku. Pokolenie Y, milenialka. Do dziewiętnastego roku życia mieszkałam w małej wsi malowniczo położonej w Beskidzie Sądeckim. Moja rodzina była wierząca i skrupulatnie praktykująca. I jakoś najmocniej, tego jestem pewna, rozkochana właśnie w Maryi. Wychowałam się w środowisku maryjnym. Teraz, patrząc na te wszystkie lata, nazwałabym to maryjną immersją.

Mam w sobie przeświadczenie, że najczęściej i też najpiękniej celebrowało się w moim domu rodzinnym właśnie święta maryjne. Długo myślałam, że „kościół" kręci się właśnie wokół niej – Matki Jezusa. Ciekawa jestem, co na to liczby. Sprawdzam: w ciągu roku mamy kilkadziesiąt okazji do maryjnego świętowania (w tym uroczystości nakazane, święta oraz wspomnienia dowolne i obowiązkowe).

Spotykamy się na tych łamach w kontekście jednego z takich świąt, 15 sierpnia – Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, inaczej Matki Boskiej Zielnej. Muszę przyznać, że kiedy pierwszy raz próbowałam objąć myślą koncepcję „wniebowzięcia", tuż przed bierzmowaniem, zrobiła ona na mnie wrażenie. Ale zanim znalazłam w sobie przestrzeń na teologiczne dociekania, sierpniowe święto jednak znaczyło dla mnie: obfitość. Bukiety przygotowywane wspólnie z mamą i siostrą, poprzedzone wspólnym zbieraniem kwiatów i ziół. Poczucie, że to, co z natury, to też ze świętości. Dary: gałązki jarzębiny, mięta, kłosy żyta i owsa, chabry.

Rodzajem medytacji jest dla mnie przebywanie w miejscach z przedstawieniami maryjnymi. Obsesyjnie wchodzę do kościołów i przyglądam się jej wizerunkom. Szukam jej na obrazach w muzeach, jak ostatnio w Galerii Obrazów Starych Mistrzów w Dreźnie (Dürer, Correggio!) czy w Muzeum Prado w Madrycie (El Greco, Fra Angelico!).

I moje pisanie nie potrafi obejść się bez melodii litanii, maryjnych odwołań, poszukiwań (w których jestem). Gdy pisałam pierwszą powieść, zdarzało mi się wychodzić na pola za stodołami w czasie, kiedy w najbliższym kościele, w Barcicach, pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Wniebowziętej (przypadek?) rozlegały się odgłosy litanii lub różańca. To dźwięki z rejestru tych, które mnie uspokajają, tak jak odgłosy wiatru pracującego w liściach osiki, czy pszczół szukających pożytków w kielichach kwiatów kokoryczki.

Pracując nad tym tekstem, wracałam do pisanej właśnie powieści. Zaskoczyło mnie (co teraz sobie uświadamiam, pisząc to studium przypadku), jak intensywnie Maryja zamieszkuje też tamten powstający tekst. Matka Boska Towarzysząca.

© MAŁGORZATA LEBDA

Autorka jest pisarką, poetką i ultramaratonką. Żyje na wsi wraz z mężem i piętnastoosobowym stadem zwierząt.

Camino z Jakubowa

STANISŁAW ZASADA

REPORTAŻ | Mała wieś pod Głogowem od tysiąca lat przyciąga pielgrzymów. Tutaj zaczyna się polska Droga św. Jakuba do Composteli.

Wsylwestra ksiądz kanonik Stanisław Czerwiński był w Watykanie. Papieżowi podarował ornat z wizerunkiem św. Jakuba – od niego wieś Jakubów na Dolnym Śląsku wzięła nazwę.

– Gdy Ojciec Świętego usłyszał, skąd jestem, powiedział: „Santiago Polonia" – wspomina kustosz pierwszego w naszym kraju Sanktuarium Świętego Jakuba Większego Apostoła. To tu wytyczono pierwszy szlak z Polski do grobu Apostoła w Hiszpanii.

– Od nas wyszła iskra na cały kraj – mówi kustosz.

Alberga u księdza

Do polskiego Santiago de Compostela przyszedłem z Głogowa. Zamiast wielkiej katedry z barokową fasadą Obradoiro jak w Hiszpanii, gotycki kościółek z polnego kamienia.

– Niech pan przyniesie ze sobą jedzenie – poradził kustosz, gdy zapowiadałem się kilka dni wcześniej. Tłumaczył, że w Jakubowie sklepiku ani baru nie znajdę.

W skwarne popołudnie sennie tu, jakby wszyscy mieli sjestę. Proboszcz prowadzi mnie do albergi – schronisko dla pielgrzymów jest na plebanii. Dostaję pokój z łazienką, w kuchni lodówka, czajnik, na stole chleb, pomidory, kawa, herbata. Gdybym na głogowskim targowisku nie zrobił zakupów, dałbym radę przeżyć.

– Sklepiki poupadały, bo ludzie kupują w marketach. A na plebanii nie będę przecież handlował bułkami – tłumaczy kanonik.

W razie potrzeby, wozi jednak pielgrzymów po zakupy.

Rozmawiamy pod drewnianą wiatą ze stołami i ławami jak w restauracyjnym ogródku. Obok grill dla pielgrzymów, którzy korzystają z albergi. Na szyldzie z muszlą: „Przystań Apostoła Jakuba".

Na otwartym polu

„Iacobo Maiori" – na fasadzie kościoła w Jakubowie dawno temu ktoś wykuł w kamieniu łacińskie imię Jakuba Większego. Obok, rzymskimi cyframi: 1103. To prawdopodobna data budowy świątyni. Choć niektórzy sądzą, że jest o ponad wiek starsza.

„Roku pańskiego 991, za czasów panowania księcia Mieszka I został zbudowany na otwartym polu kościół wraz z wieżą i otaczającym go dziedzińcem" – zapisał prawie trzysta lat temu ówczesny proboszcz Franz Joseph Pffeifer, ręcznie, niemieckim gotykiem.

– Znane nam dziś źródła tego wprost nie potwierdzają – zaznacza Waldemar Hass, dyrektor Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Głogowie, muzealnik i znawca Jakubowa.

Pierwsza pewna informacja pochodzi z roku 1376, gdy dokonano konsekracji świątyni. Miesiąc temu świętowano 650. rocznicę tego wydarzenia.

– Uroczystości prowadził legat papieski biskup Krzysztof Nykiel z Watykanu – mówi proboszcz.

Źródło Jakuba

Ale historia zaczęła się na pewno dużo wcześniej. „Według jednego z dawnych przekazów Jakubów był w XII i XIII w. jednym z najbardziej znanych miejsc, do których licznie pielgrzymowali wierni, nawet z tak odległej Francji" – ponad sto lat temu notował w kronice kolejny proboszcz Viktor Repetzki.

Pątników przyciągało Źródło Świętego Jakuba z uzdrawiającą – jak wierzono – wodą. „Było ich podobno tak wielu, że wieś nie była w stanie przyjąć wszystkich. I tak pola znajdujące się poza wsią ciemne były od ludzi i furmanek" – pisał Repetzki.

Po siedemdziesięciu stopniach schodzę do studzienki, w dębowym lesie tną komary. Blaszanym kubkiem, który zabrałem na wyprawę, nabieram źródlanej wody. W sam raz na upalny dzień.

W średniowieczu o Jakubów spierali się śląscy Piastowie z Czechami, potem panowali tutaj Niemcy. Kościół przez sto lat był świątynią protestancką. Po wojnie wieś znalazła się w Polsce.

Gdy w 1999 r. proboszczem został ksiądz Stanisław Czerwiński, zajął się budową filialnej kaplicy, jak mu kazał biskup. O tym, że przed wiekami ludzie pielgrzymowali tędy do Hiszpanii, nie wiedział.

Płaszcz z obrazu

Niespokojny duch ten Henryk Karaś, inżynier górnik z Lubina.

W 1968 r. przyłącza się do studenckiego buntu, działa w Solidarności, w sta-

ZOFIA I MAREK BAZAK / EAST NEWS

Co roku 25 lipca bractwo św. Jakuba uroczyście obchodzi święto swojego patrona, uczestnicząc w procesji odpustowej w Jakubowie.

nie wojennym szmugluje bibułę, pomaga represjonowanym działaczom – dostanie osiem miesięcy więzienia w zawieszeniu. Po upadku komuny angażuje się w Akcję Katolicką.

Wiosną 2004 r. odwiedza w Jakubowie proboszcza, opowiada o św. Jakubie i o swojej nowej pasji – europejskich szlakach pielgrzymkowych do Santiago de Compostela.

– Przeszło dwadzieścia razy szedłem na Jasną Górę i nie miałem pojęcia, że św. Jakub jest patronem pielgrzymów – przyznaje ksiądz Stanisław.

Karaś pokazuje mu mapę zachodniej Europy ze szlakami jakubowymi w Niemczech, Francji, Hiszpanii. – Tam pajęczyna dróg, a u nas nic – mówi ksiądz. Postanowił to zmienić.

Do Jakubowa przyjeżdża też Waldemar Hass. W diecezjalnym czasopiśmie pisze artykuł o maleńkiej wsi z kamiennym kościółkiem, w której ktoś chciał ukraść zabytkową kamienną rzeźbę św. Jakuba na studzience ze źródełkiem. Daje tytuł: „Dolnośląska Compostela".

Z muszlą przegrzebka

Ksiądz Czerwiński zakłada ogólnopolskie stowarzyszenie Bractwo Świętego Jakuba. – Żeby miał kto propagować kult apostoła Jakuba, odtwarzać szlaki i troszczyć się o pielgrzymów – tłumaczy. Namawia mieszkańców, by się zapisywali.

– Mieszkać w Jakubowie i do Bractwa Jakuba nie należeć? – mówi parafianka Bożena.

– Jak żona się zgłosiła, to ja też – odzywa się mąż Krzysztof.

Ewa (nauczycielka i wieloletnia dyrektorka szkoły w Nielubi) też jest od początku w bractwie. – Chciałam być częścią wspólnoty ludzi, którzy dzielą podobnie wartości i troszczą się o dziedzictwo świętego Jakuba – tłumaczy.

Zapisało się ponad dwadzieścia osób. Zaprzyjaźniona krawcowa uszyła im płaszcze i peleryny.

– Mamy takie same stroje jak Jakub w naszym kościele – pani Bożena przynosi do altanki brązowy płaszcz i niebieską pelerynę. W ołtarzowym obrazie Jakub też jest pielgrzymem: ma brązowo-niebieskie szaty z muszlą przegrzebka, kapelusz zwiesił na plecy, w ręku trzyma pielgrzymi kij.

Osiem tysięcy kilometrów

25 lipca 2005 r. (odpust św. Jakuba) wyruszyli z Jakubowa do Zgorzelca – trasę pomogli im wytyczyć przewodnicy turystyczni z regionu. Na moście na Nysie Łużyckiej spotkali się z Niemcami z Görlitz i wymienili jakubowymi muszlami. Tak Dolnośląska Droga Świętego Jakuba połączyła się z Drogą Ekumeniczną (niemiecki odcinek szlaku w Saksonii).

Rok później przedłużyli trasę z Jakubowa przez Głogów, Wschowę, Poznań, Lednicę, Gniezno i Trzemeszno do Mogilna – powstała Wielkopolska Droga. Dziś w Polsce szlaki liczą 8 tys. kilometrów.

Bractwo przywróciło też tradycję pielgrzymowania z Głogowa do Jakubowa – kilkanaście kilometrów. – Od dwudziestu lat co roku idziemy z kolegiaty do naszego sanktuarium. Zatrzymujemy się przy kościołach i odmawiamy różaniec – opowiada.

Nazwali to pielgrzymką papieską.

Idę tą samą drogą: przez Most Tolerancji, na drugi brzeg Odry. Prowadzą mnie znaki z białymi muszlami i czerwonym krzyżem jakubowym. Kurowice, Łagoszów Mały – mijam wioski. Z nieba żar, jakaś kobieta pyta, czy mam wodę. Na łące bydło z zakręconymi rogami jak z gonitwy w Pampelunie – na szczęście oddziela nas drut pod napięciem.

Do Jakubowa wchodzę ulicą (a jakże!) Świętego Jakuba Apostoła. Na płocie baner z uroczystości 650-lecia sanktuarium. Obok wizerunku apostoła Jakuba zdjęcie kustosza z Leonem XIV – jak wręcza papieżowi jakubowy ornat.

Zrozumieć Europę

„Tożsamości europejskiej nie można zrozumieć bez chrześcijaństwa" – czytam na postumencie z wielką muszlą z piaskowca przed Kolegiatą Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Głogowie.

To cytat z Jana Pawła II – w 1982 r. w Santiago de Compostela apelował o odnowienie starych szlaków, którymi w średniowieczu ludzie podążali do grobu apostoła.

W zachodniej Europie zaczęto je oznaczać muszlami i żółtymi strzałkami na niebieskim tle. W Hiszpanii wzdłuż trasy są schroniska dla pielgrzymów – albergi.

– Ale w Polsce wszystko zaczęło się od nas – przypomina kanonik Czerwiński.

Choć polscy pielgrzymi i tak najczęściej wybierają hiszpańskie trasy.

Lekarz z powołaniem

Ewa, nauczycielka, już dwa razy rozpoczynała Camino w Hiszpanii. – Pielgrzymowanie nauczyło mnie cierpliwości i pokory – mówi. – Każdy dzień przynosił nowe wyzwania: zmęczenie, ból, zmieniającą się pogodę. Ale jednocześnie pokazywał, że potrafię pokonać własne słabości. Na Camino zrozumiałam, że do celu dochodzi się małymi krokami, a wytrwałość okazuje się ważniejsza niż tempo – dodaje.

W domu ma dwie compostele – certyfikat ukończenia Camino, który dostają pielgrzymi po przejściu co najmniej stu kilometrów.

Opowiada mi, jak kult św. Jakuba wpływa na jej życie: – To zobowiązanie do dawania świadectwa wiary w codziennym postępowaniu: przez życzliwość, otwartość, niesienie pomocy. Nawet drobne gesty mogą być zachętą dla innych do poszukiwania Boga – dodaje.

– Dwa lata już idę z Jakubowa do Santiago de Compostela – mówi Andrzej, lekarz. Jest w połowie drogi. Pierwszego roku dotarł pod Luksemburg. Z tego miejsca zaczął tegoroczną wędrówkę do Orleanu w środkowej Francji. Przypuszcza, że za dwa lata będzie u grobu apostoła.

– Mieszkam przy sanktuarium – mówi. – Święty Jakub powołał mnie, żebym pielgrzymował i świadczył o wierze – dodaje pobożnie.

↦

Polskie drogi

↦ Przez Jakubów przechodzi często Stanisław Poczykowski z Poznania, emerytowany żołnierz. W Santiago był wiele razy. – Wyruszam z progu domu, jak pielgrzymi w średniowieczu – mówi.

Rozmawiamy przy kawie na poznańskim Ostrowie Tumskim. Kilka dni temu Poczykowski żegnał tutaj znajomych, którzy wyruszyli pieszo na Jasną Górę. Też chodził w pielgrzymkach do Częstochowy. Potem wybrał Camino. – Wolę ciche pielgrzymowanie – mówi.

W tym roku wyszedł z domu w połowie marca, a na początku czerwca był w Santiago. W Simmern przy granicy z Luksemburgiem dołączył do niego Andrzej, razem doszli do Orleanu.

Kilka lat temu do Jakubowa dotarł Gerard – Niemiec po czterdziestce, poliglota, ateista, ale „poszukujący Boga". Lubił poznawać europejskie kraje i różne kultury. Ktoś powiedział mu, że Szlak Świętego Jakuba łączy całą Europę.

Drogę do Santiago de Compostela rozpoczął od Warmii. – Z Olsztyna wyruszył w październiku, u nas był w marcu – wspomina ksiądz Czerwiński.

Przed moim przyjściem ruszyli stąd do Zgorzelca rowerowi pielgrzymi z Piotrkowa Kujawskiego. Kilka lat temu powstał tam szlak Camino wokół jeziora Gopło.

Waldemar Hass, dyrektor muzeum, też jest w bractwie. Mówi, że cieszy go, gdy z okna Zamku Książąt Głogowskich widzi pielgrzymów z plecakami oznaczonymi muszlą: – To znak, że ludzie wciąż pragną wartości duchowych. I powrotu do prostoty, pobycia w ciszy, w kontakcie z przyrodą, zabytkami, kulturą.

Nie martwi go, że na polskich szlakach pielgrzymów jest mało. – Ważna jest jakość, nie ilość.

Zdziwienie biskupa

W sylwestrowy wieczór arcybiskup Santiago de Compostela Francisco José Prieto Fernández uderzy trzy razy srebrnym młotkiem w Święte Drzwi katedry – rozpocznie się Rok Święty Jakubowy. Obchodzony jest, gdy odpust świętego Jakuba wypada w niedzielę. Zdarza się to co pięć, sześć lub jedenaście lat.

– To okazja do otrzymania odpustu zupełnego – ksiądz Stanisław przypomina kościelną naukę o odpustach.

– I wcale nie trzeba iść do Santiago, wystarczy być w Jakubowie – mówi Andrzej, który przeszedł już połowę drogi do grobu apostoła. – W naszym sanktuarium można uzyskać taki sam odpust zupełny jak w Composteli – przekonuje.

Ksiądz Czerwiński przywiózł z Rzymu relikwie św. Jakuba. W 2007 r. tutejszy kościół został ogłoszony pierwszym w Polsce sanktuarium tego apostoła. A trzy lata później w Polsce obchodzono po raz pierwszy Compostelański Rok Święty. Do Jakubowa przyjechał wtedy poprzedni arcybiskup Santiago – Julián Barrio Barrio. – I nie mógł się nadziwić – wspomina kustosz. – Powtarzał, że to polskie Santiago.

Riesling dla pielgrzyma

Przy plebanii rząd figurek: Jakub Apostoł, Jan Paweł II, Matka Boska i Józef z małym Jezusem. Przy kościele „Dąb Karol" upamiętniający polskiego papieża, na placu muszla z piaskowca i kamienny krzyż *Cruceiro* – całkiem jak te, które stoją w Hiszpanii na rozstajach dróg.

Zagaduję kustosza, że trochę tu jak w Licheniu. Mówi, że chciałby przypomnieć ludziom wartość kultu świętych.

– Obchodzimy Dzień Ziemi, dzień kawy, dzień uśmiechu, a o tym, że codziennie wypada wspomnienie konkretnego świętego – zapomnieliśmy.

W samym środku Jakubowa jest winiarnia. Próbuję Chardonnay, sprawdzam aromaty, smaki. Gospodarz nalewa Rieslinga. Opowiada, że raz jakiś starszy mężczyzna zapytał o nocleg. Jechał rowerem z Torunia do Santiago de Compostela, żeby uczcić swoje osiemdziesiąte urodziny. Właściciele winnicy ugościli go, choć sami nie są zbyt pobożni, a tym bardziej „kościelni".

Ale za to pił u nich wino, jak na hiszpańskich szlakach do Santiago.

© STANISŁAW ZASADA

Korzystałem z albumu „To miejsce, które umiłowałem. 650-lecie kościoła pw. św. Jakuba Apostoła Starszego w Jakubowie".

Pamięć kardynała

MONIKA BIAŁKOWSKA

KOŚCIÓŁ W POLSCE | Kardynał Dziwisz ma dobrą pamięć, gdy wspomina Jana Pawła II. Słabą, gdy musi tłumaczyć się z własnych decyzji.

Po dwóch nieudolnie usprawiedliwianych nieobecnościach i napomnieniu, że unikający zeznań świadek może zostać doprowadzony siłą, kardynał Stanisław Dziwisz stawił się w sądzie. Przez niemal godzinę składał zeznania w procesie, jaki przeciwko archidiecezji krakowskiej i parafii w Międzybrodziu Bialskim wytoczył Janusz Szymik, molestowany w dzieciństwie przez ks. Jana Wodniaka. Szymik domaga się 20 mln złotych zadośćuczynienia.

Kardynał obrał dość przewidywalną i wygodną linię zeznań, mocno dla niego charakterystyczną. Przekonywał, że o sprawie nic nie wiedział, bo o „niegodnych zachowaniach" księdza Wodniaka usłyszał dopiero w 2022 r. Znał go, tak jak zna wszystkich duchownych w archidiecezji krakowskiej, ale nie miał z nim osobistych kontaktów. O współpracy Wodniaka z bezpieką dowiedział się dopiero teraz, tydzień przed składaniem zeznań. A w czasach, gdy Szymik był krzywdzony, on był sekretarzem papieża i nie interesował się tym, co działo się w diecezji.

DOKUMENTY | Przypomnijmy fakty. Janusz Szymik był wykorzystywany seksualnie przez ks. Jana Wodniaka w latach 1984-1989. Zgłaszał to już w 1993 i 2007 r. bp. Tadeuszowi Rakoczemu, ordynariuszowi bielsko-żywieckiemu. Bezskutecznie. Kard. Dziwisz mieszkał w Watykanie do 2005 r. Ale w 2012 r. – siedem lat po objęciu metropolii krakowskiej – otrzymał od ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego pi-

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Kard. Stanisław Dziwisz w Sądzie Okręgowym w Krakowie, 3 sierpnia 2026 r.

semną relację Szymika wraz z załącznikami i danymi kontaktowymi.

„Siedzieliśmy w jego gabinecie, on to przy mnie przeglądał, komentował niektóre sprawy i powiedział, że się tym zajmie" – relacjonował tamto spotkanie ks. Isakowicz-Zaleski.

W relacji opisanych zostało siedem spraw dotyczących księży archidiecezji krakowskiej, w tym ks. Wodniaka. Szymik opisywał mechanizm krzywdy oraz wcześniejsze zaniedbanie bp. Rakoczego. Sprawa jednak nie miała dalszego ciągu, a ks. Wodniak pozostał proboszczem, w Międzybrodziu Bialskim aż do 2014 roku.

Gdy historia Szymika trafiła do mediów (w 2020 r.), kard. Dziwisz wydał oświadczenie, że nie pamięta, by otrzymał jakiekolwiek dokumenty, a w telewizyjnym wywiadzie przekonywał, że nie przypomina sobie w ogóle takiej rozmowy z Isakowiczem-Zaleskim. Mówił: „Chcą przerzucić na mnie odpowiedzialność, ale ja tej odpowiedzialności nie miałem".

Ksiądz Isakowicz-Zaleski zmarł w styczniu 2024 r., nie może więc złożyć zeznań w sądzie. Ale w archiwum kurii metropolitalnej w Krakowie znajduje się list, który wręczył kardynałowi. Dokumenty, w przeciwieństwie do kardynałów, nie miewają problemów z pamięcią.

List dowodzi, że choć kard. Dziwisz rzeczywiście mógł nie wiedzieć o czynach ks. Wodniaka (był wtedy w Watykanie), to jednak później, jako metropolita krakowski, zignorował konkretne, udokumentowane zgłoszenie.

PRZEPISY | Blisko sześć lat po tamtym oświadczeniu kardynał trzyma się swojej wersji i odrzuca zarzut świadomego ignorowania problemu. Swoją niewiedzę tłumaczy latami spędzonymi w Rzymie i „całkowitym poświęceniem sprawom Stolicy Apostolskiej" – jakby to dawało mu immunitet na resztę życia.

Czego może się obawiać? Nie jest w tej sprawie oskarżonym, tylko świadkiem. W razie wygranej Szymika problem z wypłatą odszkodowania będzie miał obecny metropolita, kard. Grzegorz Ryś. Dziwisza w żaden sposób to już nie dotknie.

A czy może jeszcze zostać ukarany przez własną instytucję? *Motu proprio* „Vos estis lux mundi", wprowadzające procedury rozliczania biskupów za zaniechania wobec nadużyć, weszło w życie 1 czerwca 2019 r., czyli trzy lata po tym, jak Dziwisz przestał być metropolitą, i siedem lat po wizycie Isakowicza-Zaleskiego w jego gabinecie.

Można zakładać, że broni go zasada, iż prawo nie działa wstecz. Choć warto zwrócić uwagę, że artykuł 6 VELM mówi o odpowiedzialności przełożonego za zaniechania popełnione „durante munere": w trakcie sprawowania urzędu. Co może – zdaniem niektórych kanonistów – wskazywać na retroaktywność przepisu.

Mechanizm rozliczania z 2019 r. mógłby wtedy sięgać wstecz, a biskup byłby rozliczany nie z tego, czego się dowiedział po wejściu w życie przepisów, ale również z tego, co wiedział, gdy przepisy wchodziły w życie, i nie dokonał zgłoszenia nadużyć.

Choć tu znów kardynał Dziwisz zdaje się wymykać przepisom: w 2019 r., kiedy te zaczynały obowiązywać, był już na emeryturze. Może dlatego dwa lata później, gdy Watykan badał podnoszone przeciwko Dziwiszowi zarzuty, nie stwierdzono żadnych formalnych uchybień.

Wydawało się, że sprawa pogrzebana już została w archiwach. Tymczasem wróciła rykoszetem, z żądaniem gigantycznego odszkodowania.

IMMUNITET | Kardynał Dziwisz całą swoją życiową i kościelną pozycję zbudował na jednym fundamencie: byciu najbliższym, najwierniejszym świadkiem świętości Jana Pawła II. To on przez dekady był głównym kustoszem pamięci o papieżu, to on wyznaczał granice w jego procesie beatyfikacyjnym, to on otwierał proces beatyfikacyjny rodziców Karola Wojtyły w Wadowicach, to on w kolejnych wywiadach powtarzał, że „prawda o Janie Pawle II się obroni" i że nie wolno patrzeć obojętnie na „opluwanie proroka naszych czasów".

Pracując nad wyniesieniem Jana Pawła na ołtarze, przy okazji również dla siebie budował piedestał, z którego nikt go nie ściągnie. Teraz każde pytanie o jego własną odpowiedzialność jako metropolity zderza się więc z czymś potężniejszym niż on sam: kultem świętego papieża. Dlatego tak długo, jak on dla siebie i dla innych będzie personifikacją świętości Jana Pawła II, każda najmniejsza nawet próba rozliczenia go z rządów w krakowskiej kurii oznaczać będzie zderzenie z żywym pomnikiem.

Być może tak intensywne zaangażowanie kardynała w promowanie kultu Jana Pawła II wynikało z jego szczerej wiary, miłości i doświadczenia wielkości papieża. Nie mamy żadnych narzędzi, by to kwestionować. Jednocześnie jednak stało się dla kardynała sposobem na zbudowanie własnej nienaruszalności. Można tylko nieśmiało pytać, jak długo jeszcze funkcja najwierniejszego świadka świętości będzie chronić kardynała skuteczniej niż jakikolwiek immunitet prawny? Czy Kościół w Polsce zdobędzie się na odwagę, by oddzielić kult papieża od bezkrytycznego kultu jego otoczenia?

Pomniki, w odróżnieniu od ludzi, nie składają zeznań. I chyba właśnie o to kardynałowi chodziło. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Nie tylko bogowie

Z NAZWANIEM TAKIEGO ZJAWISKA, JAKIM jest moment, gdy człowiek, zwierzę, roślina znika nam z oczu, mamy kłopot. Mówimy umarł, odszedł, padł, zdechł, wyzionął ducha, usechł, zasnął, skonał, zginął, zgasł itp. Ludzie religijni mówią, że poszedł do nieba, do domu Ojca. Tak czy inaczej zmarłych albo unicestwiamy, albo odsyłamy w zaświaty, skąd patrzą na nas częściej wrogo niż przyjaźnie. Te czasy, gdy życie pozagrobowe przedkładano nad doczesne, właśnie odchodzą w niepamięć. A szkoda. Pomyślmy tylko, czego w szczególnie szczęśliwych chwilach życia sobie i innym przede wszystkim życzymy? Spełnienia, choć wiemy, że to niemożliwe, najskrytszych marzeń.

O tym właśnie jest uroczystość Matki Boskiej Zielnej. Tu wszystkie wiary odnajdują wspólny mianownik, choć wcale z tego nie wynika, że Bóg staje się Zeusem, a Maryja Ładą lub odwrotnie. Chrześcijanie np. proponują takie rozwiązanie tej kwestii. Anioł Ślązak: „Jak Bóg ja jestem wielki, On mały jest jak ja: / Nie może On nade mną, ja być pod Nim wszak". A Jan Lechoń, w wierszu o jasnogórskiej ikonie, dopowiada:

„Która perły masz od królów, złoto od rycerzy,W którą wierzy nawet taki, który w nic nie wierzy, Która widzisz z nas każdego cudnymi oczami, Matko Boska Częstochowska, zmiłuj się nad nami".

Jeśli o coś błogosławioną, czyli najszczęśliwszą z kobiet, Matkę Jezusa wypada dzisiaj prosić, to o takie cudne oczy, które widzą, że tam, gdzie ślamazarzy się śmierć, szaleje życie, które należy chronić, jak zrzeszone w sieci Talitha Kum zakonnice i wolontariusze w Jesuit Refugee Service, czy w fundacji Haart Poland. Podejmując się działań, które inni uważają za bezsensowne, z jednej strony budzą sumienia „dobrze się mających" i umacniają „weselących się z weselącymi [i] płaczących z płaczącymi". To oni, strąconych przez nas do piekła, przenoszą do nieba, niechby tylko wielkości tabletki czy miski ryżu. Tak dogmat, wywiedziony z apokryfów i marzenia o świecie, którego wciąż nie ma, a być powinien, z gorzkiej świadomości, że wciąż rujnujemy dom Boży, jakim jest ziemia, pozwala wierzyć, że jednak nadzieja jest matką mądrych, i że nie tylko bogowie nie umierają, ale ludzie też. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Cena krzyża

„UCZNIOWIE-MISJONARZE" – TAKIE BYŁO hasło 46. Pieszej Pielgrzymki Krakowskiej (6-11 sierpnia b.r.). Drugiego dnia wędrowania Liturgia skonfrontowała nas z bardzo trudnym wymiarem uczniostwa. Jezus mówił: „Jeśli ktoś chce pójść za Mną, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje. Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je" (zob. Mt 16, 24-25).

„Trudna jest ta mowa" – zdecydowanie pod prąd głównego nurtu współczesnej cywilizacji, który dla krzyża nie ma zrozumienia i go nie akceptuje. I nie chodzi tu o „Krzyż" w znaczeniu konfesyjnym. Ale o wszystkie ludzkie sytuacje, które skłonni jesteśmy w ten sposób określać: choroba, starość, cierpienie, odrzucenie, krzywda, niesprawiedliwość, każdy rodzaj kryzysu i ograniczenia. Interpretujemy je jako „defekt, który należy skorygować" (Leon XIV, „Magnifica Humanitas", 118). Robimy wszystko, by tak pojęty „krzyż" wyeliminować z naszego życia. Z krzyżem – myślimy – nie da się „chodzić"! Wielu ludzi, zgorszonych krzyżem, porzuciło drogi Jezusa... Czy nie lepiej zostawić krzyż przy drodze i bez tego bezsensownego ciężaru ruszyć za Jezusem?

Z pewnością naszym obowiązkiem jest usuwać cierpienie w życiu własnym, bliskich i świata w ogóle. Z drugiej strony nie jest tak – o czym mówi papież Leon w swojej pierwszej encyklice – że nasze człowieczeństwo rozwija się, gdy nie mamy ograniczeń. Bardzo często rozwija się nie pomimo, ale poprzez ograniczenie. Zderzając się z ograniczonością, odnajdujemy w sobie takie postawy, jak „współczucie, szczera troska o potrzeby innych, wielkoduszność, która potrafi zaskoczyć nawet pośród mroku i porażki, doświadczenie duchowe i adoracja Boga" (MH, 119). Człowiek okazuje się (w łasce Boga) zdolny przekroczyć samego siebie i wtedy „ocala go nie wzmocniona samowystarczalność, lecz relacja, która wyzwala i komunia, która przemienia" (MH, 128).

To mocna lekcja uczniostwa, dana nam także po to, by stać się jej misjonarzem. Nie przez łatwe o niej gadanie – raczej przez niekoniecznie łatwe czyny. Ci, którzy ją przyjęli, budują cywilizację miłości i miasto święte (Jeruzalem). Ci, którzy ją odrzucają – w imię po swojemu rozumianego humanizmu – budują wieżę Babel oraz cywilizację siły i przemocy. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ZUZANNA

Radzik: *Maria jak malowana*

Zawsze konwencjonalnie ładna, gładka, bez zmarszczki. Zero siwizny. Taka właśnie usypia lub zostaje wzięta do nieba na rzeźbach i obrazach Maria z Nazaretu. Nieskalana nie tylko seksualnością, ale i wiekiem – jakby ubliżało Bogurodzicę pokazać starą, niedołężną, ciut schorowaną. Czyżby ręką tych twórców kierował powszechny do dziś w kulturze strach przed staruchą, strach przed mądrością wiedźmy, czyli tej starej baby, która swoje wie, bo ma doświadczenie i co trzeba, widziała w życiu?

Zatem wniebowzięta według artystów jest młoda, krzepka kobieta. Aż ciężko stwierdzić, czemu odchodzi z tego świata. Raczej ma funkcję dekoracyjną, ładnie się komponuje, osuwa, usypia, spokojna i nieludzka.

To stały kłopot z Marią z Nazaretu, że niby ma być początkiem odkupionej ludzkości, matką wiary (niczym ojcem wiary jest Abraham dla Pierwszego Testamentu). Ale z drugiej strony ciągle robimy z niej ładniutką dziewczynę, bez większego wyrazu. Może dlatego chmurna Czarna Madonna z Częstochowy, do której w tych dniach wędrują dziesiątki tysięcy polskich katolików, tak przyciąga. Nie jest aż tak ckliwa. Wygląda, jakby znała życie.

Kalkuluję w głowie. Bardzo młoda w momencie zajścia w ciążę dziewczyna, musiała mieć w chwili śmierci syna czterdzieści parę lat. Była więc troszkę starsza ode mnie. No, taka przed pięćdziesiątką, jak wiele moich przyjaciółek i kumpeli. Na nas wszystkich widać już upływ czasu. Ściga nas i zmienia w tej dekadzie życia.

A w końcu Maria kończy życie wniebowzięta wiele lat później, zatem czas powinien był wyryć na jej twarzy swoje ślady, przyprószyć bielą włosy, zgiąć nieco ciało. W końcu jej życie nie było proste, raczej pełne fizycznej, domowej pracy, która wykręca palce. I palącego słońca, właściwego miejscu, w którym żyła. Nakładam w myślach te ślady czasu i życia, codzienności i troski o bliskich, na jej nieskalane postacie z obrazów, ale właściwie bez sensu, trzeba by namalować to wszystko od nowa.

A jeśli już malować od nowa, to może sięgnąć po te najwcześniejsze wizerunki. Te z czasu, zanim stała się w ikonografii skromną, pokorną dziewczyną. Wcześniej bowiem pokazywano ją jako przywódczynię i prowadzącą modlitwy orantkę ze wzniesionymi dłońmi, w geście znanym nam z przewodniczenia liturgii. Myślicie, że te lata do swojego odejścia spędziła w czymś na kształt domu starców, a nie w sercu wspólnoty, opowiadając o Tym, którego znała najdłużej, uczestnicząc, formując, modląc się, prowadząc modlitwy, mając autorytet Matki Pana?

Wybaczcie, ale nawet w tamtych czasach i po życiu pełnym trudu kobieta przed pięćdziesiątką nie była jeszcze niedołężną staruszką. Widzę ją raczej, jak objaśnia, naucza. Wiedziona wiarą, latami bycia z Synem i religijną intuicją, która kazała jej w czasie objawienia powiedzieć Bogu radosne i pełne nadziei: tak! Wiem, to kontrowersyjna wizja dalszego życia Maryi, zwłaszcza dla tych, których bolałby diakonat kobiet, czy (co ostatnio znów odrzucił Watykan) kobieta mówiąca kazanie.

Tylko czy to nie życie zmyślone? Fakt, o Maryi w ogóle wiemy niewiele z Biblii. Reszta to tradycja, a ta niestety zapisała też to, co służyło wyrugowaniu kobiecego przywództwa i równości, tak charakterystycznych dla pierwszych chrześcijan. Co działo się po krzyżu i zmartwychwstaniu, to już w zasadzie pobożne domysły. Cóż, może wobec tego mogę się domyślać po swojemu. A poza tym, jest sporo przesłanek, żeby domyśleć sobie dalsze życie Maryi jako liderki pierwszego Kościoła. Sięgam więc po książkę Ally Kateusz „Mary and Early Christian Women: Hidden Leadership", bo ona ślady tej alternatywnej opowieści skrupulatnie zgromadziła.

Jest taki wizerunek Marii z katakumb z IV w., oddany w złocie, ona wyprostowana, wznosząca w modlitwie ręce. Żadnej nieśmiałości, raczej pewność siebie. Albo Maria z apokryficznej Ewangelii Bartłomieja, w której zgromadzeni w wieczerniku apostołowie debatują, kto powinien prowadzić wspólne modlitwy i uczniowie w końcu uznają, że ona jest najbardziej godna, bo to w niej Pan założył swoje tabernakulum, to ona była matką niebiańskiego Króla i dlatego ma większe prawo prowadzić ich w modlitwie. Na licznych mozaikach, marmurowych płytach Maria w pierwszych wiekach jest przedstawiana właśnie tak: jako przewodnicząca modlitwom, w szatach liturgicznych, z kielichem, z biskupim paliuszem. Z kolei w manuskrypcie syryjskim z V w., opowiadającym o zaśnięciu Marii, jest przedstawiona jako prowadząca modlitwy i wspólnotę, głosząca ewangelię, uzdrawiająca nałożeniem rąk i rozsyłająca apostołki.

Tak, to wszystko też jest tradycja chrześcijańska. Ta, która przegrała z patriarchatem. Warto przypomnieć, że istniała. Warto, bo malując Marię z Nazaretu od nowa, nie będziemy wyważać otwartych dni. Raczej czerpać z samych początków. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

HISTORIA

KONOPNICKĄ W BISMARCKA

Żaden Niemiec nie ma więcej upamiętnień niż Otto von Bismarck. Po 1945 r. wiele z nich znalazło się w granicach Polski. Ich losy były różne. Czasem zabawne.

WALDEMAR ŁAZUGA

Historia Niemiec obfituje w herosów. Jednak ani Goethe, Schiller, Bach czy Wagner, ani któryś z władców Świętego Cesarstwa Narodu Niemieckiego, ani żaden z filozofów, Kant czy Hegel – nikt nie ma więcej pomników i rozmaitych upamiętnień w Niemczech niż on: Otto von Bismarck (1815-1898), pierwszy kanclerz II Rzeszy, jedna z najczarniejszych postaci w historii Polski.

Jest ich na pewno ponad pół tysiąca, a prawdopodobnie blisko siedmiuset. Nie licząc setek wież jego imienia, o tablicach i popiersiach już nie mówiąc.

ŚLADAMI POMNIKÓW | Największy posąg Bismarcka odsłonięto w 1906 r. w Hamburgu. Stoi do dziś. Razem z cokołem mierzy 34,3 metra i waży 625 ton. Z kolei jedna z najwyższych poświęconych mu wież jest w Akwizgranie: ma ok. 27 metrów i formę litery „B".

Najokazalszy posąg Bismarcka w granicach obecnej Polski odsłonięto w 1903 r. w Poznaniu. W sumie było ich ok. 50 (m.in. we Wrocławiu, Opolu, Legnicy, Zielonej Górze, Słupsku, Kołobrzegu, Elblągu czy niewielkim Miastku). Wszystkie po 1945 r. uległy likwidacji.

Inaczej było z wieżami – mniej kłującymi w oczy i nie zawsze kojarzonymi z Bismarckiem. Przetrwało ich 17 – większość zbudowano na początku XX w. (jedną, w Janówku k. Strzelina, jeszcze za życia Bismarcka w 1869 r.; dziś to rarytas). Największa stoi w Szczecinie: zaprojektowana na wzór mauzoleum Teodoryka w Rawennie (i w swojej formie najmniej kojarzona z pozostałymi wieżami).

HAMBURG I POZNAŃ | W Hamburgu mamy Bismarcka w pozie średniowiecznego strażnika z odsłoniętą głową, wspartego na olbrzymim mieczu skierowanym ku ziemi. W Poznaniu Bismarcka w pikielhaubie, w mundurze kirasjerów, z lewą ręką opartą na rękojeści pałasza, gdy prawa dzierży mapę prowincji pruskiej.

Postać w pozie wojownika (choć niewiele z wojskiem miał wspólnego). Tu i tam dodano mu marsowe rysy, podkreślające jego zdecydowanie. Tyle że co innego to w obu przypadkach znaczy.

Wieża Bismarcka w Szczecinie, największa w Polsce, została zaprojektowana na wzór mauzoleum Teodoryka w Rawennie, wrzesień 2025 r.

CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

W Hamburgu to wyraz dumy, w Poznaniu pogróżka czy przestroga. W Hamburgu jest darem od rodaków dla bohatera, który krwią i żelazem przezwyciężył wielowiekowe rozbicie i doprowadził kraj do potęgi. W Poznaniu – symbolem przemocy wobec Polaków i pruską pieczęcią, przybitą w sercu jednego z najstarszych polskich miast (wczesnego ośrodka polskiej władzy, Kościoła i państwa).

WOBEC POLAKÓW | Poznański Bismarck stanął w czasie gwałtownego zaostrzenia stosunków polsko-niemieckich, wywołanego strajkiem szkolnym dzieci z Wrześni, które sprzeciwiły się germanizacji (lata 1901-1902). Na wielkim placu budowy, zwanym Placem Bismarcka, między zamkiem cesarskim, gmachem niemieckiego teatru i Akademią Królewską (dziś Collegium Minus UAM). Prawa dłoń postaci na pomniku nie pozostawiała złudzeń, jakie było przesłanie.

Toteż po polskiej stronie mówiono o nim jak najgorzej, choć nieraz przyznawano, że to „najbystrzejszy polityk swego stulecia", nawet geniusz, jakkolwiek „zdziczały". Zdarzało się, że porównywano do niego polityków polskich działających w Austrii, zafascynowanych jakoby „twardą ręką". Jednocześnie do dziś przeważa pogląd, że ucisk Polaków leżał w centrum polityki Bismarcka, że z premedytacją nas poniżał, nienawidził, tępił, wymyślił przeciw nam Kulturkampf, represjonował i pozbawiał ziemi.

Dlatego informacje, że mówił trochę po polsku i w listach do żony i siostry wplatał „czarna kotko" czy „malinko", przyjmowane są ze zdziwieniem. A nawet niedowierzaniem (bo niepodobna wyobrazić sobie Adolfa Hitlera, mówiącego podobne rzeczy do Ewy Braun!). Nawet jego przyrodnicze zainteresowania, miłość do zwierząt i autentyczny talent literacki, objawiony najpełniej we wspomnieniach, jakoś tutaj nie pasują do obrazu.

ANTY-BISMARCK | Jeśli w wieku XIX cała Wielkopolska głosowała przeciw Bismarckowi, to warto byłoby wiedzieć, kogo wybierała i komu ufała?

Otóż Wielkopolanie mieli po niemieckiej stronie bohaterów i sojuszników, a największego przeciwnika Bismarcka, Ludwiga Windhorsta (szefa katolickiej Partii Centrum, poprzedniczki powojennych CDU/CSU), wręcz nosili na rękach.

Do Windhorsta pielgrzymowały polskie panie z arystokracji, darowując mu kwiaty, wizerunki Matki Boskiej i inne pamiątki przywiezione z Częstochowy. Gdy umarł w 1891 r., w kilku poznańskich kościołach ogłoszono żałobę.

Z POMORSKIEJ ZIEMI | Drugi z przeciwników Bismarcka pochodził z Pomorza, był ateistą i na bohatera nadawał się mniej. Nazywał się Rudolf Virchow. Był noblistą, lekarzem, anatomopatologiem i w ogóle człowiekiem renesansu. To on wymyślił termin Kulturkampf (przypisywany Bismarckowi) na określenie walki, którą po Bismarcku należy dopiero stoczyć o prawdziwe zjednoczenie Niemiec – to w sferze kultury i ducha.

Virchowowi nie podobało się prusaczenie państw niemieckich o różnej tradycji, sprowadzanie zjednoczenia do zmian w administracji. Marzył o nowej ogólnoniemieckiej kulturze – nie katolickiej i nie protestanckiej, lecz „syntetycznej", świeckiej. Był przekonany, że jest możliwa. Przywiązany do pomorskich korzeni (twierdził, że jego nazwisko pierwotnie brzmiało: Wiercho), mówił po polsku i w tym języku rozmawiał w Berlinie z polskimi studentami medycyny.

Niektórzy zwolennicy Virchowa twierdzili, że ówczesne Niemcy to pojęcie raczej geograficzne niż polityczne – że niewiele wspólnego mają niemiecki wschód z niemieckim zachodem, a jeszcze mniej północ Niemiec z niemieckim południem.

JEZUS ZA KANCLERZA | Nie wiadomo, czy rozumiano Virchowa, ale były głosy dla nas jeszcze istotniejsze: że to Bismarcka w zasadzie nigdy, za życia i po śmierci, nie zrozumieli Niemcy. Po zjednoczeniu w 1871 r. go wielbili, pod koniec życia ich irytował, po śmierci zaczęto otaczać go kultem. Choć był cywilem (i na cesarza Wilhelma II śmiertelnie się obraził), to potomni, uwiedzeni wyobrażeniem jego siły, przypinali mu na pomnikach pałasze.

Polacy z Bismarckiem mieli inny kłopot. Chcieli przede wszystkim raz na zawsze wymazać go z ojczystego krajobrazu. W 1919 r. zdjęto go z cokołu w Poznaniu, a pozyskany tak budulec użyto, stawiając niemal w tym samym miejscu Pomnik Najświętszego Serca Jezusowego (zwany Pomnikiem Wdzięczności).

Ciekawe, że po 1945 r. na tzw. Ziemiach Odzyskanych, w Miastku (dziś ↦

KAROL MAKURAT / REPORTER

Wieża Bismarcka w Szczecinku była świadkiem wielu imprez. Od 2012 r. odbywa się przy niej festiwal muzyki rockowej i metalowej – MateriaFest, 23 sierpnia 2023 r.

↦ w woj. pomorskim), ta historia niemal się powtórzyła. Jak informuje lokalny przewodnik, „miejsce na tyłach kościoła obecnie zajmowane przez figurę Jezusa niegdyś zajmował pomnik Bismarcka".

„DOSTRZEGALNIA" | Z kolei z wieżami, które niekoniecznie kojarzyły się z Bismarckiem, radzono sobie w rozmaity sposób. Tę w Złotowie wysadzono. Na wieży w Lęborku (będącej zarazem wieżą ciśnień) zainstalowano nadajnik (imienia komunisty Mariana Buczka), służący do zakłócania audycji zachodnich stacji radiowych, a park dokoła nazwano imieniem Bolesława Chrobrego.

Podobny nadajnik – choć nie jest to całkiem pewne – zainstalowano na wieży koło Zielonej Góry. W Szczecinku, dla odmiany, wieży nadano imię Przemysła II (króla Polski, koronowanego w 1295 r.); jego imię nosiło też okalające wieżę wzgórze. W Świdwinie od razu uznano, że wieża to po prostu „dostrzegalnia", strażacki punkt obserwacyjny, choć strażaka po wojnie nikt tam chyba nie widział.

Urodzony w Świdwinie, na tej jednej wieży byłem kilka razy, grubo ponad pół wieku temu. Krętymi schodkami docierało się do czterech balkonów, po każdej stronie świata. Stamtąd osobnymi schodkami kierowało się do misy ogniowej, umocowanej na zwieńczeniu wieży.

ROCK POD WIEŻĄ | Symbolikę tych wież niełatwo jest objaśnić. Kamienie węgielne pod nie kładziono zwykle 1 kwietnia, w dniu urodzin Bismarcka. Większość wież stanowiły pierwotnie tzw. wieże ogniowe: kilka razy w roku, o tej samej wieczornej porze, płonęły ogniem. Obowiązkowo w dniu urodzin Bismarcka, a z czasem także podczas przesilenia letniego, najkrótszej nocy w roku (co było nawiązaniem do mitów starogermańskich i wywoływało protesty organizacji katolickich).

Wieże były pomnikiem wdzięczności dla Bismarcka i apoteozą zjednoczonych Niemiec. Podczas uroczystości państwowych na wieży lub u jej stóp powiewała flaga Cesarstwa Niemieckiego (czarno-biało-czerwona), Królestwa Prus (czarno-biało-czarna), a nieraz także flagi lokalnych stowarzyszeń. U stóp wież wygłaszano mowy, śpiewano pieśni patriotyczne, a także bawiono się i tańczono.

Po 1945 r., w pojałtańskiej Polsce, ze wszystkich tych obrzędów tu i tam przetrwały letnie tańce – także w Świdwinie. W Szczecinku wieża, stojąca nad jeziorem, była świadkiem rozmaitych imprez. Od 2012 r. na scenie poniżej wieży odbywa się (zwykle w sierpniu) festiwal muzyki rockowej i metalowej – MateriaFest, przyciągający tysiące widzów.

PAŁAC W WARCINIE | Ostatecznie prawdziwym problemem okazały się nie wieże, lecz zabytek wyjątkowej klasy – na obrzeżu Kaszub, w Warcinie niedaleko Miastka, w starym lesie. Mowa o ulubionym pałacu Bismarcka, jedynym zachowanym w pierwotnym stanie z trzech, które posiadał, i w których się zaszywał, gdy znikał niespodzianie z Berlina. Stąd pisał długie listy z cudnymi opisami tutejszej przyrody. Tu leczył się z bezsenności.

Od 1946 r. pałac jest siedzibą Technikum Leśnego im. prof. Stanisława Sokołowskiego, wybitnego leśnika. To zapewne uchroniło go przed dewastacją lub rozbiórką. W pobliżu, na wzniesieniu nad stawem, znajduje się cmentarz ulubionych psów Bismarcka. Niemal pod pałacowym oknem, w cieniu starego drzewa, spoczywa zaś „Motyl", jego ukochany koń.

W Warcinie Bismarck spędził swoje ostatnie lata. Tu zmarła jego żona Johanna (i tu przez kilka lat była pochowana). Tu też, na dzisiejszym podwórzu szkolnym, w 1894 r. Bismarck przyjął liczącą ponad półtora tysiąca osób pielgrzymkę Niemców z Wielkopolski (od czterech lat nie był już kanclerzem).

Tak rodziła się Hakata: towarzystwa popierania niemczyzny na „ziemiach wschodnich" (*Ostmarken*). Nad Wartą bowiem kolonizacja utknęła. Chłopi niemieccy pozbywali się ziemi, uciekali ze wschodu do fabryk na zachodzie. Na spotkaniu z delegacją Bismarck nawoływał, by ich zatrzymywać, by brać przykład z ziemian polskich, społecznie solidarnych. Odnotowano, że perorując długo, skarżył się też, że w Warcinie można kupić pamiątki z jego podobizną, „wszystkie wielkiej brzydoty".

Ostatecznie do Hakaty wstąpiła w Wielkopolsce jedna piąta niemieckich ziemian. O sukcesie trudno było mówić.

MARIA VS JOHANNA | Dosyć późno, bo dopiero za Edwarda Gierka, w latach 70. XX w., gdy ruch turystyczny w Polsce się nasilił, władze PRL uznały, że niemczyzny jest w Warcinie za dużo i na terenie parku umieściły pomnik... Marii Konopnickiej, pisarki i autorki słów „Roty" z 1908 r. („Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród").

Komuniści nie mogli przypuszczać, że za kilkanaście lat świat się zmieni, granice się otworzą, a do Warcina zaczną ciągnąć wycieczki Niemców – kuracjuszy z pobliskiego Kołobrzegu i Mielna, zainteresowanych pałacem najsłynniejszego Niemca.

I że Marię Konopnicką wezmą za Johannę Friederikę von Bismarck, zmarłą w tym pałacu 27 listopada 1894 r. żonę „żelaznego kanclerza" i matkę jego trojga dzieci. I tak to trwa do dziś.

© WALDEMAR ŁAZUGA

Autor jest dyrektorem Stacji Naukowej PAU w Poznaniu.

TYGODNIK POWSZECHNY

ZIEMIE ODZYSKIWANE

ZASIEDLENIE ▪ ZAKORZENIENIE ▪ OSWOJENIE

Droga od powojennej tymczasowości do dojrzałego zakorzenienia.

Poznaj niezwykłe losy mieszkańców Ziem Zachodnich i Północnych.

„Tego się nie da wymówić" – przeczytaj ten i inne teksty w nowym wydaniu specjalnym.

Ćwiek-Rogalska, Drenda, Kuszyk, Łazuga, Napiórkowski, Rokita, Springer, Tokarczuk...

Nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" znajdziesz w kioskach, salonach prasowych i online.

Zeskanuj kod i zamów swój egzemplarz

TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NAUKA

MIĘDZY NAMI KANIBALAMI

Dlaczego zachowanie rozpowszechnione w przyrodzie i wielokrotnie pojawiające się w historii człowieka zostało objęte tak silnym tabu?

KASPER KALINOWSKI

9 marca 1945 r., o godz. 9 rano dowódca japońskiego batalionu, major Matoba, który dostał się później do amerykańskiej niewoli, wydał rozporządzenie w sprawie konsumpcji mięsa lotników amerykańskich. W notatce, która się zachowała, możemy przeczytać m.in.:

„Batalion życzy sobie zjeść mięso lotnika amerykańskiego, podporucznika Halla. Racjonowanie mięsa nadzorować będzie porucznik Kanamuri. Przy egzekucji obecny będzie kadet Sakabe (Korpus Medyczny), który ma usunąć wątrobę i woreczek żółciowy".

W niewoli Matoba opowiedział jeszcze kilka szczegółów „Poleciłem chirurgowi Terakiemu, żeby się pospieszył i szybko wyciął wątrobę, ponieważ miałem zamiar zanieść ją do kwatery głównej Admirała. [...] Pokroiłem wątrobę na plastry [...] później zjedliśmy ją wszyscy podczas przyjęcia".

Złamał tym samym jedno z kilku ostatnich tabu kulturowych istniejących niezależnie od szerokości geograficznej – spożywanie ciał innych ludzi.

Kanibalizm pojawiał się w najróżniejszych epokach i społeczeństwach, a mimo to niemal wszędzie był objęty wyjątkowo silnym zakazem. Dlaczego większość kultur reaguje na nie odrazą i tłumi zachowanie, które w toku ewolucji mogło dostarczać kalorii?

Jak rozpoznać ludożercę

Odkrywanie śladów ludzkiego kanibalizmu przez archeologów i antropologów przypomina policyjne śledztwo. Podstawowy problem to odróżnienie kanibalizmu od śladów drapieżników czy praktyk pogrzebowych, które również mogły wiązać się z usuwaniem tkanek miękkich.

Pierwszym tropem są ślady nacięć. W lokalizacjach, w których dochodziło do kanibalizmu, częstotliwość występowania nacięć na kościach jest bardzo wysoka. Według niektórych szacunków przekracza 65 proc. znalezionych okazów. W przypadku pochówków nacięcia na kościach występują natomiast niezwykle rzadko.

Dla rozpoznania kanibalizmu ważne są również dowody na rozbijanie świeżych kości – w celu pozyskania szpiku – oraz ślady pozostawione przez zęby, czego również nie spotkamy przy zwyczajnych pochówkach.

Kanibalizm staje się jeszcze bardziej prawdopodobny, gdy uszkodzenia kości ludzkich (np. nacięcia, miażdżenie dla szpiku, ślady gotowania) przypominają ślady pozostawione na zwierzęcych kościach poddanych obróbce w tym samym miejscu.

Najbardziej wymownym dowodem nie muszą być jednak kości. W 2000 r. Richard Marlar i współpracownicy opisali w „Nature" ludzki koprolit (czyli skamieniałe odchody) znaleziony na jednym ze stanowisk w stanie Kolorado, pochodzący z połowy XII w., zawierający ludzką mioglobinę. To białko występuje w tkance mięśniowej i nie pojawia się w odchodach naturalnie – chyba że zostało spożyte.

Jak podsumowują Daniel Diehl i Mark P. Donnelly w książce „Dzieje kanibalizmu": „Nie ulega wątpliwości, że jako gatunek zostalibyśmy uznani za winnych zbrodni ludożerstwa".

Nie ulega również wątpliwości, że ludzki kanibalizm jest starszy niż *Homo sapiens*.

Kanibalizm od kolebki

W sercu Kenii, na terenach stanowiska Koobi Fora, badacze natrafili na dowody, które z czasem zmieniły postrzeganie życia wczesnych homininów. Była to niepozorna kość piszczelowa hominina o nieznanej przynależności gatunkowej, datowana na ok. 1,5 mln lat i odnaleziona

INCAMERASTOCK / ALAMY / BE&W

Peter Paul Rubens, „Saturn pożerający syna", 1636-1638 r., Muzeum Prado w Madrycie

w 1970 r. przez legendarną badaczkę Mary Leakey.

Kość przeleżała w muzealnym magazynie niemal pół wieku – aż w 2017 r. Briana Pobiner, prowadząc badania nad śladami żerowania drapieżników na wczesnych przodkach człowieka, dostrzegła na jej powierzchni coś nietypowego: serię regularnych, liniowych nacięć. Najwyraźniej inny hominin posłużył się kamiennym narzędziem w celu oddzielenia mięśni od kości.

Zaawansowana analiza, uwzględniająca porównanie z setkami nacięć pozostawionych na innych kościach, potwierdziła, że 9 z 11 śladów na tej kości piszczelowej powstało podczas obrabiania jej kamiennymi narzędziami.

To jak dotąd najstarsza znana kość istoty należącej do naszej linii ewolucyjnej, na której znaleziono ślady nacięć sugerujące ludożerstwo. Nie jest to jednak materiał, który mógłby posłużyć za dowód w sądzie.

Za taki pierwszy bezsporny przykład intencjonalnego kanibalizmu uchodzi znalezisko z hiszpańskich wzgórz Sierra de Atapuerca, ze stanowiska znanego pod nazwą Gran Dolina. Dowodów ludożerstwa doszukano się w warstwie osadowej liczącej ok. 850 tys. lat.

Ofiarami tego procederu padli przedstawiciele gatunku *Homo antecessor*, znanego wyłącznie z tego regionu, a sprawcami byli ich pobratymcy. Ślady nacięć na kościach świadczą o skórowaniu i oddzielaniu mięśni od kości. Najnowsze analizy wskazują, że ciała homininów były poddawane obróbce podobnej do tej, które stosowano wobec upolowanych zwierząt. W ciągu ostatnich miesięcy z osadów Gran Dolina wydobyto ponad dwadzieścia kolejnych ludzkich kości z nacięciami, co jeszcze silniej potwierdza praktyki kanibalistyczne.

Natrafiono również na ślady rozbijania kości w celu wydobycia szpiku. Brak dowodów na specjalne traktowanie ciał ludzkich czy celowe rozmieszczenie kości sugeruje, że nie był to kanibalizm rytualny.

To skądinąd kolejny problem, przed jakim stają antropolodzy i archeolodzy – ↦

↦ zidentyfikowanie przyczyn kanibalizmu i odróżnienie tego wynikającego z głodu od mającego inne podłoże kanibalizmu wojennego, pogrzebowego czy związanego z praktykami rytualnymi.

Także u neandertalczyków, którzy pojawili się w Europie kilkaset tysięcy lat po *Homo antecessor*, stwierdzono kanibalizm. Np. w hiszpańskiej jaskini El Sidron znaleziono szczątki trzynastu osobników, których 10 proc. kości nosiło ślady nacięć. Jeszcze bardziej uderzające dowody pochodzą z francuskiego Moula-Guercy – aż 50 proc. okazów zachowało ślady nacięć. Ciała tamtejszych neandertalczyków poddano niemal identycznej obróbce jak ciała upolowanych jeleni.

Wbrew obiegowej opinii kanibalizm nie był jednak powszechną praktyką w świecie neandertalskim. Tylko ok. 1 proc. stanowisk powiązanych z tymi ludźmi, których łącznie zbadano przeszło tysiąc, zawiera ślady świadczące o ludożerstwie. Dowody z obozowisk neandertalskich są często traktowane jako ślady kanibalizmu epizodycznego, związanego z okresami skrajnego niedoboru zasobów.

Puchary z czaszek

Jednym z najstarszych stanowisk przywoływanych w dyskusji o kanibalizmie wśród naszego gatunku – *Homo sapiens* – jest Klasies River w RPA. Na ślady nacięć natrafiono na kościach liczących ok. 110 tys. lat.

Podobnie jak w przypadku innych zachowań, kanibalizm *H. sapiens* był bardziej wyrafinowany niż u naszych dalszych przodków i bardziej odległych krewnych. Na znacznie młodszym stanowisku na Wyspach Brytyjskich (w jaskini Gougha) natrafiono w warstwie osadowej sprzed blisko 15 tys. lat na „puchary" wykonane z ludzkich czaszek – obrobiono je tak, by mogły służyć jako naczynia.

Poza tym ponad 40 proc. ludzkich szczątków z tej jaskini nosi ślady żucia, miażdżenia i charakterystycznych wgłębień pozostawionych przez ludzkie uzębienie. Aż jedna trzecia kości wykazuje uszkodzenia od uderzeń, co świadczy o systematycznym rozbijaniu ich w celu wydobycia szpiku kostnego.

Czy takie znaleziska świadczą o powszechności kanibalizmu? Zadałem to pytanie Michałowi Misiakowi, psychologowi i antropologowi z Uniwersytetu Wrocławskiego, współautorowi opublikowanego właśnie w czasopiśmie Amerykańskiej Akademii Nauki („PNAS") matematycznego modelu ewolucji kanibalizmu.

– Na pierwszy rzut oka liczba takich znalezisk może robić wrażenie, zwłaszcza gdy czytamy o rozłupywaniu czaszek czy wydobywaniu szpiku kostnego – przyznaje dr Misiak. – Trzeba jednak pamiętać o skali porównawczej. W materiale archeologicznym znaleziono ogromną liczbę szczątków ludzkich, a stanowisk dostarczających przekonujących dowodów kanibalizmu jest proporcjonalnie niewiele. Możemy więc powiedzieć, że kanibalizm wielokrotnie pojawiał się w historii człowieka, ale niekoniecznie był zachowaniem powszechnym – dodaje badacz.

– Nie powinniśmy też automatycznie utożsamiać go z agresją i okrucieństwem. Prawdopodobnie znaczna część społecznie akceptowanych praktyk kanibalistycznych miała charakter pogrzebowy. Członkowie wspólnoty spożywali wówczas ciała zmarłych bliskich nie po to, aby ich upokorzyć, lecz aby okazać im miłość i szacunek – kontynuuje dr Misiak.

Czy ludziną można się najeść

Obraz ludzkiego kanibalizmu komplikują badania Jamesa Cole'a, archeologa z Uniwersytetu w Brighton, które sugerują, że człowiek wcale nie jest tak pożywnym posiłkiem, jak mogłoby się wydawać.

Cole opracował pierwszy szczegółowy szablon wartości odżywczych ludzkiego ciała. Opierając się na analizach chemicznych składu tkanek, obliczył, że przeciętny dorosły mężczyzna o wadze ok. 66 kg dostarcza łącznie około 143 tys. kilokalorii (kcal).

Jeśli weźmiemy pod uwagę tylko te części ciała, które, w kontekście archeologicznym, najczęściej znajdowano jako spożyte (mięśnie szkieletowe, mózg, wątroba, płuca, szpik), wartość spada do około 125 tys. kcal. Same mięśnie szkieletowe to zaledwie ok. 32 tys. kcal. Wartości ulegają oczywiście dalszemu zmniejszeniu w przypadku dzieci i niemowląt.

Prawdziwym wyzwaniem dla teorii powszechności kanibalizmu w naszych pradziejach staje się porównanie człowieka z fauną plejstoceńską, na którą polowali nasi przodkowie. Oszacowania Cole'a są jednoznaczne: mamut: 3,6 mln kcal, nosorożec włochaty: 1,26 mln kcal, bizon: 612 tys. kcal, koń: 200 tys. kcal.

W praktyce pojedynczy mamut dostarczał tyle samo energii, co kilkudziesięciu dorosłych ludzi. Nawet mniejsze zwierzęta, jak jelenie (ok. 163 tys. kcal) czy dziki (324 tys. kcal) były bardziej opłacalnym posiłkiem.

Jak wylicza ekspert, grupa 25 dorosłych neandertalczyków mogłaby przetrwać dzięki mięśniom jednego upolowanego bizona przez około 6 dni. Cały opisany powyżej epizod kanibalizmu w Gran Dolina, gdzie spożyto mięso 11 osobników (w różnym wieku), dostarczyłby tej samej grupie energii na zaledwie niecały dzień.

– Te wyliczenia pokazują, że ludzkie ciało nigdy nie było szczególnie atrakcyjnym źródłem pożywienia. Nie oznacza to jednak, że jego spożycie nie mogło być racjonalnym wyborem – zauważa dr Misiak. – W sytuacji skrajnego głodu człowiek nie porównuje ludzkiego ciała z mamutem czy bizonem, lecz z całkowitym brakiem pożywienia. Kalorie z ludzkiego mięsa nie muszą być obfite ani bezpieczne – czasami wystarczy, że są jedynymi dostępnymi. To pomaga zrozumieć, dlaczego kanibalizm wielokrotnie pojawiał się w historii i równie często zanikał: zazwyczaj nie był trwałą strategią zdobywania pożywienia, lecz rozwiązaniem awaryjnym uruchamianym wtedy, gdy znikały wszystkie inne możliwości – dodaje badacz.

Kalorie stanowiły jednak tylko jedną stronę rachunku. Drugą ujawniła epidemia kuru wśród ludu Fore z Papui-Nowej Gwinei – spożywanie ciał przedstawicieli własnego gatunku może ułatwiać przenoszenie śmiertelnych chorób.

Koszt zjadania mózgu

Kiedy w latach 50. XX w. zachodni lekarze dotarli do odizolowanych społeczności Fore, natrafili na epidemię choroby kuru. To śmiertelna choroba neurodegeneracyjna, objawiająca się zaburzeniami koordynacji, drżeniem kończyn oraz niekontrolowanymi reakcjami emocjonalnymi. Choroba dotykała głównie kobiety i dzieci, podczas gdy dorośli mężczyźni niemal na nią nie zapadali.

Przyczyna okazała się makabryczna – kuru była przenoszona podczas uczt kanibalistycznych. W tej społeczno-

ści członkowie rodziny spożywali ciała zmarłych krewnych w ramach rytuału pogrzebowego. Kobiety i dzieci brały w nich udział najczęściej, spożywając mózgi i inne tkanki bogate w priony – nieprawidłowo zbudowane białka, wywołujące chorobę.

Badania przeprowadzone na starszych kobietach z ludu Fore, które wielokrotnie brały udział w takich ucztach, ale przeżyły epidemię, ujawniły coś, co sporo mówi o historii ewolucyjnej naszego gatunku. Większość z nich posiada specyficzny wariant genu białka prionu (PRNP).

Gen białka prionu u ludzi występuje w dwóch głównych odmianach: kodujących aminokwas metioninę lub walinę. Osoby posiadające dwie identyczne kopie są znacznie bardziej podatne na rozwój chorób prionowych. Natomiast osoby posiadające obie wersje genu wykazują znaczną odporność na kuru i inne choroby prionowe.

Najbardziej zdumiewające odkrycie dotyczy jednak nie tylko Nowej Gwinei, ale całej ludzkości. Analizując zmienność genu PRNP na całym świecie, naukowcy odkryli ślady działania podobnej selekcji jak w przypadku społeczności Fore w niemal wszystkich ludzkich populacjach.

Zdaniem części ekspertów wskazuje to, że kanibalizm występował na tyle często i wiązał się z na tyle poważnymi konsekwencjami, że pozostawił u ludzi wykrywalny ślad genetyczny.

Rola ognia i kultury

Kanibalizm można analizować tak jak inne sposoby zdobywania pożywienia: uzyskane kalorie muszą zrównoważyć poniesione koszty. Ludzkie ciało nie ma jednak szczególnej wartości odżywczej i dostarcza znacznie mniej energii niż duża zwierzyna. Samo pożywienie nie wystarcza więc do wyjaśnienia tej praktyki.

– Zbudowaliśmy z Petrem Turečkiem model, w którym ludzkie ciało potraktowaliśmy jak każde inne źródło pożywienia – wyjaśnia dr Misiak. – Z jednej strony dostarcza ono kalorii, z drugiej jego zdobycie, strawienie oraz związane z nim infekcje mają swoje koszty. Ważne okazało się również to, czy zjadana osoba sama wcześniej uczestniczyła w kanibalizmie.

Każde kolejne ogniwo takiego łańcucha zwiększa ryzyko przenoszenia się patogenów. Jeśli kanibal zjada innego kanibala, a jego później zjada następna osoba, zagrożenie zaczyna rosnąć bardzo szybko. Dlatego pojedynczy akt kanibalizmu może pomóc komuś przetrwać skrajny głód, ale regularne powtarzanie tej praktyki staje się niebezpieczne dla całej społeczności.

INCAMERASTOCK / ALAMY / BE&W

Ludzkie ciało nie ma szczególnej wartości odżywczej i dostarcza znacznie mniej energii niż duża zwierzyna.
Samo pożywienie nie wystarcza więc do wyjaśnienia praktyk kanibalistycznych.

Znaczenie ma również sposób zdobycia ciała. Polowanie na człowieka jest ryzykowne i wymaga dużego wysiłku. Model wskazuje zatem, że bardziej prawdopodobny był kanibalizm pogrzebowy albo oportunistyczne spożywanie znalezionych zwłok. W obu przypadkach ciało było dostępne bez konieczności walki.

Najpoważniejszym kosztem pozostawały jednak infekcje. Patogeny łatwo przenoszą się między organizmami należącymi do tego samego gatunku. Szczególnie niebezpieczne są priony.

Opanowanie ognia około 400 tys. lat temu mogło zmienić ten bilans. Gotowanie zabija wiele patogenów i zmniejsza ryzyko spożywania mięsa, chociaż nie chroni przed prionami. Dlatego ślady obróbki termicznej, występujące razem z nacięciami i rozbijaniem kości, wzmacniają interpretację kanibalistyczną danego znaleziska. Nie stanowią samodzielnego dowodu, ale pokazują, że spożycie ludzkiego ciała w danym miejscu wydaje się bardziej prawdopodobne.

Model Misiaka pomaga również wyjaśnić rozwój tabu. Zachowanie, które w sytuacji kryzysowej mogło uratować pojedynczą osobę, po upowszechnieniu zwiększało ryzyko epidemii i groziło spadkiem liczebności całej populacji. Kultura ograniczała więc kanibalizm, dopuszczając go najwyżej w ściśle określonych okolicznościach.

Siłę tego zakazu widać w mitach, baśniach i kulturze popularnej. Kronos pożera własne dzieci, zła królowa w pierwotnej wersji Śnieżki chce zjeść płuca i wątrobę dziewczyny, a w jednej z wersji Czerwonego Kapturka bohaterka nieświadomie spożywa ciało swojej babci. Hannibal Lecter jest współczesnym wcieleniem podobnego lęku.

– Tabu żywieniowe nie jest zwykłą wskazówką dotyczącą tego, co warto jeść – podkreśla dr Misiak. – Wyłącza określony pokarm z kategorii rzeczy, które w ogóle uznajemy za jedzenie. Ludzkie ciało jest biologicznie jadalne, ale wstręt, moralne potępienie i sankcje społeczne tworzą prostą zasadę: człowiek nie jest pożywieniem. Nie musimy dzięki temu rozumieć ryzyka infekcji, aby unikać niebezpiecznego zachowania.

Jego zdaniem kanibalizm można jednak rozumieć jako uśpioną ludzką dyspozycję, którą w normalnych warunkach hamuje właśnie tabu.

– Nasz model sugeruje, że społeczności, które nie potrafiły ograniczyć tej praktyki, były bardziej narażone na epidemie i demograficzny upadek. Tabu nie usuwa jednak samej dyspozycji. Katastrofalny głód może przełamać kulturowy zakaz i ponownie ją uruchomić. Dlatego kanibalizm nie musi należeć wyłącznie do naszej przeszłości – podsumowuje badacz.

© KASPER KALINOWSKI

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

ELIZA

Kącka: *Za wiśnie*

Lidzbark Warmiński, pukanie w południe. Otwieram. Na progu gość w wędkarskim kapelutku, na działkowca, z wiadrem wiśni. Ucieszył się: „O, to pani. Ja w sumie matkę chciałem prosić". Wołam, cofam się do pokoju. Dociera: „Ech, znowu pan". „Dobre wisienki". „I co ja z tym zrobię?". „Winko". „Odpuści pan...". Nie poddaje się: „Dobrze widziałem, że ta nagrodzona z telewizora przyjechała?". Zdziwienie: „Że moja córka?". Oburzył się: „Trzeba się orientować, pszepani. Do Lidzbarka też dociera transmisja". „Proszę pana...". „Ja mam dziedziczny stosunek do książki. Nie czytam, ale szanuję". „Ech". „Mój ojciec szanował. Kupił mi całego Słowackiego w Bartoszycach. Całego!". „Pięknie". „Dużo zapłacił, cały utarg z wiśni. Ale wie pani, tam jest na pierwszej stronie taki niewyraźny podpis. Tato mówił, że to może jego autograf być". Pochrząkiwanie tłumiące śmiech. Gość: „Myślę, że to może być jeden z jego kompletów. Lubię podpisane książki". „Wie pan...". Rozochocił się: „I Balzaka lubię. Tak cenił Polskę, że związał się z Polką. Słyszała pani?". „Nie". „Trzeba się orientować. Pani Walewska. Jak ten krem". „Świetnie". „Lubię pisarzy. A pani córka ma swoje książki?". „W sensie?". „Wydrukowane. Wziąłbym jedną. Z podpisem. Za wiśnie". „Przecież nie czyta pan". „Ale szanuję! Po transmisji w telewizorze to może już nie mieć... To niech mi podpisze cokolwiek. Mogę przynieść Mickiewicza".

Lidzbark Warmiński, Festiwal Kultury Myśliwskiej. Deptak przy Wysokiej Bramie, stragany ku centrum. Grają szlagiery łowieckie. Pod sceną rogi, na scenie piosenki o wolności. Przebijamy się przez maskotki, wielofunkcyjne włóczki, miody, mięsa, pajdy. „Smalczyk zachęcam" – zanęca gość zrobiony na domorosłego Robin Hooda. „Kiełbaska średnio wysmażona, ostatni krzyk mody, krwista" – rzuca Rudej. Nie trzeba było tego robić, Rude ewakuowało się na ulicę Dębową. Zbiegam tam. Dawno nie dreptałam Dębową. Niby nie jest meandryczna, ale szpaler dębów gwarantuje izolację od presji jarmarków, tempa zdarzeń. Usiadła na barierce przychodnikowej i zaczęła wpatrywać się w rzekę. „Wrócimy do babci?". „Zostaw mnie". „Boisz się surowizny?". „Tak". Idzie babcia: „Szarpane mięso, mówią. A kto to szarpie?". Ja: „Dzikie zwierzę, najpewniej. A po prawdzie widelec". „No, nie wiem. Tam panie mówiły, że to jest autentyczne". „Co?". „Wszystko. Miody, wędliny". „U, dobrze wiedzieć, że coś ma certyfikat prawdy". „No, skąd wiesz, może oni wszystko robią, jak należy". „Myśliwi? Na pewno".

Wieczór lidzbarski, telefon. Mama odbiera: „Tak, pamiętam, z kursów". Pauza. „Mąż odszedł, ale on się nigdy w takie rzeczy nie angażował". Pauza. „Tak, badał mięso. Ale nie polował, wie pani...". Pauza. „Msza świętego Huberta? To na pewno piękne". Pauza. „Nie mamy poroża w domu". Pauza. „Nie, członkostwo mnie nie interesuje. Mąż leczył zwierzęta". Pauza. „Święcona kiełbasa?". Pauza. „Dziękujemy za pamięć". Pauza. „Tak, rozumiem, to jest uzdrawiające". Pauza. „Błogosławiona? Szkoda, ale wie pani, błogosławioną kiełbasę mogą państwo ofiarować pielgrzymom. Nie damy rady tym darom, niestety".

Pociąg z Olsztyna do Ełku, siedzimy z Rudą i oglądamy ten film warmińsko-mazurski z pagórków, niemal szczelnych ścian lasu, jezior. Przejazd pod zieloną kopułą z antraktami rozpraszanych przez światło siwości wodnych. Ruda trzyma plecak solennie, zawsze gotowa do wyjścia, ja odpoczywam. Kontrola biletów. Z wnętrza wagonu dociera: „W jakim celu pan podróżuje?". „Do mamy". „To wybrał pan złą zniżkę. Cele edukacyjne albo medyczne". Ruda: „Ty słyszysz?". „Słyszę". „Miał powiedzieć, że jedzie się uczyć, a przyznał, że do matki". „Ano". Z wnętrza wagonu: „Pan ma inny stopień". „To ja dopłacę". „Nie, już dobrze, ale na przyszłość: studiuje pan?". „Nie. Chciałbym bardzo, ale nie mogę, jestem chory". „No, to przysługuje 37, chyba że jedzie się pan leczyć". Ruda: „To ja mam więcej jako studentka". „Masz". Cisza w wagonie, jak po obdukcji za parawanem. Za oknem frakcja mgły, teren podmokły.

Autobus 167, jazda na Ochotę. Przede mną, pięterko siedzeniowe niżej, dwójka starszych, siaty z zakupami. Ona: „Jutro powstanie". On: „Dość mam już tych powstań". „Żartujesz! Mszę zamówiłam". „Za powstanie?". „Za twoją matkę". „Ale przecież w marcu zmarła, nie w sierpniu". „Czciła powstanie". „To ja wiem". „Dodałam jeszcze intencję za wybory. Po mamy myśli". „A ją to teraz obchodzi?". „Żartujesz! Wyłącznie".

Ełk, środek dnia, siedzimy z Rudą przy zegarze słonecznym. Promenady świateł nad jeziorem. Ruda: „Zrób mi zdjęcie przy Byku". No tak. Zodiaki. Obok rodzina z małymi dziećmi, skaczą sobie swobodnie po znakach. Ruda: „Ej, oni zaliczają cały Zodiak". „Aha". „Można tak?". „No wiesz, zależy, jak się podejdzie". Siedzi, myśli, patrzy w jezioro. Na powadze: „Staję tylko przy swoim znaku. Żeby było wiadomo". „Aha". Patrzy mi w oczy: „Dlaczego oni tak łatwo skaczą sobie?". „Hm, nie wiem, może im się zdaje, że to nie ma znaczenia". Patrzy w jezioro: „Znaki nie mają? Ja nie mogę stanąć na twoim. Bo nie jest mój. Mają sens". Szturcham Rudą: „A wiesz, że ten twój byczy znak jest ponoć bardzo pogodny i stabilny? Bo mój wodniczy to kompletnie nie". Uśmiecha się do siebie. Dopowiadam: „Bo wiesz, byczy ludzie to się potrafią zająć innymi". Promienieje. „Tak, ja umiem. To dobry znak". „Na pewno". „Umiem docenić. Trzeba doceniać". „O, na pewno". „Nie stanę na innych znakach". „Jasne". „Moje musi być moje". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

KULTURA

CHCECIE COŚ OD POLSKI?

WOJCIECH ŚMIEJA

Trzeci sezon serialu „1670" jest bardzo smutny i bardzo aktualny. I to nie jest wobec jego twórców zarzut, przeciwnie.

Ile można jechać na hop, hop, hop? – zapytał mój syn, gdy zaproponowałem mu wspólne oglądanie trzeciego sezonu netfliksowego hitu nad hitami, czyli serialu „1670". Tak, dobrze Państwo słyszą, było w tym pytaniu zniechęcenie i zblazowanie nastolatka rozczarowanego nienajlepszym drugim sezonem. W końcu jednak udało mi się go namówić i, co tu dużo gadać, „wciągnęliśmy" wszystkie odcinki jeden po drugim. Potomek uznał, że jest całkiem nieźle i zabawnie, więc mu wierzę, bo ja, człowiek nieco już przejrzały, aż tak świetnie się nie bawiłem.

Nie dlatego, iżby sezon był słaby, ale raczej ze względu na drążące mnie od środka pytania o jego ogromną popularność, o to, jak wplata się w naszą współczesną siatkę kultury, jakie społeczne potrzeby obsługuje, co nam mówi o nas samych i naszym nie takim znów najweselszym świecie.

Odpowiedzieć na te pytania próbowano już od premiery pierwszego sezonu. Dość powszechnie twierdzi się, że popularność opiera się na przywoływaniu – i ośmieszaniu – czytelnych kodów kulturowych, zarówno dawniejszych (sarmackiego i sienkiewiczowskiego), jak i współczesnych – ulepionych z bezliku aluzji do naszego *hic et nunc*, raz śmieszniejszych, kiedy indziej dość topornych.

Kulturowym punktem odniesienia był tzw. zwrot ludowy w humanistyce, a sami autorzy serialu przyznawali się do długu u Adama Leszczyńskiego, autora „Ludowej historii Polski", i Jana Sowy, z jego „Fantomowym ciałem króla". Serial miał służyć obśmianiu naszych narodowych przywar, zarówno w wymiarze wspólnotowym, jak i jednostkowym. Wszystko to prawda i trzeci sezon da się, podobnie jak sezony wcześniejsze, w tym kluczu odczytywać. Wydaje mi się wszakże, że do dobrze znanej i lubianej potrawy w sezonie trzecim dodano nowe ingrediencje. Jakie? Spróbuję je opisać.

Najpierw jednak opowiedzmy sobie pokrótce, czego możemy się po nowych odcinkach spodziewać – postaram się bez spojlerów.

Czego lud nie docenia

Ośmioodcinkowy sezon zorganizowany jest wokół czterech, z czasem coraz ściślej z sobą splecionych, wątków. Najważniejszym spośród nich jest groźba utraty szlachectwa, jaka zawisła nad Janem Pawłem po spaleniu – w sezonie drugim – stosownych zapisów w archiwum parafialnym Adamczychy. Na dowiedzenie, że jest szlachcicem, nasz bohater ma miesiąc. Oczywiście kolejne pomysły, takie jak wysłanie chłopa na Księżyc (aluzja do misji Sławosza Uznańskiego) czy nawet tranzycja (ślub z innym szlachcicem bę-

JAROSŁAW SOSIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Mikołaj Chroboczek jako Michał Korybut Wiśniowiecki w 3. sezonie serialu Netflixa „1670”

dzie oznaczał automatyczną nobilitację), będą palić na panewce.

Drugi wątek dotyczył będzie Anieli, rezolutnej córki Jana Pawła. Dziewczyna, próbując zapomnieć o kochanku, poświęci się pracy społecznej – założy szkołę dla chłopów, do której ci, jak łatwo sobie wyobrazić, nie będą chcieli uczęszczać za żadne skarby. Aniela ze swoją feministyczną, emancypacyjną i cokolwiek lewicową wrażliwością trafia do ludu z podobną skutecznością, jak partia Razem do elektoratu z klasy ludowej. Chce dobrze, ale lud tego nie docenia, co więcej, starania Anieli okażą się fatalne w skutkach. Jeśli na kogoś Aniela ma wpływ bezpośredni, to są to młode szlachcianki, córki Andrzeja, odwiecznego rywala Jana Pawła. Dwie zbuntowane nastolatki (noszą spodnie i palą fajki) spacyfikuje dopiero Zofia, żona Jana Pawła.

Trzeci wątek łączy się z postaciami Macieja i Bogdana. Maciej, który musiał opuścić Adamczychę, błąka się po świecie, aż trafia do obozu Kozaków, którym przewodzi okrutny Lachożerca. Maciejowi ujść z życiem pozwala wrodzony spryt i wyuczony fach – kowalstwo. Sceny z Kozakami są łatwo czytelną aluzją do społecznego niepokoju wywołanego obecnością ukraińskich uchodźców w Polsce. Ich wizualne rozegranie przypomni sceny z „Ogniem i mieczem” Jerzego Hoffmana.

Najbardziej nienawidzący Polaków ataman, noszący ów przerażający przydomek Lachożercy, okaże się... Bogdanem, nierozgarniętym – nawet w porównaniu z Janem Pawłem – szlacheckim mieszkańcem Adamczychy i szwagrem Jana Pawła. Komizm postaci zostanie podbity i tym, że Bogdana – jak Bourne’a z sensacyjnej powieści Roberta Ludluma – dopadła całkowita amnezja i nie wie, kim jest. Pamięta tylko szlachciankę, która doń wypaliła – Anielę. W pewnym momencie obaj, Bogdan i Maciej, opuszczą Sicz w poszukiwaniu dziewczyny. Maciej z miłości, Bogdan dla zemsty.

Jak jest na dworze

Istotną nowością jest wprowadzenie do trzeciego sezonu dworu królewskiego z Radą, do której zaproszony – dla ratowania Rzplitej! – będzie sam nasz Jan Paweł. Poznajemy gnuśnego, nierozgarniętego króla Korybuta Wiśniowieckiego, a także piękną, energiczną królewską małżonkę. W królowej zakocha się Jakub, a Aniela znajdzie w niej sojuszniczkę w przedsięwzięciu oświecania mas chłopskich.

W przypadku sezonu drugiego scenarzyści zdecydowali się na poszerzenie serialowego uniwersum Adamczychy przez wysłanie bohaterów do Turcji i nie był to zabieg szczególnie udany. Dwór królewski w Warszawie jest zdecydowanie fortunniejszym rozwiązaniem. Na dworze jest i śmiesznie (rozegranie napięcia między prowincjonalnością szlachciury z Adamczychy a stołecznym wyrafinowaniem i dworskim intryganctwem) i strasznie (kompletna bezradność króla i senatorów wobec historycznych zagrożeń).

Humor serialowy utrzymuje poziom, sporo tu ładnych bon motów („Najpierw buzi-buzi, potem chlastu-chlastu” to mój ulubiony), choć żaden chyba nie ma takiego potencjału jak te kultowe z sezonu pierwszego. Pomysły fabularne, jak wspomniane wystrzelenie chłopa na Księżyc czy egzamin na szlachcica, też potrafią rozbawić.

Nie będą również zawiedzeni tropiciele analogii do współczesności. W trzecim sezonie pojawiają się „skrzyniomaty”, „męskie kręgi” (gdzie szlachcice narzekają na białogłowy), para chłopów-gejów, denialistyczne dziennikarstwo tubą zagłuszające głosy uczonych i całe mnóstwo innych – do wyboru, do koloru.

Nie brak też aluzji do filmowego kanonu popkultury i nie tylko. Są i „Gwiezdne wojny”, i „Ojciec chrzestny”, „Ogniem i mieczem”, „Potop” oraz – to aluzja nieco mniej czytelna, ale moim zdaniem kluczowa – „Popiół i diament” Andrzeja Wajdy (Potomek wychwycił ↦

↦ jeszcze odniesienia dla mnie mniej czytelne, a doskonale znane memosferze).

Czego się boi Jan Paweł

Od premiery pierwszego sezonu minęły prawie trzy lata. Nastroje społeczne w tym czasie charakteryzowały się dużą chwiejnością, choć w roku 2026 są raczej, zwłaszcza po stronie liberalnej, coraz gorsze i bardziej pesymistyczne. W Polsce narasta polaryzacja polityczna, a coraz bardziej skrajne i mniej czy bardziej prorosyjskie ugrupowania przejmują rząd dusz.

Wojna na Ukrainie nie przynosi rozstrzygnięcia, co jakiś czas na terytorium kraju spadają rosyjskie rakiety, rewolucja technologiczna związana z AI rozpędza się i pierwsze jej ofiary spotkamy wśród naszych znajomych, a Wisła i inne rzeki wysychają.

Jeśli doceniam za coś trzeci sezon, to za to, że pod powierzchnią dowcipów sytuacyjnych i słownych, za siatką czytelnych aluzji do różnych fenomenów współczesności, opowiada o naszych lękach i bezradności. W gruncie rzeczy trzeci sezon jest bardzo smutny i bardzo aktualny. I to nie jest wobec niego zarzut. Przeciwnie!

Spróbujmy wyobrazić sobie przyszłość. Szczęśliwie dożyliśmy roku, powiedzmy, 2050, a nasza obecna epoka jest już zamkniętym rozdziałem historii. Mamy piękne dziecko, które studiuje jakiś niepotrzebny kierunek, np. antropologię mediów. Dostaje ono do napisania pracę zaliczeniową, w której ma przedstawić, jak popularny przed ćwierćwieczem serial opisywał ówczesną – naszą – epokę. Być może z tego dystansu będzie to już czytelne jak na dłoni.

Pierwsze, co takiemu przyszłemu widzowi się rzuca w oczy, to lęk statusowy. W trzecim sezonie „1670" podział na szlachtę i chłopów zostaje zakwestionowany. Kowal Maciej całkiem dobrze wygląda w kontuszu, a Jan Paweł omal nie traci swojego szlachectwa. Zwłaszcza to ostatnie jest rozgrywane fabularnie – osią każdego z odcinków są coraz bardziej kuriozalne próby utrzymania zagrożonej pozycji społecznej.

Jan Paweł jest gotów wyrzec się nawet męskości, byle utrzymać szlachectwo. Te próby są kuriozalne, ale pamiętajmy, że polską klasę średnią (a do niej adresowany jest serial) lęk statusowy przenika niezwykle mocno. W popularnym powiedzeniu od nędzy dzielą ją trzy niespłacone raty kredytu, ale w badaniach i diagnozach społecznych (np. Mirosławy Marody) widać wyraźnie, że polska klasa średnia, nieposiadająca wszak znaczących kapitałów ani tradycji, jest znacznie bardziej zalękniona niż jej odpowiedniki zachodnie.

Rewolucja AI, której skutków doświadczy, a nawet już doświadcza klasa średnia, tradycyjnie wykonująca zawody „umysłowe", sprawia, że wszyscy właściwie boimy się o swoją przyszłość, a w tym lęku gotowi jesteśmy robić rzeczy niekoniecznie mądrzejsze od wygibasów bohatera serialu. W „1670" chłopi przygotowują rekonstrukcję historycznego buntu chłopskiego i na tę okoliczność zakładają kontusze. Nagle zdają sobie sprawę, że sztywna dystynkcja klasowa nie jest niczym naturalnym.

To doświadczenie, połączone z wycieczką szkolną do dworu zorganizowaną przez Anielę, będzie stanowić przyczynek chłopskiego buntu, który – spoiler alert! – wybuchnie w ostatnim odcinku. Czy to nie jest współczesne polskie doświadczenie, kiedy hydraulik-złota rączka zaczyna zarabiać więcej niż zdeklasowany przez AI informatyk albo prawnik zmuszony do morderczej konkurencji z innymi absolwentami licznych wydziałów prawa? Czy zasoby i style życia klasy ludowej nie upodobniły się niepokojąco do średnio-klasowych? Tak, w pewnym sensie wszyscy jesteśmy Janami Pawłami zmuszanymi przez okoliczności do ciągłego potwierdzania swojego statusu.

Kto strzeże patriarchatu

Drugi lęk przenikający polskie społeczeństwo, a zwłaszcza mężczyzn, to lęk genderowy. Rozpad wyobrażeń o tradycyjnej rodzinie, zapaść demograficzna, rozszczelnienie binarnych norm płciowych, a także gwałtowne rozchodzenie się trajektorii życiowych młodych kobiet i mężczyzn sprawiają, że stawiamy sobie pytania o przyszłość formacji kulturowej zwanej polskością – czy ktoś ją po nas przejmie? A może ona przeminie?

W „1670" buntują się córki odwiecznego rywala Jana Pawła – Andrzeja. Wspomniałem już, że Jan Paweł gotów jest na tranzycję, byle pozostać w stanie szlacheckim, sami zaś Sarmaci spotykają się na „kręgach", żeby narzekać na białogłowskie fumy.

Do tego dodajmy energiczną Anielę zawsze w męskim stroju i równie energiczną królową, której małżonek, Michał Korybut, jest kulą u nogi i którym ona ewidentnie pogardza. Strażnicy patriarchatu to zwłaszcza Zofia, która napięcie z tym związane rozładowuje pitą pokątnie okowitą, ale dawnego porządku strzeże też progresywny jak Polska 2050 Andrzej, który przy pomocy Zofii pacyfikuje własne córki.

W polskiej kulturze XVIII w. istniało coś, co historycy nazwali „oświeconym sarmatyzmem". Niedawno tę ideę próbował ożywić i forsował konserwatywny Klub Jagielloński. A jednak, zdają się mówić scenarzyści, oświecony sarmatyzm nie istnieje, w wypadku Andrzeja, jak i w każdym innym, ciężar określenia wcześniej czy później przechyli się w stronę rzeczownika „sarmatyzm", czyniąc z przymiotnika „oświecony" ledwie dekorację.

Kto pacyfikuje wieś

Z tym wiąże się kolejny problem nurtujący nasze czasy i przenikający fabułę trzeciego sezonu „1670". Chodzi o koniec opowieści emancypacyjnej.

Na ekranie widzimy dwie wzajemnie się przeplatające próby emancypacyjne. Pierwsza jest feministyczna. Królowa, Aniela i córki Andrzeja próbują rozbijać zastaną rzeczywistość, buntować się, poszerzać pole wolności. W przypadku Anieli ten bunt ma od początku charakter samoograniczający się – dziewczyna pozostaje wierną córką Jana Pawła. Choć patrzy na ojca z pobłażliwością, koniec końców pozostaje wobec niego lojalna.

Córki Andrzeja buntują się ostrzej, ale i naiwniej, tak „nastoletnio" i niepoważnie, toteż Zofia z łatwością je spacyfikuje. Królowa pozbawiona wpływu na „prawdziwą politykę" realizuje się, wspierając naiwną Anielę w jej misji oświaty ludowej, ale, mamy wrażenie, że to jedynie królewskie kaprysy.

Jeszcze wyraźniejszy jest wątek związany z emancypacją ludu. Dokonuje się ona za sprawą szkoły zorganizowanej przez Anielę. „Uczniowie" mają okazję przesylabizować ulotkę „chłopów z Małopolski" wzywających do rabacji, a także odwiedzić – w ramach wycieczki – dwór, gdzie przyglądają się szlacheckim luksusom i wygodom.

JAROSŁAW SOSIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Bartłomiej Topa jako Jan Paweł Adamczewski w serialu „1670”

Dodatkowo, zmuszeni przez Jana Pawła do wzięcia udziału w rekonstrukcji historycznej zakładają kontusze i... uzmysławiają sobie, że sarmatyzm jest „konstruktem kulturowym”. Z tą świadomością w ostatnim odcinku ruszają podpalić dwór. Rewolta niemal się udaje. Niemal, bo koniec końców Janowi Pawłowi udaje się ją spacyfikować, ocalić króla i przywrócić porządek. Dzięki temu odzyskuje swoje szlachectwo.

W pewnym sensie wszyscy jesteśmy Janami Pawłami zmuszanymi przez okoliczności do nieustannego potwierdzania swojego statusu.

Kto jeszcze wierzy

I znowu: trudno nie pomyśleć o naszej sytuacji. Sięgam do tezy Przemysława Czaplińskiego z jego monumentalnych „Rozbieżnych emancypacji”. Poznański literaturoznawca napisał tam, że różne – rozbieżne – emancypacje: polityczne, etniczne, płciowe, seksualne, religijne, mniejszościowe poniosły klęskę bądź – w najlepszym razie – ugrzęzły w pół drogi.

Nie ma tu miejsca na odtwarzanie tych poszczególnych trajektorii, więc powiedzmy tylko o tym, że po zmianie władzy w roku 2023 chyba wszyscy liczyliśmy na gruntowną przebudowę państwa i liberalizację w kluczowych kwestiach. Niewiele z tego się wydarzyło, rozczarowanie jest powszechne – rząd kapituluje nawet w tak banalnej sprawie jak darmowa karafka wody w restauracjach...

Czapliński uważa, że kultura emancypacji ustąpiła miejsca kulturze terapii: jeśli nie mogę zmienić świata, muszę się do niego jakoś dostosować. Kiedy prowadziłem z nim i z Justyną Sobolewską spotkanie na festiwalu Granatowe Góry w Wiśle, zapytałem publiczność, kto próbował różnych form emancypacji. Zobaczyłem las rąk w górze. Następnie zapytałem o to, kto podejmował bądź aktualnie podejmuje wysiłek terapeutyczny. Zobaczyłem taki sam las rąk. Nie zmienimy świata, więc próbujemy zmieniać siebie.

Nasza sytuacja jest paradoksalna. Przenika nas lęk przed zmianą, a równocześnie dusi nas sytuacja społeczna i polityczna. Straciliśmy wiarę w równościową emancypację, a zmiana – tak sądzimy – może być tylko na gorsze.

Jak się czujecie

I tu dochodzimy do ostatniej kwestii: wspomnianego przeniesienia części akcji do Warszawy. Oglądamy bezradnego króla i jego nie mniej bezradną Radę. Wszyscy zajęci są intrygami i walką o wpływy. Sytuacja międzynarodowa Rzplitej jest zła. Wróg czai się z każdej strony. Na dworze pojawia się tajemniczy chłopiec-kaleka obdarzony darem widzenia przyszłości. Niczym Wernyhora przepowiada zebranym rozbiory i zniknięcie kraju z mapy Europy. Ta wizja obecnym wydaje się tak absurdalna, że dar proroczy medium zostaje skutecznie zakwestionowany. Przecież Rzplitej nic złego stać się nie może!

Do elity nie należą chłopi, Żydzi i Kozacy. Należą zaś do niej wszyscy Sarmaci, od Jana Pawła począwszy, na Michale Korybucie skończywszy. Lud patrzy na ich rozgrywki, swary, zabawy, swawole, obyczaje w zadziwieniu. Chłopi odwiedzający dwór Jana Pawła tyleż onieśmieleni są bogactwem, co zdziwieni panującą w nim obyczajowością.

Patrzą na to wszystko niewiele rozumiejąc i z pewną rezygnacją, ot pańskie fumy, niemające nic a nic wspólnego z trudami chłopskiego życia. I choć podział na panów i chamów uległ pewnemu zachwianiu, to udało się go – z niejakim trudem – odbudować. Poddani muszą wrócić do swoich chałup, a Jan Paweł w jednej z ostatnich scen może powtórzyć swoje słynne „hop, hop, hop”.

Tymczasem widzimy, że te elity, zabawiając się, sprowadzą na nas wszystkich smutny koniec. Czy nie jesteśmy, my, obywatele, trochę tymi chłopami? Obserwujemy przepychanki na scenie politycznej, walki frakcyjne, sztucznie rozdmuchiwane afery i konflikty odwracające uwagę od spraw egzystencjalnie ważnych, zarówno tych dotykających przeciętnego obywatela, jak i tych, które dotyczą trwania naszego państwa na historycznym zakręcie. Ja jestem wściekły i bezradny. A jak Państwo?

W „Popiele i diamencie” Andrzeja Wajdy barmanka Krysia i Maciek Chełmicki rozmawiają w zburzonym kościele. To niezapomniana scena przez to, że na parę kochanków kamera patrzy zza oderwanej i wiszącej do góry nogami figury Chrystusa – znak czasów, w których wszystkie wartości chrześcijańskie zostały podeptane. W „1670” zbuntowani chłopi palą szkołę. W jednej z ostatnich scen widzimy parę sczerniałych belek. Z jednej z nich zwisa głową w dół osmalony orzeł – symbol dumnej Sarmacji.

Smutne i groźne memento jak na komediowy serial, nieprawdaż?

© WOJCIECH ŚMIEJA

Wszystkie nasze strachy

MICHAŁ WALKIEWICZ

TRENDY | Kino gatunków odzyskuje moc. Horrory wyrastające z pasji i z szacunku dla pragnień widowni łatwo dziś rozpoznać – nie tylko po energii, z jaką są robione, także po imponującej stopie zwrotu.

MATERIAŁY PRASOWE

Renate Reinsve w filmie „Backrooms. Bez wyjścia", reż. Kane Parsons

Gdy zasypiam w ciemnym pokoju, sweter rzucony na krzesło nie przypomina wcale mściwego ducha, a stukające o szybę gałęzie nie wyglądają jak cieniste szpony. W koszmarach nie odwiedza mnie facet ze stopioną twarzą i nożami zamiast palców, tylko sfrustrowany sąsiad, była dziewczyna, ewentualnie psychoterapeuta bez licencji.

Oczywiście winię za to wszystko współczesne kino grozy. Strach ma nie tylko nową twarz, ale i nowe królestwo. Zamiast w gęstych lasach i gotyckich zamczyskach, mieszka w pustych biurach i domkach jednorodzinnych albo na wyludnionych dworcach. Natomiast w Hollywood jest dziś najsilniejszą walutą. Podsycać można go za grosze, a zarabia się na nim krocie.

Lustro lęków

Niemal połowa Amerykanów boi się inflacji. Mieszkańcy RPA żyją z widmem wszechobecnej korupcji. Jedna trzecia Francuzów jest przerażona widmem zmian klimatycznych. Ponad 55 proc. Polaków natomiast drży na myśl o utrudnionym dostępie do lekarza. Obawy o kolejną wojnę światową warto wspomnieć wyłącznie z kronikarskiego obowiązku – średnio co trzeci z nas jest przekonany, że wybuchła już jakiś czas temu.

Co miesiąc Ipsos przeprowadza badania zwane „długoterminowymi trendami strachu". To nazwa, która mogła powstać tylko dziś, to znaczy w czasach, w których strach da się zmierzyć, a co za tym idzie – eksploatować. Gdy mówimy, że horror jest lustrem odbijającym społeczne lęki, nie zawsze chodzi o kanalizowanie naszego niepokoju w narracjach o wojnie, globalnym ociepleniu albo podatkach. Czasem chodzi o człowieka, którego stworzyła konkretna epoka; o balans jego emocji w zderzeniu z chaotyczną rzeczywistością.

Weźmy lata 70. i odbiorcę pierwszego w dziejach medialnego spektaklu wojennego, którym był konflikt w Wietnamie. A potem skoczmy w przyszłość o trzy dekady i spójrzmy na widza zahartowanego w ogniu bezprecedensowych aktów terroru. Czym była w obydwu przypadkach fala krwawych slasherów, opowieści o sadystycznych mordercach oraz tzw. pornografii przemocy, jeśli nie podkręceniem medialnego przekazu? Czyż nie pozwalała radzić sobie z obrazami okaleczanych ciał oraz ludzkiego cierpienia metodą nadmiernej ekspozycji – aż do całkowitego znieczulenia?

Zerknijmy na ostatnią dekadę, kiedy to zaczęliśmy zaglądać sobie nawzajem do głów i odkrywać w nich prawdziwe okropieństwa – czasem wyrosłe z pokoleniowych traum („Hereditary. Dziedzictwo" Ariego Astera), kiedy indziej zakwitłe na gruncie społecznej presji („Babadook" Jennifer Kent), to znów umocowane w pułapkach wieku dojrzewania („Coś za mną chodzi" Davida Roberta Mitchella). W trakcie „renesansu horroru" nikt nie musiał opowiadać o erozji więzi międzyludzkich oraz społecznej atomizacji wprost. Wystarczyło, że podrzucił kilka ładnych, metaforycznych obrazków.

Najmłodsi twórcy kina grozy, zwłaszcza ci z pokolenia Z, wzbogacają ten krajobraz nie tyle o nowe konwencje, co o lęki, które wykiełkowały na politycznie, społecznie i kulturowo niestabilnym gruncie. No bo gdzie szukać azylu przed toksyczną męskością, drapieżną kobiecością, podszeptami własnych demonów? Jak uczy kino grozy, w labiryncie własnego umysłu można się jedynie zgubić.

Dzień na kozetce

Współczesny horror pozostaje niejednorodny, widać to nawet w tegorocznym repertuarze. Rozpada się na kino mainstreamowe („Mumia" Lee Cronina) i niezależne („Iron Lung" Marka Fischbacha), skończenie poważne („Hokum" Damiana McCarthy'ego) oraz autoreferencyjne („Krzyk 7" Kevina Williamsona), osten-

tacyjnie heteronormatywne („Powrót do Silent Hill" Christophe'a Gansa) oraz gejowskie („Leviticus" Adriana Chiarelli).

Gdy jednak mówimy o nim jak o monolicie, to głównie za sprawą „Obsesji" Curry'ego Barkera oraz „Backrooms. Bez wyjścia" Kane'a Parsonsa – dwóm małym filmom, które zarobiły gigantyczne pieniądze, a jednocześnie przypomniały nam o rebelianckiej naturze gatunku. Cóż z tego, że ów bunt jest częścią precyzyjnego marketingowego planu.

„Obsesja" narodziła się dzięki... „Simpsonom". Kurza łapka, za pomocą której Bart Simpson spełniał wszelkie zachcianki, przyjęła formę wierzbowej gałązki, tandetnego gadżetu o wartości siedmiu dolarów. To dzięki niej zahukany chłopak przymusza do miłości swoją koleżankę. A mówiąc „przymusza", mam na myśli egoistyczny akt kreacji – w ciele dziewczyny powstaje jej bezwolna kopia.

Z perspektywy bohaterki ta opowieść byłaby nie do zniesienia. Stanowiłaby wyrafinowaną psychologiczno-egzystencjalną torturę. Optyka chłopaka zamienia ją jednak w coś lekkostrawnego, mianowicie w wynaturzoną wersję komedii romantycznej. „Obsesja" to film, który nadaje się na randkę, a przy okazji pozostaje fundamentalnie nieprzyjemny, uwierający. W inteligentny sposób opowiada o współuzależnieniu oraz rozmaitych mechanizmach (męskiej) kontroli.

„Backrooms. Bez wyjścia" to z kolei domknięcie opowieści o najważniejszej przestrzeni liminalnej w historii internetu – plątaninie skąpanych w żółci i świetle jarzeniówek biurowych korytarzy. Gubi się w nich pracownik sklepu meblarskiego, w ślad za nim podąża jego psychoterapeutka. Oboje taszczą na plecach worek traum, co staje się przedmiotem okrutnego żartu. Człowiek XXI w. spędza całe dnie na kozetce? Ściągnijmy go z niej za nogi, niech walnie głową o podłogę!

Worek pieniędzy

Krajobraz współczesnego horroru nie rozciąga się pomiędzy tymi filmami. Nie bez powodu jednak to właśnie one rozbiły bank. Kosztujące 10 mln dolarów „Backrooms" zarobiło ich na całym świecie niemal czterysta. Z kolei nakręcona za marne, jak na dzisiejsze budżety, 750 tys. dolarów „Obsesja" zwróciła producentom ten wkład aż sześciusetkrotnie (*sic!*), co sytuuje ją w czołówce najbardziej dochodowych filmów w dziejach kina.

Jeśli wierzyć analitykom rynku, jest to efekt poczty pantoflowej oraz zasługa ludzi stojących u progu dorosłości. Według firmy Statista aż 91 proc. zetek konsumuje dziś okołohorrorowe treści – filmy, seriale, gry oraz programy internetowe. Lauren Cook, autorka książki „Generation Anxiety: A Millennial and Gen Z Guide for Staying Afloat in Uncertain Times", dostrzega w tym trendzie nie tyle poszukiwanie eskapizmu, co specyficznie definiowanej „szczerości" w popkulturze.

Strach o przyszłość i lęk przed codziennością, wychowanie w czasach pandemicznych i ekonomicznych kryzysów, kulturowa wojna płci, zagrożenia związane z trendem ciągłej introspekcji... „Podoba im się szczerość, którą przynosi horror" – diagnozuje Cook – „Ten gatunek nie próbuje niczego upiększać ani przedstawiać w łagodniejszy sposób. Młodzi potrafią więc nieco lepiej niż wcześniejsze pokolenia obcować z mrocznymi aspektami życia. Wcześniej ludzie chcieli je przykrywać, zaklejać uśmiechem i udawać, że wszystko jest w porządku".

Hak na zetki

Twórcy obydwu filmów zdobyli popularność na platformie YouTube – przed nimi skoku na głęboką wodę kinematografii dokonali m.in. bracia Danny i Michael Phillipou („Mów do mnie" i „Oddaj ją"), Chris Stuckmann („Miasteczko Shelby Oaks"), a także Mark Fischbach („Iron Lung"). To właśnie w internecie Parsons od dwóch dekad rozwijał autorski koncept przestrzeni liminalnych. To również tam Barker stroił sobie drwiny z ustawień Hellingera i wkładał przyrodzenie w wydrążoną tubę po chipsach.

Łatwo w takich sytuacjach o protekcjonalny ton. Zwłaszcza w kontekście warsztatu reżyserskiego, który „jakimś cudem" zadziałał nie tylko na YouTube, ale i w kinie. Warto jednak pamiętać, że większość konwencji, którymi operują internetowi twórcy, wymusza nie tylko bezbłędne zrozumienie reguł filmowej dramaturgii, ale i znajomości montażu, sztuki operatorskiej oraz podstaw pracy z aktorem. Dla przykładu w komedii skeczowej, zwłaszcza tej skondensowanej do paru minut, ważne jest naprzemienne budowanie i rozładowywanie napięcia. Zupełnie jak w horrorze.

Opowieść o youtuberach, którzy idą własną ścieżką i ucierają nosa hollywoodzkim wytwórniom, jest oczywiście zbyt piękna, aby była prawdziwa. Wiadomo, że stojące za sukcesem Parsonsa studio A24 kręci już korbką i szykuje znacznie droższy sequel „Backrooms". Nie jest tajemnicą, że zachęcony sukcesem „Obsesji" dystrybutor, czyli Universal, projektuje całe filmowe „uniwersum", oczywiście z Barkerem u sterów. I że inne wytwórnie przeczesują internet w poszukiwaniu kolejnego „haka" na pokolenie Z.

W dobie artystycznego i ekonomicznego uwiądu w Hollywood powinniśmy jednak cieszyć się tą iluzją jak najdłużej. Parsons skończył w czerwcu 21 lat. Barker jest pięć lat starszy. A wszystko zaczęło się od tego, że jeden z drugim pokazali wyliniałym kocurom na wysokich stołkach, jak się robi kino. I jak się na nim zarabia.

Ciśnienie na dzieło

Myślę, że potrzebujemy tej opowieści, by przywrócić kinu gatunków jego rytualną moc. Żeby, poza przewidywalnością i powtarzalnością, znalazło się w nim również miejsce na autentyczność. Horrory wyrosłe z zajawki, potrzeby albo szacunku dla pragnień widowni łatwo dziś rozpoznać – mają najczęściej imponującą stopę zwrotu.

W trakcie seansu „Obsesji" myślałem intensywnie o polskim kinie. O tym, że zacznę wybaczać mu jeszcze mniej. Budżet filmu Barkera to jeden telefon do lokalnego króla wędlin albo udana sesja w PISF-ie. Okres zdjęciowy: dwa tygodnie, zaś ekipa: kilkanaście osób z odpowiednio poustawianymi priorytetami, czyli bez ciśnienia na arcydzieło.

I tu zaczynają się schody. No bo przecież najpierw ktoś musiałby się schylić po horror i pomyśleć o nim tak: „A co, gdybym zrobił film dla wszystkich – młodych i starych, samotnych i zakochanych, kobiet i mężczyzn, sceptyków i pasjonatów kina grozy?". Później ten tajemniczy ktoś musiałby wziąć się za destylowanie współczesnych lęków. Tyle że w lekkiej i bezpretensjonalnej formie, zapraszając widza na karuzelę strachu i jednocześnie oferując dobrą zabawę. A to już przesada, prawda? ©

Pojugosłowianin

JULIUSZ PIELICHOWSKI

PISARZ | Jego powieści uważane są za niebezpieczne. Nigdy nie miał spotkania autorskiego w rodzinnym Prijedorze. Dla swojego miasta po prostu nie istnieje.

Z Darkiem Cvijeticiem spotykam się w ogródku restauracji na obrzeżach miasta. Pod nami, w bujnych zaroślach spowijających brzeg kameralnej rzeki, toczy się intensywne, choć skryte życie przyrody w pełni rozkwitu.

– Dla Prijedoru jestem tym, kim dla Drohobycza był Bruno Schulz – stwierdza Darko w jednym z pierwszych, wypowiadanych powoli i z namysłem zdań. W jego oczach nie dostrzegam jednak śladu dumy ani nawet zwykłej radości.

Prijedor nie imponuje rozmachem. Nie jest też celem turystów, którzy, jeśli w ogóle zjawią się w okolicy, zostawiają go szybko za sobą w drodze na południe. Położony w północno-zachodniej Bośni i Hercegowinie nad spokojną Saną, tuż przy bośniacko-chorwackiej granicy, żyje rytmem prowincjonalnego miasteczka. W niewielkim centrum na krótko przykuwają uwagę raczej skromne gmachy miejskiego teatru oraz Biblioteki Narodowej im. Cyryla i Metodego, której tradycje sięgają XIX w. Zabytków prawie tu nie ma.

Najnowsze dzieje Prijedoru to jedna z najboleśniejszych kart wojny w Bośni. W 1992 r. stał się on miejscem masowych prześladowań ludności bośniackiej i chorwackiej, a okoliczne obozy Omarska, Keraterm i Trnopolje przeszły do historii jako symbole czystek etnicznych.

Mozaika

Przywołanie Schulza w kontekście Prijedoru mnie intryguje. W rozmowie szybko pojawia się także Danilo Kiš, jeden z najwybitniejszych prozaików wywodzących się z tej części świata. Dopytuję Darka, co sprawia, że są mu tak bliscy.

– Zdania wręcz uginające się od pełnych przepychu opisów, środkowoeuropejski klimat i świat, który przepadł w Holokauście. Ale przede wszystkim zapach. Obaj potrafią nieść zapach kwiatu przez całe opowiadanie. To rzadko spotykane mistrzostwo.

Nazwiska Schulza i Kiša w kontekście prozy Cvijeticia mogą zaskakiwać. Styl autora „Windy Schindlera" wyróżnia się oszczędnością środków wyrazu, poetycką kondensacją i dokumentalną wręcz precyzją. Próżno też szukać u niego patosu czy hiperboli – narracja zbudowana jest zazwyczaj z krótkich, sugestywnych scen i pozornie zwyczajnych detali.

Fragmentaryczna w swej istocie proza przywodzi na myśl mozaikę – wspomnień, świadectw i obrazów, z których wyłania się doświadczenie rozpadu Jugosławii, odsłaniając skalę wojennej przemocy. Charakterystyczne jest też dla niego zacieranie granic między reportażem, autobiografią, poezją i fikcją literacką, co być może najbardziej zbliża go do autora „Sklepów cynamonowych".

Podczas naszego spotkania – i w późniejszej korespondencji – wielokrotnie powraca temat języka. Dla autora „Windy Schindlera" to kwestia wyjątkowo delikatna i skomplikowana, o czym najlepiej wiedzą tłumacze jego książek na język polski, Dorota Jovanka Ćirlić i Miłosz Waligórski.

Operując kontrastem między oswojoną codziennością i wybuchającym w jej sercu niespotykanym okrucieństwem, za pomocą języka prostego, a zarazem zrytmizowanego i obfitującego w metafory, Cvijetić ukazuje, jak wojna po dziś dzień przenika zwykłe życie i pamięć.

– Język jest jak tkanka, jak ciało, jak żywa materia – mówi. – Z pewnością nie istniejemy bez języka i nie potrzebujemy Wittgensteina ani Heideggera, żeby to zrozumieć czy odczuć. Dziś moją jedyną ojczyzną jest język.

Przeczucie

Darko Cvijetić urodził się w 1968 r. w Ljubiji, górniczej osadzie nieopodal Prijedoru. Choć znany jest przede wszystkim jako pisarz, z wykształcenia jest aktorem i reżyserem, a swoje życie zawodowe związał z teatrem. Do dziś podkreśla znaczenie studiów w Zagrzebiu, mimo iż powrócił po nich do rodzinnego Prijedoru i wciąż zatrudniony jest tu w miejskim teatrze na stanowisku dramaturga.

– Teatr to miłość do wyobraźni, do świata, który jest dla nas widzialny, a jednak zazwyczaj pozostaje niezauważony. Teatr uratował mnie podczas wojny. Miałem przywilej pracować w teatrze, gdy nastąpiła eksplozja nienawiści. Wcześniej Zagrzeb „oczyścił" moje spojrzenie na teatr i w jakimś sensie otworzył przede mną jego drzwi. Jednak wojna wywróciła wszystko do góry nogami i sprawiła, że centralne stało się pytanie, czy w ogóle jesteśmy jeszcze ludźmi?

Cvijetić debiutował w 1990 r. tomem poezji „Noćni Gorbačov" („Nocny Gorbaczow"). Książka ukazała się w 1990 r. w Belgradzie, stolicy Jugosławii. Pytam Darka, czy jako młody poeta czuł, że zbliża się wojna domowa.

– Niejasno – odpowiada. – Było to raczej przeczucie, o którym bałem się myśleć wprost. Pochodzę z rodziny jugosłowiańskiej, jestem synem Chorwatki i Serba. Możliwość konfliktu nigdy nie była przez nich traktowana poważnie. Wojna zbliżała się wielkimi krokami, ale dostrzegam to dopiero teraz, z perspektywy czasu, w drobnych zmianach, jakie zachodziły, a których wtedy nie byłem w stanie rozpoznać ani zrozumieć. Dlatego byliśmy zupełnie nieprzygotowani i zszokowani. Byłem młodym, obiecującym jugosłowiańskim poetą, który w ciągu jednego dnia stracił język i ojczyznę.

Dziś, po przeszło trzydziestu latach od podpisania układu w Dayton (1995), kończącego wojnę w Bośni i Hercegowinie, Cvijetić konsekwentnie określa się mianem pisarza pojugosłowiańskiego. Powojenne porządki, choć zapobiegły dalszemu rozlewowi krwi, oznaczały definitywny koniec świata, który dla co najmniej dwóch pokoleń był „światem domyślnym".

– Dopóki istnieję, idea południowosłowiańska będzie żyła we mnie. Określenie „pisarz pojugosławiański" jest ra-

DRAGAN MUJAN / MATERIAŁY PRASOWE NOIR SUR BLANC

Darko Cvijetić na ulicy w Belgradzie, czerwiec 2023 r.

czej wyzwaniem rzuconym w twarz tym, którzy zatruwali i zabijali tę ideę. Jestem zarówno Chorwatem, jak i Serbem, ale można też powiedzieć, że jestem „po-Jugosłowianinem", ponieważ nie jestem ani Serbem, ani Chorwatem. Mam w sobie nawet trochę krwi polskiej. A język, którym mówię i piszę, zawdzięczam w równym stopniu Chorwatom, co Serbom.

Piętra

Znad Sany ruszamy w stronę Czerwonego Wieżowca, opisanego w „Windzie Schindlera" – miejsca, w którym Darko przeżył niemal całe swoje życie. O tym właśnie rozmawiamy – i milczymy – jadąc wąskimi ulicami tonącego w popołudniowym słońcu miasteczka; o życiu, które całe upływa w jednym miejscu. Za sprawą „Windy Schindlera" Cvijetić stał się – po części wbrew własnej woli – kronikarzem najnowszej historii Prijedoru. Historii, o której wielu jego mieszkańców chciałoby definitywnie zapomnieć.

Choć w zgodnej opinii krytyków „Winda Schindlera" jest jedną z najważniejszych powieści o wojnie w Bośni i Hercegowinie, wojna pozostaje w niej niemal niewidoczna. Opowieść osnuta jest wokół wydarzeń, jakie na przestrzeni lat mają miejsce w jednym bloku, którego mieszkańcy do 1992 r. tworzyli harmonijną mozaikę narodowości. Wybuch wojny czyni wyłom w codziennym życiu społeczności. Kolejne mieszkania, krok po kroku, pustoszeją po deportacjach, egzekucjach i ucieczkach.

Tytułowa winda staje się świadkiem rozpadu wspólnoty, przewożąc ludzi pomiędzy piętrami, nie potrafiąc ocalić ich przed destrukcyjną siłą historii. Prijedor i budynek nie są jedynie tłem wydarzeń – to bohaterowie tej prozy.

Czytając Cvijeticia, trudno oddzielić autora od miasta, które mówi jego głosem: cichym, pozbawionym patosu, ale uparcie przypominającym, że pamięć nie kończy się wraz z wojną.

– Pamięć jest zarówno obowiązkiem wobec niewinnych ofiar, jak i przekleństwem, które nosisz w sobie niczym węża owiniętego wokół szyi. Prijedor wybrał milczenie i brak konfrontacji z tym, co się wydarzyło, podczas gdy rewizjoniści przepisali fakty historyczne. Moje powieści są tu „niebezpieczne". Nigdy też nie miałem spotkania poświęconego którejś z moich książek w bibliotece w Prijedorze. Dla mojego własnego miasta po prostu nie istnieję.

Gdy jedziemy ciasną, klaustrofobiczną windą do jego mieszkania, w pewnym momencie Darko zatrzymuje ją miedzy piętrami i bez słowa wskazuje na ciemny ślad na ścianie.

Dopiero po chwili mówi: – Ponad trzydzieści lat.

Humor

Powieści Cvijeticia „Dlaczego na podłodze śpisz", „Winda Schindlera" czy ostatnia „To za dużo dla mnie" składają się z krótkich scen, urywków rozmów, wspomnień.

– Nie dokonuję świadomego wyboru tematu ani formy – mówi ich autor. – Wszystko to jak gdyby zjawia się przede mną. To forma otwiera się na temat.

W świecie Cvijeticia najdrobniejszy detal jest potencjalnym świadectwem, a każde przemilczenie mówi – a często krzyczy – o przemocy dobitniej niż długi opis. Jego twórczość przekracza granice literatury dokumentu i fikcji. W swojej hybrydycznej z natury prozie nie rozstrzyga on sporów historycznych, lecz pokazuje, ↦

↦ jak wojna wciąż jest obecna w codziennych gestach, języku i pamięci, i jak wiele pozostaje jeszcze do opowiedzenia i przepracowania.

– Wojna domowa to tak rozległy temat, że czasami wydaje mi się, że wciąż brakuje pisarzy, którzy zdołają go udźwignąć. Choć wiem przecież, że to nie jest prawda.

Choć proza Cvijeticia opowiada o wojnie, traumie i pamięci, ważnym jej elementem jest komizm, oparty na grotesce, ironii i czarnym humorze. Śmiech, często upiorny, staje się sposobem oswojenia rzeczywistości, w której przemoc i śmierć przenikają codzienne życie.

W „Czemu na podłodze śpisz?" jest on często konsekwencją dziecięcej perspektywy, a zwyczajne sytuacje zderzone zostają z absurdem wojny. W „To za dużo dla mnie" komizm ma bardziej gorzki i refleksyjny charakter. Autor ukazuje bohaterów próbujących żyć z ciężarem wojennych wspomnień. Ironia demaskuje pustkę nacjonalistycznych sloganów i oficjalnych narracji, a tragikomiczne sceny pokazują, że po wojnie absurd nie znika – staje się częścią codzienności. Cvijetić wykorzystuje komizm jako narzędzie demitologizacji wojny. Zamiast heroicznych postaci przedstawia zwykłych ludzi, którzy żartem próbują zagłuszyć lęk i bezradność.

Gdy dopytuję o ten aspekt jego twórczości, Darko przyznaje, że ucieczka w humor była jedną z podstawowych strategii radzenia sobie z przerażającym obliczem wojennej rzeczywistości.

– Poczucie nierealności tamtych wydarzeń z upływem czasu tylko narastało. Dzisiejsze pokolenie nie jest w stanie pojąć radykalności wojny, sprowadzenia człowieczeństwa do minimum, bestializacji ludzkiej natury. Nie potrafi pojąć, że świat może z dnia na dzień wywrócić się do góry nogami, że nagle możesz stać się wrogiem tylko dlatego, że od dziś nazywa się ciebie inaczej. Być może to strategia obronna ludzkiej psychiki, która, by przetrwać, przeciwstawia komizm absurdowi i horrorowi doświadczenia – komizm, który jest przyrodzoną częścią każdej tragedii. W miarę upływu czasu wojna wydaje się coraz bardziej nierealna. Czasami jeżdżę w miejsca, których nazwy wiążą się z moimi wojennymi doświadczeniami, i niekiedy nawet tylko myśląc o tych słowach, nie wierzę, że przeżyłem.

Darko Cvijetić,
TO ZA DUŻO DLA MNIE,
tłum. Dorota Jovanka Ćirlić,
Noir sur Blanc 2026

Polityka

Najnowsza powieść Cvijeticia „To za dużo dla mnie", choć podejmuje te same wątki, co wcześniejsze książki, przynosi także istotne przesunięcia. Głównym bohaterem jest Filip Latinović, skazany przez Międzynarodowy Trybunał Karny za zbrodnie przeciwko ludzkości. Po blisko dwudziestu latach spędzonych w norweskim więzieniu wraca do Bośni, próbując odnaleźć się w rzeczywistości, która pozornie zostawiła za sobą bolesną przeszłość.

Powrót okazuje się jednak większym wyzwaniem, niż sam zainteresowany mógł się spodziewać. Latinović nie potrafi uwolnić się od poczucia winy i wspomnień o wojnie, podczas gdy część mieszkańców rodzinnych stron traktuje go jak bohatera i obrońcę ojczyzny.

Powieść Cvijeticia nie stanowi ani aktu oskarżenia, ani tym bardziej próby usprawiedliwienia skompromitowanego protagonisty. Interesuje go przede wszystkim psychologiczny portret człowieka żyjącego z konsekwencjami własnych czynów. Latinović spotyka dawnych towarzyszy broni, staje twarzą w twarz z rodzinami ofiar i stopniowo uświadamia sobie, że nawet wieloletnia kara więzienia nie zamyka przeszłości.

Najtrudniejszą próbą okazuje się funkcjonowanie w społeczeństwie, które jednocześnie pamięta o zbrodniach i wypiera je ze zbiorowej świadomości. O ile w swoich wcześniejszych powieściach Cvijetić opowiadał przede wszystkim o doświadczeniach ofiar, świadków i ocalałych, tutaj oddaje głos sprawcy. Dzięki temu stawia pytania nie tyle o przebaczenie, ile o możliwość życia w cieniu własnych win oraz o moralną kondycję społeczeństwa gotowego zaakceptować powrót człowieka odpowiedzialnego za wojenne zbrodnie.

Gdy dopytuję o czas, jaki nastał po zakończeniu wojny i ukonstytuowaniu się Bośni i Hercegowiny w jej dzisiejszym kształcie (Prijedor pozostaje w granicach Republiki Serbskiej, jednej z dwóch składowych Bośni i Hercegowiny) – Darko nie ma wątpliwości, że okres powojenny nie przyniósł tak bardzo potrzebnego *katharsis*.

– Wojna w rzeczywistości trwała dalej, choć nie przy użyciu broni, a na wszystkich możliwych frontach – w kulturze, w sporcie, w sferze edukacji czy administracji państwowej. W Prijedorze, jak to wielokrotnie w historii bywało, zbrodniarze każdego dnia mijają się na ulicy z ludźmi, których trzy dekady wcześniej bili i poniżali w obozach. A i tak mówimy o szczęśliwcach, którzy przeżyli. Niestety, bieżąca polityka tu, w Republice Serbskiej, wciąż żywi się tym napięciem.

Słowa

Już po powrocie do Polski przypominam sobie jedno słowo, które kilkakrotnie padło z ust Darka podczas naszego lipcowego spotkania w Prijedorze. Za każdym razem wypowiadał je ze zmrużonymi oczami – jak zresztą wiele innych słów, które dotykały najgłębszych traum, z jakimi do dziś mierzy się on i wszystkie pojugosławiańskie narody: *oplakotina*.

W jednym z listów, jakie wymieniamy w kolejnych tygodniach, pisze: „To neologizm odwołujący się do trzech źródeł, trzech innych słów, i łączący w sobie je wszystkie: ranę, oparzenie od ognia i żałobę. To rana, jaką zadaje ci płacz".

Sięgam po tom Darka „Śnieg robił wszystko, żeby nie spaść", opublikowany u nas dwa lata temu w ramach serii Europejski Poeta Wolności, w przekładzie Miłosza Waligórskiego, i czytam słowa otwierające wiersz „Opłaczenina": „słowa zawisły w powietrzu / ledwo zebrałem z nich / oddech".

© JULIUSZ PIELICHOWSKI

▪ *Ewa Ewart,*
DO OSTATNIEGO ODDECHU, *TVN24+*

Żeby zrozumieć procesy globalne, trzeba pokazać konkrety – brzmi *credo* reżyserki filmów dokumentalnych Ewy Ewart. Najnowszy obraz, „Do ostatniego oddechu", opowiada o zanieczyszczeniu powietrza i zrobiony jest z rozmachem oraz pomysłem. Jego bohaterami są na równi doświadczające katastrofalnej dewastacji środowisko i my, mieszkańcy planety. Ale w dokumentach Ewart, wbrew pozorom, nie ma tylko katastrofizmu. Relacje z miejsc, gdzie oddychanie brudnym powietrzem to śmiertelne zagrożenie, zawierają też

przykłady ludzkiej kreatywności i nieustępliwości w przeciwstawianiu się niszczeniu środowiska i zagrożeniu życia. Te miejsca, od Krakowa, przez Londyn, Chile, Republikę Południowej Afryki, Kalifornię czy metropolię Lahore w Pakistanie, połączone są nie tylko historią skażenia i katastrofy ekologicznej, ale również obywatelskiego oporu i uporu w walce o lepsze warunki życia. W każdym z tych miejsc są ludzie, którzy nie godzą się na zagrożenie smogiem i nie chcą się biernie przyglądać temu, jak oddychanie staje się śmiertelnym ryzykiem. Widząc śmierć bliskich, mobilizują się do działania. Dokument Ewart to nie kolejny obraz z gatunku „eko-filmów". Miejsca, często brzydkie, jak kopalnie i elektrownie, sfilmowane są tutaj tak, aby opowieść dokumentalna była nie tylko przestrogą (rocznie z powodu złej jakości powietrza umiera około 8 mln ludzi), ale również przykładem dobrego rzemiosła filmowego.
©℗ JACEK STAWISKI

▪ **DARY PRZYJAŹNI**,
Muzeum Sztuki w Łodzi,
ms¹ (ul. Gdańska 43)
i ms² (ul. Ogrodowa 19)

Kiedy w sierpniu 1981 r. Joseph Beuys przywiózł do Łodzi skrzynię wypełnioną grafikami, fotografiami i dokumentacją trzech dekad swojej pracy, gest ten miał znaczenie, które wykraczało daleko poza samo powiększenie muzealnej kolekcji. Akcja „Polentransport" była aktem solidarności ze światem, który za kilka miesięcy miał zostać odcięty stanem wojennym od reszty Europy, i przypomnieniem, że sztuka bywa jednym z niewielu języków, w których taka solidarność w ogóle może się wyrazić. Czterdzieści pięć lat później Muzeum Sztuki w Łodzi znów sięga po ten gest, tym razem w skali, jakiej instytucja nie znała od czasu swoich narodzin. „Dary przyjaźni" otwarte w obu łódzkich oddziałach muzeum – ms**1** przy ulicy Gdańskiej i ms**2** w dawnej tkalni Manufaktury przy Ogrodowej – to prezentacja blisko 150 prac przekazanych do kolekcji w latach 2024–2026 przez osiemdziesięciu artystów z kilkudziesięciu krajów. Liczby

MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM SZTUKI W ŁODZI

robią wrażenie, ale nie o nie tu chodzi. Muzeum postanowiło zapytać ponownie o coś, co legło u jego podstaw niemal sto lat temu: czy możliwa jest jeszcze wspólnota budowana poprzez zaufanie? Fundament kolekcji – Międzynarodowa Kolekcja Sztuki Nowoczesnej grupy „a.r." – powstał w 1931 r. właśnie z darów: Hansa Arpa, Maxa Ernsta, Fernanda Légera, Kurta Schwittersa. Władysław Strzemiński, Katarzyna Kobro, Henryk Stażewski, Jan Brzękowski i Julian Przyboś nie tyle gromadzili dzieła, ile zaprojektowali instytucję opartą na wymianie. To założycielskie przekonanie, że muzeum jest przestrzenią odwzajemniania, a nie tylko przechowywania, wróciło w 2024 r., gdy nowa dyrekcja skierowała do środowiska artystycznego list przypominający tamten gest. Odzew okazał się największą falą darów od czasu kolekcji „a.r.". Kuratorka wystawy, Barbara Piwowarska, formułuje to jako projekt świadomie ahistoryczny w sensie metody, ale precyzyjnie osadzony w historii instytucji. Daniel Muzyczuk, dyrektor muzeum, nie kryje, że akcja miała również wymiar instytucjonalnie strategiczny: „Kolekcja nie jest zamkniętym zbiorem obiektów, ale żywą infrastrukturą relacji i zobowiązań. Kiedy zwróciliśmy się do ludzi sztuki z prośbą o wsparcie, muzeum wychodziło z kryzysu. Chodziło nam nie tylko o wzbogacenie kolekcji, ale także o pomoc w powrocie na arenę międzynarodową i odbudowę zerwanych relacji" – mówił w maju dla portalu Województwa Łódzkiego. Trudno o bardziej bezpośrednie przyznanie, że dar bywa także narzędziem naprawy – i że instytucje, podobnie jak ludzie, czasem potrzebują, by ktoś przypomniał im, dlaczego warto budować relacje.
©℗ JACEK TARAN

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP NA STRONIE „TYGODNIKA"

Słyszymy czasem, że wszystko wyparł folk i słowiańsko-pogańska papka, ale my mamy inne doświadczenia – mówią założyciele fundacji Muzyka Zakorzeniona. Muzyka tradycyjna to nie tylko biesiada.

Tyg-Pow.pl /potancowki

Kino w przekładzie

ANITA PIOTROWSKA

KINO | Irański reżyser wziął na warsztat „Dekalog” Kieślowskiego i zaprosił do współpracy scenopisarskiej zasłużoną tłumaczkę. Jak się udało?

Irańczycy pokochali serialowy „Dekalog”, czemu wielokrotnie dawali wyraz tamtejsi filmowcy i widzowie. Widocznie na blokowisku schyłkowego PRL-u, gdzie nie ma wolnej miłości, odnajdywali bliskie im pragnienia, moralne dylematy, społeczne napięcia, metafizyczne tęsknoty.

Nic więc dziwnego, że to sławny Irańczyk podpisał się pod pierwszą z nowych odsłon filmowej serii, stworzonej ongiś przez Krzysztofa Kieślowskiego i Krzysztofa Piesiewicza. Prawie cztery dekady temu wydestylowali oni telewizyjne „złoto”, sprzedane potem aż do siedemdziesięciu krajów. Prawa do przeróbki ich scenariuszy wykupił polski aktor Maciej Musiał i wiadomość, że za kamerą stanie w pierwszej kolejności Asghar Farhadi, brzmiała obiecująco.

Zwłaszcza że irański reżyser wziął na warsztat „Dekalog 6”, czyli jeden z najlepszych odcinków serialu, a zarazem kinowy „Krótki film o miłości”, i zaprosił do współpracy scenopisarskiej Massoumeh Lahidji, zasłużoną tłumaczkę. Okazało się jednak, że nie jest to pierwszy u Farhadiego przypadek (patrz: nakręcone w Hiszpanii „Wszyscy wiedzą”), kiedy właśnie w przekładzie – ekranowym, kulturowym, językowym – gubi się gdzieś psychologiczna przenikliwość i narracyjny geniusz twórcy „Rozstania”. A przy okazji sam Kieślowski, co akurat w tym przypadku mogło być intrygującym wyzwaniem.

Czy rządzi nami ślepy przypadek, czy ktoś pisze scenariusz naszego życia? Film „Historie równoległe” jedynie po wierzchu odnosi się do opowieści o młodym nieśmiałym pocztowcu podglądającym wyzwoloną kobietę z naprzeciwka. Farhadi niemal od razu wskakuje na wysokie C, na poziom meta, i losy bohaterów zostają wzięte w filozofujący cudzysłów.

Nie tylko dlatego, że jedną z głównych postaci jest paryska pisarka (Isabelle Huppert), która podpatrując przez teleskop trójkę sąsiadów czerpie z ich życia literacką inspirację, ale też projektuje na nich wyobrażenia i egzorcyzmuje swoje demony. Kiedy w charakterze pomocy domowej zamieszka u Sylvie bezdomny Adam, weźmie on jej powieść za rzeczywistość.

Jeszcze bardziej obsesyjnie zaczyna interesować się pracującym w przeciwległej kamienicy dźwiękowcem (Vincent Cassel), jego młodszym współpracownikiem (Pierre Niney) i przede wszystkim zatrudnioną tam kobietą (Virginie Efira). Nieważne, że powieściowa Anna tak naprawdę okazuje się Nitą, Pierre jest Nicolasem, zaś Christophe to w rzeczywistości Théo i wszyscy oni wiodą życie dalekie od literackich fantazji. Życie zacznie w końcu naśladować fikcję, nie na odwrót, a samo obserwowanie i opisywanie znacząco wpłynie na obserwowanych i opisywanych.

Farhadi skroił z tego wykwintną konfekcję, gotową na canneński festiwal, z broszką w postaci Catherine Deneuve grającej wydawczynię. Uszlachetnił tę miłą dla oka, misternie zapętloną historię piętrowymi iluzjami i aluzjami – przywołując mysie gniazdo z „Niebieskiego”, kluczową scenę z „Krótkiego filmu o zabijaniu”, to znów motywy wizualne z „Bez końca” i „Podwójnego życia Weroniki”. Losy bohaterów bezustannie się tu krzyżują bądź odbijają w sobie nawzajem. Poza tym oglądamy film nie tylko o podglądaniu (prawie wszyscy tu kogoś szpiegują), lecz także o podsłuchiwaniu, co odsyła wprost do „Czerwonego”.

Dołóżmy nawiązania do innych odcinków „Dekalogu”, włącznie z naśladownictwem muzyki Zbigniewa Preisnera, a otrzymamy kino zagęszczone rozmaitymi pomysłami, choć przez to dalekie od czystości serialowej „szóstki”. Tam były niedopowiedzenia i subtelne emocje, tu jest popisowa łamigłówka, gwiazdorska obsada i recykling w hołdzie polskiemu mistrzowi. Tak jakby „Dekalog” został przepuszczony przez kosmopolityczne „Trzy kolory” i jednocześnie oderwany od mięsa współczesności.

„Historie równoległe” lepiej przylegałyby do naszych czasów, gdyby na przykład pogłębiły wątek dzisiejszych panoptykonów i technologii inwigilacyjnych, nie tylko w służbie prywatnego stalkingu. A skoro bohaterowie pracują przy udźwiękowianiu filmów, mogłoby to być przyczynkiem do większego namysłu nad dzisiejszym fabrykowaniem iluzji.

Widać zresztą, że książka z referencjami wykracza poza uniwersum Kieślowskiego, będzie jednak nadużyciem przywoływanie tutaj „Powiększenia”

MATERIAŁY PRASOWE

HISTORIE RÓWNOLEGŁE
(„Histoires parallèles”) – reż. Asghar Farhadi. Prod. Belgia/Francja/ /USA/Włochy 2026. Dystryb. Monolith Films. W kinach od 14 sierpnia.

Asghar Farhadi zadebiutował w Iranie filmem „Tańcząc w pyle” (2003), ale przełomem było „Co wiesz o Elly?” z 2009 r. Dwa lata późniejsze „Rozstanie”, nagrodzone m.in. Oscarem i Złotym Niedźwiedziem, ugruntowało jego mistrzowską pozycję zarówno w ojczyźnie (nakręcił tam jeszcze „Klienta” i „Bohatera”), jak i w Europie (gdzie powstała „Przeszłość” i „Wszyscy wiedzą”).

Na zdjęciu: Isabelle Huppert w filmie „Historie równoległe”

Antonioniego czy „Rozmowy” Coppoli – za dużo w „Historiach” eleganckiej obyczajówki. Irańskiego twórcę nie interesuje także problematyka transkulturowa, podobnie jak w filmie „Przeszłość” (2013), pierwszym tytule nakręconym przezeń na obczyźnie, z irańskim aktorem, ale z dala od imigranckich doświadczeń.

Nowy film otwiera scena w noclegowni, gdzie poznajemy głównego bohatera, przyszłego lokatora pisarki. Gra go Adam Bessa, francuski aktor o korzeniach tunezyjskich, nie ma to jednak, mimo zbieżności imion odtwórcy i postaci, większego znaczenia. Podobnie jak czas akcji – osadzonej niedługo po paryskich zamachach terrorystycznych z 2015 r. Fabuła woli meandrować pomiędzy dość generycznymi realiami a literacką fikcją.

Farhadi, specjalista od arcyludzkich dramatów wpisanych w skomplikowane konteksty społeczne swego kraju, wydaje się na Zachodzie ciągle obcy (w czym trochę przypomina późnego Kieślowskiego), chociaż mieszka tu z przerwami od piętnastu lat. Ów dystans mógł przynieść coś odświeżającego – i w spojrzeniu na dzisiejszą Europę, i wobec polskiego pierwowzoru, także w kontekście etycznym.

Pisarka z „Historii równoległych” bezwstydnie eksploatuje intymne życie swoich sąsiadów, a młody lokator dodatkowo pasożytuje na jej pisaniu, żeby mieć na czyjeś życie realny wpływ. Ale, co znaczące, najmniej jest tu filmu o samej miłości – jako źródle cierpień, pretekście do manipulacji i zarazem sile zmieniającej życie.

I to dojrzała kobieta, nie młody podglądacz, okazuje się w „Historiach” główną ofiarą. Tyle że z przesunięcia akcentów niewiele dla filmu wynika, poza banalną konstatacją, że ani twórczość artystyczna, ani najbardziej namiętne uczucia nie mogą usprawiedliwiać zawłaszczania drugiej osoby czy żerowania na jej życiu. I że w spotkaniu z drugim człowiekiem coraz trudniej nam się przebić przez percepcyjne i poznawcze filtry. Film Farhadiego niby je demaskuje i błyskotliwie nimi gra, ogląda się go jednak niczym przez teleskop – z zaciekawieniem, chwilami nawet z pewną ekscytacją, lecz prawie nie dotykając żywych ludzi. ©

Lektor:
Nowy Bonowicz

▪ *Wojciech Bonowicz,* **BARDZO**, *Wydawnictwo a5, Kraków 2026*

Nie mówię wiele | bo co tu mówić?” – tak kończy się ostatni utwór tego tomu, piękne „Kropiwki” – zapis porannego budzenia się świata (już nie w mieście – zmiany, zmiany). „Łudzącą, lecz nieudawaną prostotę” dostrzegł kiedyś u Bonowicza Piotr Śliwiński, pisząc też o wierszu oszczędnym, ale nie suchym. Wszystko to nadal aktualne, choć od debiutanckiego „Wyboru większości” minęło ponad 30 lat.

Dlaczego „Bardzo”? Bo poeta, jak sam tłumaczy, bardzo lubi ten przysłówek, który podbija wszelkie przymiotniki, i martwi go, że wypiera go dziś słowo „strasznie”. „Dobrze jest przeżywać życie »bardzo«, to znaczy być na tym życiu skupionym”.

Bonowicz jako pisarz, bo nie tylko w wierszach, ale i w prozie, a także – powiem to, choć może przekraczam jakąś granicę – jako człowiek, staje po stronie afirmacji. Nienatrętnej, nieostentacyjnej. To raczej życzliwość wobec świata niż ekstatyczny nim zachwyt. Powściągliwość nie oznacza przecież obojętności. Skupiamy się w ciszy, nie w zgiełku zbędnych słów. A czuła mikroobserwacja może wyrazić więcej niż hymn pochwalny.

Choć przecież zło nadal istnieje. Tyle że gdy skupiamy się na nim za bardzo – łatwo się nim zainfekować. Być blisko rzeczywistości, nawet bardzo blisko – to co innego. Wolno wtedy zadawać wszelkie pytania. Także o własny los i jego sens, o własne wybory, o życie, które staje się z upływem lat „coraz prostszym obrazkiem”.

A czy kot przeżywa swoje życie bardzo? Obserwując, z jaką starannością myje sobie futerko i pyszczek, jak żywiołowo potrafi okazać radość, jak intensywnie mruczy, zadowolony – nie mam wątpliwości.

Skąd jednak w ogóle kot? Czytelnicy felietonów Bonowicza wiedzą sporo o Leonie i jego pobratymcach, a że sam pożegnałem po dwudziestu latach wiernego kociego przyjaciela, chciałem na koniec przytoczyć mój ulubiony teraz wiersz z tej książki. Nosi on tytuł „Powinniśmy żyć jak koty”, a brzmi tak: „Spać kiedy to możliwe. Okazywać czułość | tym którzy nas karmią. Pilnować żeby nikt | nie wszedł i nie wyszedł niezauważony. Myć twarz | mokrą ręką a resztę ciała językiem. Zakopywać | swoje nieczystości”. Z językiem i brakiem futra tylko kłopot, poza tym – bardzo! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Woda na młyn

Pół litra do posiłku: bezdyskusyjnie słuszne. Proszę nie przewracać kartki, nie będę dziś zamęczał swoją misją dionizyjską, mogę wziąć kaznodziejski urlop – skoro wszyscyście poszli ławą na „Odyseję", to jesteście chwilowo zanurzeni w kulturze śródziemnomorskiej i bez specjalnej zachęty będziecie praktykować jeden z jej z fundamentów, jakim jest umiarkowane picie wina. Żeśmy ze Słowian, to wcale nic nie szkodzi, będzie nam dane, byle znać słuszną miarę.

Otóż poznałem kiedyś natchnionego winiarza Stanko Radikona, obywatela Włoch, ale Słoweńca, który na pograniczu tych dwóch krajów i mentalności, szczęśliwie złączonych niegdyś pod berłem najjaśniejszego pana, zanim się nabuzowane szalejem łobuzy nie dorwały do pisania historii bagnetami zamoczonymi w etnicznym jadzie, a muchy do imentu napstrzyły na portret epoki, o której nie ma pewności, czy była jakkolwiek nasza... basta, już bez tej nostalgii wartej tyle co magnes z cesarzową Sissi na lodówkę, chciałem tylko powiedzieć, że ów winiarz znany był z kontestowania standardowej handlowej pojemności zero siedemdziesiąt pięć, swoje zaś kultowe, pożądane przez kolekcjonerów wina zamykał w butelki półlitrowe, bo taką ilość uważał za słuszną dla jednej osoby, oraz litrowe – wystarczające na obiad dla dwojga.

Nie będzie też o innym skojarzeniu półlitrowego szkła, szczęśliwie tamto pole semantyczne zarasta już chwastem wraz ze stopniowym rozprostowaniem kołtuna tożsamości polskiej związanej długo z przymusem spożywania destylatów w ilości przesadnej. Przez to sławny w minionej słusznie epoce dowcip powtarzany na korytarzach instytutów filozofii „Co to jest nic? To pół litra na trzech" przestaje być zrozumiały. Chętnie się dowiem, jak sobie radzą z tym zagadnieniem dzisiejsi wykładowcy na kursie ontologii dla pierwszego roku, o ile w ogóle ktoś jeszcze przerabia ze studentami Parmenidesa.

Wspominam o nim nieprzypadkowo, bo choć wydaje się ciężkostrawny w swoim zafiksowaniu na niezmienności bytu, ma pewien związek z dietą śródziemnomorską, opowiadałem wam kiedyś ze szczegółami, jak to nieopodal jego miasta Elei zamieszkał w XX w. amerykański fizjolog Ancel Keys, który całą tę dietę, niby taką powszechną i odwieczną, sobie w dużej części wymyślił. Dla dobra ludzkości, ale jednak wymyślił. Tym, co pozostaje dobrze źródłowo podparte w kwestii „pradawnych" zwyczajów żywieniowych na tym obszarze, jest fakt, iż nasi przodkowie Grecy dolewali wodę do wina.

Po bez mała trzech tysiącleciach jesteśmy w epoce, gdy pić samą wodę bez wina czy jakichkolwiek dodatków bakteriobójczych jest prawie wszędzie i prawie zawsze bezpieczne dla zdrowia. I dlatego zajmiemy się dziś nią, w drodze wyjątku, bo w rubryce poświęconej smakom jakoś dziwnie jest pisać o czymś, co z zasady smaku nie ma (kuracjuszom sączącym Zubera albo Wielką Pieniawę życzymy zdrowia, ale prosimy ich o ciszę, my nie o takiej wodzie).

FRASER BAND / ALAMY / BE&W

Pół litra wody do posiłku w restauracji za darmo – taką normę rząd wpisał do jednego z projektów ustaw, co w środku morderczego lata wydawało mi się zacną formą populizmu. Oraz cywilizacyjnym skokiem w stronę paru krajów, do których lubimy wzdychać, takich jak Francja, Hiszpania i Anglia (gdzie prawo nakazuje dawać wodę za darmo lokalom serwującym alkohol, ale to znaczy, że prawie wszystkim powyżej poziomu streetfoodowej budki). Z tej listy krajów, gdzie warto byłoby żyć i pić (nie tylko wodę!), wyłamują się Włochy, tam kwestia darmowej kranówki doszła zeszłej wiosny aż do Trybunału Konstytucyjnego, który przyznał rację (prawną, nie moralną) znanym z pazerności restauratorom. Ci, jak wiadomo, kurczowo nawet trzymają się instytucji „coperto", czyli opłaty wynoszącej zwykle 2-3 euro od łebka za sam fakt, że się korzysta z ich stołu, talerza i sztućców. Pochodzi jeszcze ze średniowiecza, reguluje ją ustawa z 1940 r. W kraju, gdzie drogi mają dwa tysiące lat, a popioły pompejańskie kryją bary szybkiej obsługi, to sami rozumiecie: nie ma się co spieszyć ze zmianami.

Rząd nasz jednak nie lubi tracić okazji, żeby nie zrobić głupoty nawet kiedy to nic nie kosztuje – chyba że tu kosztem były potencjalne głosy korwinistów. Serio: warto ich kokietować?

Wcale ich zresztą nie brak w szeregach partii rządzącej (polecam lekturę dorobku sejmowego posła Dowhana). Obiecuje powrót do projektu po „konsultacjach", choć nie wiem, co tu jest do konsultowania, jakby to było jakieś poważne zachwianie biznesu.

Jako dawny menedżer restauracji mogę was zapewnić, że wszystko, co „darmowe", i tak jest wliczone w cenę, mitycznie rozdęte w retoryce naszych biedabiznesmenów koszty mycia szklanki i tak się rozpuści w bilansie. Restauracja musi wyjść na swoje, pytanie tylko, jak to rozegra wizerunkowo, a w tej branży gościnność i sympatyczność to kluczowa maska. Darmowa woda jest bardzo prostym sposobem, żeby wypaść sympatycznie. Przecież polski restaurator też dolicza „coperto" do rachunku, po parędziesiąt groszy do każdej pozycji, tylko jednak nie ma tyle tupetu, żeby to ujawniać.

Ktoś powie, że tu nie chodzi o koszty zmywania, tylko utracony zysk ze sprzedaży eleganckich wód Panna czy Vittel po dwie dychy z ogromnym przebiciem? Tak, rozumiem cyferki, ale nie rozumiem, czego ktoś szuka w świecie gastronomii, jeśli bilans jego lokalu zależy w dużym stopniu od sprzedaży wody. Powietrze w puszkach, spróbujcie na tym zarabiać.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Cacio e pepe restauracyjne

Czego jeszcze nie wylicza restaurator na rachunku? Kosztów papieru toaletowego i mydła. Dobrze, że kilkaset lat temu, kiedy oberże zaczęły ściągać z gości opłatę za talerz i łyżkę (bo wielu przychodziło ze swoim prowiantem i brali tylko wino), inne były standardy toaletowe, bo inaczej Włosi by dopisywali kolejne 2 euro za „cacato", tylko nie każcie mi tłumaczyć tego dowcipu. Ale o wiele ciekawsze od zawiłych kombinacji menedżera z Excelem są oczywiście sztuczki kuchenne, czasami tylko dzięki różnym udoskonaleniom udaje się w restauracji wytworzyć rzeczy, które są normalnie niemożliwe, bo wymagają za dużo uwagi, czasu i nie dają się skoordynować z resztą produkcji.
To, o czym wam opowiem, to prosta restauracyjna sztuczka na przygotowanie sosu do makaronu cacio e pepe – jego kanoniczną, pracochłonną wersją oraz inną, podrasowaną przez dodatek skrobi przez naukowców z Instytutu Maksa Plancka, zajmowaliśmy się parę lat temu. A teraz jeszcze sztuczka kolejna. W dodatku potrzeba do niej wody z kranu!

SKŁADNIKI:
350 g spaghetti 400 g sera Pecorino Romano
30 g skrobi kukurydzianej ▪ woda z kranu – ciepła i zimna
▪ garść pieprzu czarnego

Do kielicha ręcznego blendera „z nogą" dosypujemy tarte Pecorino, uprażony na suchej patelni pieprz i około 450-500 ml ciepłej (ale nie gorącej powyżej 60 stopni) wody z kranu i miksujemy na gładką masę. Jeśli mamy duży blender, możemy jeszcze uprościć, wrzucając do naczynia ser pokrojony w grube kawałki i najpierw go redukujemy do postaci cienkich wiórów, a potem dolewamy wodę. Potem w 40 ml zimnej wody z kranu rozpuszczamy skrobię, dolewamy tę zawiesinę do serowego kremu, wszystko przelewamy do ogrzanej dużej miski. Kiedy makaron ugotuje się nam al dente w małej ilości wody (żeby stała się bardziej skrobiowa), wyciągamy go z garnka i przekładamy do miski, którą stawiamy na garnku z parującym wrzątkiem. Intensywnie mieszamy, po minucie kluski powinna spowijać lśniąca emulsja. Gdyby wydała się za gęsta, można dolać odrobinę wody z garnka. ©℗

ROBYNMAC / ADOBE STOCK

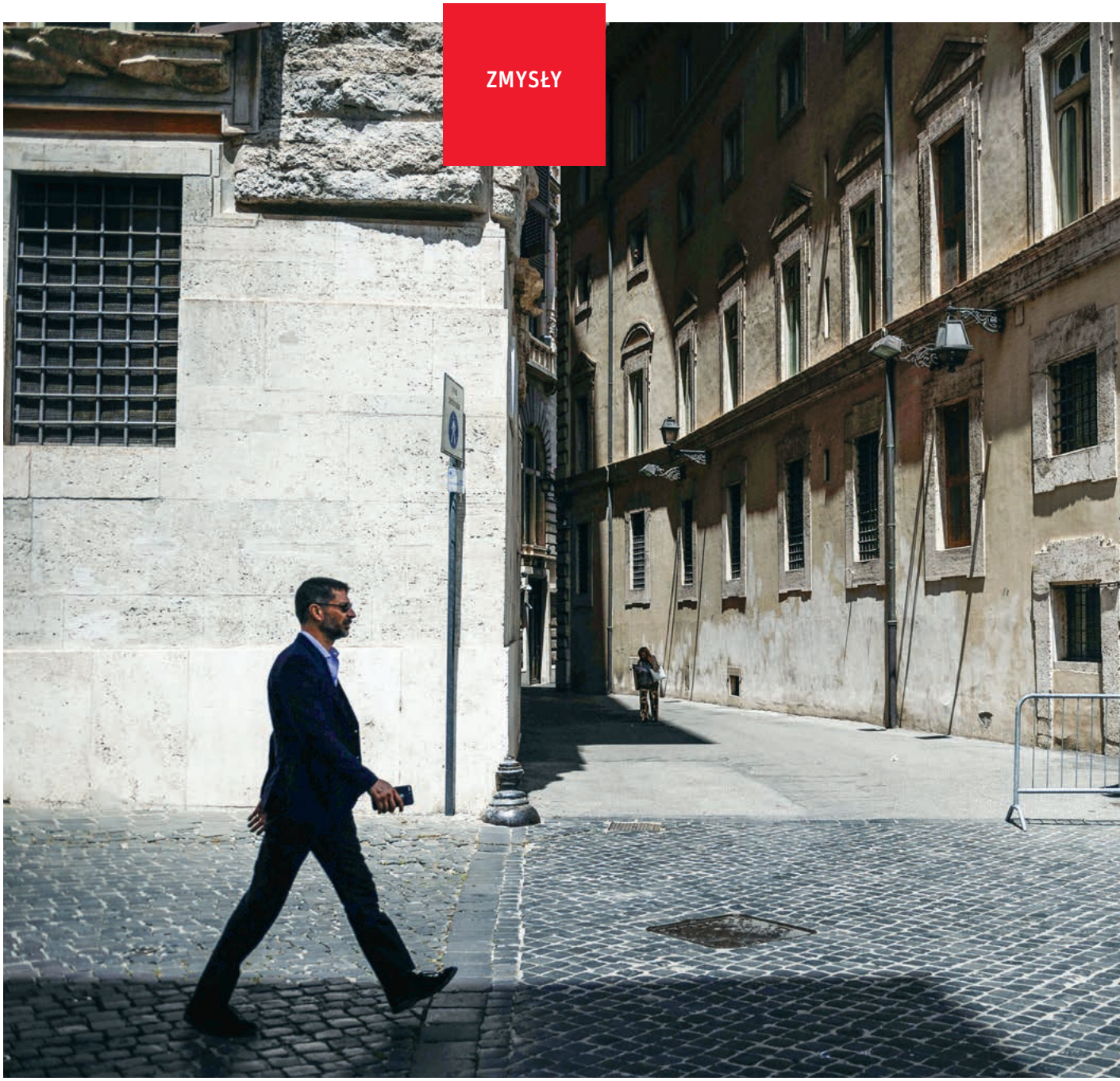

Przed Palazzo Chigi-Odescalchi na Placu Dwunastu Apostołów w Rzymie

MIASTO CYNIKÓW

NICOLA LAGIOIA, PISARZ:

Zakochałem się w Rzymie bez reszty, czule i tragicznie. W mieście, które nazywa siebie wiecznym, istnieje głęboka świadomość tego, że nic wieczne nie jest.

ANTONIO MASIELLO / GETTY IMAGES

MATEUSZ DEMSKI: Słowo najlepiej opisujące Rzym to...
NICOLA LAGIOIA: Witalność!

Dlaczego?

Rzym jest miastem, w którym spotykają się najróżniejsze historie, zobaczysz tu jednocześnie skrajną nędzę i ogromne bogactwo. Miejsce jest otwarte, a przez to pełne kontrastów. Da się tu doświadczyć wszystkiego.

Rzym to również chaos, który rozlewa się we wszystkie strony, wypuszczając kolejne odnogi. Ten bezkres przytłacza, budzi strach. Są miejsca, o których istnieniu nie wiedzą nawet rodowici Rzymianie. Kiedy już myślisz, że miasto się kończy, zza horyzontu wyłaniają się kolejne domy.

Można też powiedzieć, że Rzym to miasto cyniczne, a przynajmniej Włosi uważają mieszkańców stolicy za cyników. Mówi się złośliwie, że cynizm zajął tam miejsce wiary, bo Rzym przez 2700 lat widział wszystko, doświadczył wszystkiego, wielokrotnie umierał i powstawał z popiołów, a przez to jest w Rzymianach jakiś rodzaj rozczarowania. Sądzę jednak, że idzie za tym również pewna mądrość.

Jaka?

W mieście, które nazywa siebie wiecznym, istnieje głęboka świadomość tego, że nic wieczne nie jest. Wszystko przeminie: każdy ustrój, władza. Znane rzymskie powiedzenie mówi: „umarł papież, no to będzie następny". Nawet w obliczu najwyższej duchowej władzy wiadomo, że ona jest tu tylko na chwilę.

Jedna z Twoich powieści nosi tytuł „Dzikość". Zastanawiałem się, czy to słowo nie oddaje charakteru dzisiejszego Rzymu.

Chaos, turbulencja – owszem, podobnie jak bałagan i niedbalstwo, anarchia i zaniechanie, ale nie dzikość. Jeśli już, to świat jako taki wydaje mi się dziś miejscem dzikim, szponiastym i drapieżnym.

Nazwa Rzym, według historyków, może pochodzić od greckiego słowa *rhome*, które oznacza moc.

Siła, która była siłą Cesarstwa Rzymskiego, dawno przeminęła. W ogóle nigdzie nie ma już takiej siły i władzy na poziomie politycznym. Dalej jest to natomiast miasto o silnym duchu. Dostrzegam w nim ferment, którego czasami nawet w największych metropoliach świata nie widać.

Rzym to ludzka masa, od której trudno jest się opędzić. Czasem chciałoby się pobyć samemu, ale wtedy musisz postawić wyraźne granice, by miasto nie weszło ci do domu.

Wielu ludzi narzeka na warunki życia, turystów, niszczejące ulice pełne śmieci, ulewy, które paraliżują ruch.

Kryzysy to momenty najbardziej fascynujące w życiu każdego miasta. Z tego, co kryzysowe i trudne, powstają najlepsze historie. Nowy Jork lat 70. był miastem bezprawia, brudnym i zrujnowanym, ale przez to niesamowicie ciekawym. Małe miasta, porządne i czyste, to zazwyczaj miejsca, w których niewiele się dzieje.

W filmie noir „Trzeci człowiek" jest taki monolog Orsona Wellesa o włoskim renesansie: za czasów Borgiów we Włoszech panowały przemoc, terror i korupcja, a jednak wtedy tworzyli Leonardo da Vinci i Michał Anioł. Szwajcaria natomiast przez sześćset lat cieszyła się pokojem i demokracją. Efekt? Zegar z kukułką.

W takim razie to chyba dobrze, że w ostatnich latach Rzym okazał się miastem do cna skorumpowanym.

Chwytam Rzym w momencie politycznego trzęsienia ziemi, najwyższego stężenia kataklizmów miejskich, co w sposób niewiarygodny zbiegło się z zabójstwem, o którym piszę w książce „Ciao amore, ciao". Wyszło na jaw, że władze miasta są powiązane ze zorganizowaną grupą przestępczą.

To była gigantyczna afera korupcyjna, największa w nowożytnej historii miasta, niosła za sobą aresztowania zarówno ↦

↦ z prawej, jak i lewej strony sceny politycznej. Na to nakładają się lata złej administracji, niewłaściwa gospodarka odpadami.

Czego dotyczyły zarzuty?

Ustawionych przetargów, kupowania i sprzedawania decyzji urzędniczych, obracania milionami euro z kasy publicznej, które były przeznaczone na ośrodki dla imigrantów, azylantów, Romów, ich asymilację.

Sądzeni byli znani politycy, radni, szefowie wydziałów miejskich, prezesi spółdzielni mieszkaniowych, biznesmeni, ludzie z półświatka. Wśród nich Luca Gramazio, były lokalny lider centroprawicowej Forza Italia, założonej przez Berlusconiego, ale też członkowie Partii Demokratycznej – Andrea Tassone i Mirko Coratti.

Na przestrzeni wieków Włochy przechodziły wiele kryzysów. Ty wychowałeś się w „latach ołowiu", okresie walki i terroryzmu. To także czas porwań i krwawych zamachów bombowych.

Urodziłem się w 1973 r., pięć lat później krajem wstrząsnęło porwanie i morderstwo Alda Moro. Nie mam prawa tego pamiętać, ale to był niewątpliwy wstrząs dla całego systemu, a przede wszystkim dla zbiorowej wyobraźni Włochów.

Od Rzymu w górę, patrząc na mapę, doszło do tysięcy ataków terrorystycznych. Ale na Południu, skąd pochodzę, nie toczono walk w sensie ścisłym. W Bari obyło się bez zamieszek, dlatego moja rodzina lepiej zapamięta kryzysy energetyczne, które będą miały związek z konfliktami na Bliskim Wschodzie. Kiedy ludzie myśleli, że osiągnęli już pewien poziom życia, okazywało się, że w niedziele trzeba iść na piechotę do miasta, bo nikogo nie stać na paliwo.

Ale wracając do tematu – w kolejnej dekadzie, czyli w latach 80., lata ołowiu" zostają schowane do szuflady. Uznano, że powinny być szczelnie zamknięte w archiwum. Ten czas nie jest może zapomniany *per se*, ale myślimy o nim raczej jak o archeologii. Trudno sobie wyobrazić, że ktokolwiek boi się wyjść z domu, a na ulicach detonowane są bomby.

W omawianiu skutków tego okresu za dużo było jednak jednoznaczności. Włoska Partia Komunistyczna potępiła skrajnie lewicowy terroryzm i zamknięto dyskusję. A przecież nie zapominajmy o terroryzmie prawicowym, skupiającym się na celach cywilnych. Te zamachy były zaplanowane jako element strategii napięcia, miały wprowadzać chaos.

Do najkrwawszego z nich doszło na dworcu kolejowym w Bolonii w 1980 r., gdzie zginęło osiemdziesiąt pięć osób. Dodam, że obecny rząd włoski, co nie jest tajemnicą, ma przeszłość mocno dwuznaczną – to dziedzictwo partii faszystowskiej i ruchów neofaszystowskich. Czasami się zastanawiam, czy nasi rządzący nie mają jakiegoś związku z tamtymi zamachami.

„Lata ołowiu" ominęły Bari, ale morderstwa w mieście nie były rzadkością – rywalizujące ze sobą klany ciągle wyrównywały rachunki.

Bari było podzielone na dwie części – na miasto normalne i nielegalne. W jednej części działały sklepiki i stragany. W drugiej sprzedawano na ulicy ciężkie narkotyki: heroinę, kokainę, do wyboru, proszę bardzo. I kontrabanda papierosów.

Pochodziłem z dobrego domu, ale jako młody chłopaczek łatwo nawiązałem kontakt z ludźmi, którzy pochodzili z tamtego drugiego świata, zza muru. Na swój sposób to było pouczające, bo od małego spotykało się ludzi, których problemy były kompletnie różne od moich. A wierzę, że poznajemy siebie samych poprzez różnice, nie poprzez przebywanie z ludźmi, którzy są tacy jak my.

Od tamtej pory Bari zostało z tego wyczyszczone, co jest oczywiście dobrą zmianą, ale przez to stało się też miejscem szalenie turystycznym, jak w zasadzie wszystkie większe miasta Europy. Przeżyłem szok, kiedy w zeszłym roku pojechałem do Pragi po raz pierwszy od lat 80. To miasto wygląda dziś praktycznie tak samo jak Palermo i Neapol – jest tyle samo turystów, są takie same sklepy i knajpy, co najwyżej ceny się trochę różnią.

Po studiach uciekłeś jednak z Bari do Rzymu.

Zakochałem się w Rzymie bez reszty, czule i tragicznie. To moje zakochanie miało swoje rozstania i powroty, na chwilę wyniosłem się do Turynu, ale szybko zatęskniłem za Rzymem, szukałem okazji, by móc tam w każdej chwili wrócić.

Kiedy przyjechałem do Rzymu ponad dwadzieścia lat temu, nie znałem nikogo, ale wspominam ten czas jako nieustanne odkrywanie. Rzym jest miejscem hojnym, szczodrym, każdego dnia ma do zaoferowania coś nowego, a ludzie, których tam się spotyka, są może przy pierwszym poznaniu nieco szorstcy, ale łatwo wejść z nimi w zażyłość.

Znalazłem – co prawda źle opłacaną – ale ciekawą pracę w niezależnym wydawnictwie, z pewnością mnie tam wykorzystywano, ale nie szkodzi, miałem wtedy jeszcze pokłady młodzieńczej siły.

Rzym otwiera perspektywy przed młodymi?

W moim przypadku mówimy o latach 1998-2002. Chwilę później dramatycznie wzrosły ceny wszystkiego, zwłaszcza czynszów i mieszkań. Załapałem się prawdopodobnie na ostatnie lata otwartości i dostępności miasta, zanim z dnia na dzień zrobiło się tam niemalże dwa razy drożej, co pokrzyżowało plany wielu młodych ludzi.

Rzym dawał z pewnością mniej perspektyw komuś takiemu jak Luca Varani, chłopakowi z przedmieść, niż mnie, gdy tam przyjechałem. To, co jego rówieśnicy mają teraz dookoła siebie, na pewno nie pomaga im w rozwoju.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałeś o morderstwie Luki, poczułeś jakąś więź z tym chłopcem? Dlatego napisałeś o nim „Ciao amore, ciao"?

Nietrudno jest mi postawić się w sytuacji chłopca, który nie ma pieniędzy, któremu zdarza się działać pochopnie, aby przetrwać. Sam kiedyś to przeżyłem, ale jednocześnie czułem, że istnieją ogromne różnice między nami. Tym, co mnie uderzyło, był stan emocjonalny tych trzech chłopaków – Luki i jego morderców, o których piszę w reportażu.

Patrzyłem na ludzi o dwie dekady młodszych, którzy wydali mi się przeraźliwie smutni, pogrążeni w pustce, paraliżu, znacznie mniej w nich było radości i mieli mniej emocjonalnych relacji niż ja, kiedy byłem w ich wieku. Było w tym poczucie klęski, bezsilności. Kiedy o nich usłyszałem, na swój sposób

MUSACCHIO IANNIELLO & PASQUALINI / WYDAWNICTWO CZARNE

NICOLA LAGIOIA (ur. 1973) – pisarz i prezenter radiowy. Laureat nagród literackich, w tym najważniejszego wyróżnienia we Włoszech, Premio Strega, które otrzymał za powieść „Dzikość". Kilkukrotnie członek jury Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Wenecji. W latach 2018-2022 dyrektor programowy Międzynarodowych Targów Książki w Turynie. Jego piąta książka, „Ciao amore, ciao", została wyróżniona Premio Napoli, Premio Internazionale Bottari Lattes Grinzane oraz Nagrodą im. Alessandra Leogrande, a także otrzymała nominację do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego. Mieszka w Rzymie.

było mi ich szkoda. Bo pierwszym złem pojawiającym się w tej historii jest nie morderstwo, a samotność.

Czy myślisz, że można za to obwiniać Rzym?

Gdybyśmy stwierdzili, że Rzym ma krew na rękach, musielibyśmy jednocześnie przyznać, że jest jednym z najbardziej niewinnych miejsc na świecie, dlatego że tamtejszy wskaźnik morderstw należy do najniższych wśród stolic europejskich.

Rzym jest brutalniejszy na poziomie psychicznym – niewątpliwie rzutuje na charakter, na emocje. Ale nie jest to siedlisko sadyzmu i zbrodni, dlatego eksplozje tak gwałtownej przemocy zostają tu na długo zapamiętane. Coś takiego mogłoby się zdarzyć i zapewne zdarza się teraz w dowolnym miejscu na świecie. Zawsze jest jakiś nieszczęśnik i ten, którego los oszczędzi.

Widziałeś miejsce zbrodni.

To był poranek, którego nigdy nie zapomnę. Dzięki pomocy kolegi pracującego w ekipie telewizyjnej wszedłem do budynku, w którym doszło do zbrodni. To było dwa, może trzy dni po morderstwie. Blok ma dziesięć pięter, kiedy wchodziliśmy po schodach, było słuchać najmniejszy szelest, brzdęk odkładanych talerzy w sąsiednich mieszkaniach.

Szok i nieszczęście były niemal namacalne, czułem tę atmosferę na sobie, byłem nią oblepiony. Oddychało się powietrzem pełnym napięcia. Poczułem się jak w miejscu nawiedzonym. Jeśli sobie pomyślisz, że kilka pięter pod lub nad tobą ktoś został zadźgany stoma pchnięciami nożem i ubity młotkiem, to niemożliwy wydaje się powrót do normalności.

Tobie udało się wyjść z mroku?

Zło zawsze wydawało mi się abstrakcyjnym, spekulatywnym pojęciem, uważałem, że zła jako takiego nie ma, póki nie stanąłem przed tymi oklejonymi taśmą drzwiami, za którymi kilka dni wcześniej dokonała się rzeźnia. Pułkownik Giuseppe Donnarumma, który zajmował się sprawą zabójstwa Luki, uważa, że zło istnieje, a co więcej – jest mobilne, wielopostaciowe, zaraźliwe.

Kluczowe w tym przypadku było spotkanie sprawców – Marca Prato i Manuela Foffo. Żaden z nich w pojedynkę nie był osobą, której przeznaczeniem było coś takiego. Gdyby nie poznali się pewnej sylwestrowej nocy, gdyby nie spędzili trzech dni zamknięci w domu, biorąc kokainę, nie doszłoby do tego morderstwa.

W swojej książce przywołujesz publikację pod tytułem „Księga spotkania", która opisuje pewien eksperyment – zainicjowanie spotkania krewnych ofiar terroryzmu z okresu „lat ołowiu" z odpowiedzialnymi za śmierć ich bliskich. Czy wierzysz w sens takiego spotkania?

Autorzy tej książki piszą wprost, że chcieli pomóc w spotkaniu ludzi, którzy doświadczyli straszliwego zła, z tymi, którzy to zło wyrządzili. W spotkaniu między tymi, którzy pragnęli sprawiedliwości, ale mieli też w sobie gotowość do przebaczenia, a katami, którzy byli świadomi, że zniszczyli życie całych rodzin, ale jednocześnie chcieli ułatwić im zrozumienie tego, dlaczego popełnili takie czyny.

„Księga Spotkania" pokazuje jednak, że nie można zostawić inicjatywy stronom w sprawie. Potrzebny jest mediator, ktoś pomiędzy, z zewnątrz, jakaś instytucjonalna pomoc, która pozwoli doprowadzić do spotkania.

W przypadku morderstwa Luki Varaniego nie doszło do konfrontacji krewnych ofiary ze sprawcami. Jestem przekonany, że powinna się ona wydarzyć i że wiele by zmieniła. Bo jedynym sposobem na przepracowanie takiego bólu, jak strata dziecka, jest konfrontacja z drugą stroną. Niestety, takie spotkanie nie miało i już nigdy nie będzie mieć miejsca, bo ojciec Luki zmarł kilka miesięcy temu.

Zwykły wymiar sprawiedliwości we Włoszech nie umożliwia takiego scenariusza, samo spotkanie nie miałoby wpływu na wyrok. Ale może byłoby narzędziem przepracowania traumy, rodzajem rytuału?

W naszym laickim świecie nie mamy w zasadzie rytuałów związanych z momentami przejścia. To książka o tym, jak bardzo brakuje nam sprawiedliwości naprawczej.

© Rozmawiał MATEUSZ DEMSKI

TOMASZ

Stawiszyński: *Wybiórcze oburzenia*

Słowa pewnej znanej psycholożki, która określiła pewną znaną sportsmenkę mianem „głupiutkiej" i „wystraszonej", wywołały wielką falę sprzeciwu. Cóż, nie jest rolą psychologów i psychoterapeutów publiczne wypowiadanie się na temat cech czy stanów wewnętrznych innych ludzi. Zwłaszcza tych, których nigdy nie spotkali. A już na pewno nie w stylistyce zaprezentowanej przez znaną psycholożkę.

Przy czym wypowiedź ta, niegrzeczna i siermiężna, nie jest, formalnie rzecz biorąc, „diagnozą na odległość". Nie narusza więc reguły zakazującej czegoś takiego, lecz jedynie regułę kindersztuby – choć naturalnie od przedstawicieli tego zawodu oczekuje się więcej odpowiedzialności. Zarówno jednak ta wypowiedź, jak i oburzenie, które wywołała, wpisują się w szerszy krajobraz, znacznie bardziej problematyczny i znacznie mniej oczywisty, niż się wielu oburzonym wydaje.

Po pierwsze – w polskiej przestrzeni publicznej, a zwłaszcza w mediach społecznościowych, od lat prym wiedzie autorytarny styl komunikacji. Nie służy on wymianie argumentów, lecz dekretowaniu, ocenianiu, ośmieszaniu i wystawianiu świadectw słuszności. Własne opinie prezentuje się niczym złoty standard rzetelnej wiedzy, fakty selektywnie dobiera pod gotową tezę, a sprzeciw traktuje nie jako naturalny element rozmowy, lecz dowód ignorancji, moralnego zepsucia albo przynależności do wrogiego obozu. Manipulacja, szyderstwo, a niekiedy kłamstwo stają się dopuszczalnymi narzędziami, jeśli tylko służą właściwej sprawie. Najbardziej wpływowi uczestnicy tej gry dzień w dzień zagrzewają wirtualny, wiecznie wzmożony i oburzony kolektyw do rzucania się na każdego, kogo wskażą palcem – zazwyczaj kogoś, kto w jakiejś sprawie ośmielił się mieć inne zdanie. Styl ten nie ma jednej barwy politycznej ani jednego zawodowego rodowodu.

Po drugie – media społecznościowe i debata publiczna systematycznie się brutalizują. Liczba profili, postów i komentarzy wyrażających nienawiść, pogardę albo szyderstwo rośnie w tempie geometrycznym, a zdolność do aktywizowania w ten sposób mniejszych lub większych grup ludzi bywa doprawdy zdumiewająca. W efekcie trudno sobie wyobrazić otwartą dyskusję na jakikolwiek kontrowersyjny temat, od razu bowiem ruszają do boju internetowi Savonarole, a podburzona przez nich zbiorowość na sygnał rozpoczyna histeryczne bombardowanie.

Po trzecie wreszcie, głęboką strukturę tych zjawisk formuje polaryzacja. Te same apodyktyczne, wyższościowe, chamskie, pogardliwe i brutalne wypowiedzi budzą biegunowo różne reakcje w zależności od tego, w kogo są wymierzone. Jeśli więc godzą w kogoś z „naszej strony" – bądź w kogoś, z kim w danym momencie się utożsamiamy – wówczas wywołują protest, atak w obronie zaatakowanego i gremialne wyrazy solidarności. Jeśli natomiast analogiczna – albo nawet wielokrotnie bardziej szydercza, pogardliwa czy przemocowa – wypowiedź padnie pod adresem kogoś „nie naszego", wtedy witana jest aplauzem lub rechotem, udostępniana setki razy jako głos stanowczy, ale jakże potrzebny, odważny i ważny. A że brutalny – no cóż, okoliczności tego wymagają. Trzeba się twardo przeciwstawiać, nie ma co przebierać w słowach, gniew w słusznej sprawie jest wszakże cnotą, a tych tam nie ma co bronić lub żałować. No, chyba że się jest tak naprawdę ich poplecznikiem. Podejrzany o sprzyjanie wrogom staje się automatycznie każdy, kto nie przyłącza się do chóru i nie powtarza tego samego, co wszyscy.

Niestety, w całym tym krajobrazie pojęcie „standardów" oznacza wyłącznie zasady, których „oni" mają przestrzegać wobec „nas". Kiedy w 2021 r. ta sama psycholożka, którą teraz spotkała powszechna reprymenda za słowa o sportsmence, w słowach znacznie bardziej niewybrednych faktycznie diagnozowała pewnego znanego polityka jako „paranoika", „egoistę" i „rozjuszonego ze strachu zwierza, który wierzy wyłącznie we własne urojenia" (bez nazwisk, lecz z precyzyjnym wskazaniem o kogo chodzi), wielu spośród dzisiaj oburzonych reagowało entuzjastycznie. Podobnie, kiedy na łamach dużej polskiej gazety ukazał się wywiad, w którym inna znana psycholożka rozpoznawała u innego polityka cechy osobowości narcystycznej i dokonywała dość głębinowej analizy potencjalnych jego motywacji oraz wewnętrznej dynamiki.

Przykłady można by mnożyć, ale sprawa jest w gruncie rzeczy banalna. Bez jednolitych kryteriów, które obowiązują również „nas", a nie tylko „ich", bez radykalnego braku zgody na wyższościowy ton, pogardę, szyderstwo i agresję także wobec przeciwników politycznych i wszelkich „onych", nic się nie zmieni. Wręcz przeciwnie – osłabianie jakości publicznego dyskursu, a co za tym idzie także naszych poznawczych i moralnych kwalifikacji do mierzenia się z największymi wyzwaniami współczesności, będzie systematycznie postępować.

Musimy sobie po prostu uświadomić, że wybiórczość i plemienność, hipokryzja i dwulicowość, prędzej czy później obracają się przeciwko tym, którzy się z pomocą tych mechanizmów doraźnie konsolidują. Pogrążonym w afektach, zamkniętym wewnątrz baniek, alergicznie reagującym na każdą różnicę, autorytarnie wymuszającym jednomyślność – a tym samym coraz bardziej niezdolnym do rozumienia tego, co dzieje się dookoła. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

Poznajmy się, porozmawiajmy i zostańmy Partnerami!

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY

Tygodnik to doskonały partner dla Twojego wydarzenia!

Od lat towarzyszymy instytucjom kultury, samorządom, firmom oraz NGO w podejmowanych inicjatywach, oferując wsparcie redakcyjne i promocyjne. Wspólnie z naszymi Partnerami wydaliśmy dziesiątki publikacji, dodatków tematycznych i specjalnych serwisów internetowych, robiąc to z największym profesjonalizmem i z pełnym zaangażowaniem.

Odwiedź naszą stronę i poznaj dotychczasowe realizacje:
TygodnikPowszechny.pl/dodatki-tematyczne

Napisz na **promocja@tygodnikpowszechny.pl**

lub zadzwoń do nas:

Anna Pietrzykowska tel. 602 590 416
Mateusz Gawron tel. 602 331 791

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

BALTIC OPERA FESTIVAL

BALTIC OPERA FESTIVAL

LIPIEC 2027

Kolejna odsłona największego wydarzenia operowego w Europie

ORLEN
MECENAS GŁÓWNY

Organizatorzy Festiwalu
Opera Bałtycka w Gdańsku
SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowane ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy
Bałtycki Bank Spółdzielczy segno
OPERA WRZESIŃSKA
OPERA LEŚNA Powered by Energa
Sopot

Patroni medialni
tvn WARNER BROS. DISCOVERY
RMF CLASSIC
zwiercladło
VOGUE
wyborcza.pl
ORFEO
trojmiasto.pl
Newsweek
onet
rach muzyczny
Partner wydawniczy artystycznych Opery Bałtyckiej

Partnerzy technologiczni
onex.group